ROZMOWA „DO RZECZY”

Beata Szydło: Naprawiamy dziś błędy założycielskie III RP

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/294 15–21 PAŹDZIERNIKA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Taśmy kelnerów – kto zyskuje, kto traci?

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM O ŚW. JANIE PAWLE II

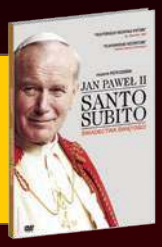

Łysiak o europejskim podziemiu spiskowców

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 88 tys. egzemplarzy

Śledztwo „Do Rzeczy”

DLACZEGO HERBERT NIE DOSTAŁ NOBLA

Joanna Siedlecka demaskuje agenta bezpieki i operację SB wymierzoną w poetę

eprasa.pl a64665934

GRAJ W ZAKŁADY SPECJALNE!

Typuj 5 liczb z 45, wygrywaj już za trafienie 3 liczb!

Losowanie 10 listopada 2018 r.

Grając, wspierasz Program Stypendialny „100 na 100”
dla najzdolniejszych studentów.
www.fundacjalotto.pl/100stypendiow

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl a64665f984

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wojna bez granic

Niezwykłe rzeczy dzieją się nie tylko w Polsce. Przez kilka dni godzinami obserwowałem – cóż, nie jest łatwo przenieść się z jednej strefy czasowej do drugiej – amerykańską debatę nad powołaniem do Sądu Najwyższego wybitnego konserwatywnego prawnika Bretta Kavanaugha i nie mogłem się oprzeć wrażeniu déjà vu. Właściwie wszystko działo się tak jak w Polsce, tylko może jeszcze bardziej?

Brett Kavanaugh znany jest ze swoich konserwatywnych poglądów, szczególnie na kwestie obyczajowe. Można z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że gdyby w składzie Sądu Najwyższego większość stanowili tacy sędziowie jak on, Amerykanie nie wprowadziliby w 2015 r. idiotycznego zrównania związków jednopłciowych z naturalnymi małżeństwami. To, że tak się stało, wynikło po prostu z układów politycznych i losowych: większość wśród głosujących stanowili wówczas prawnicy o poglądach lewicowo-liberalnych, powołani przez podobnych im lewicowo-liberalnych prezydentów. Tę właśnie dominację obiecał przełamać w czasie kampanii Donald Trump. I, co więcej, słowa dotrzymuje. Kavanaugh to jego drugi kandydat do Sądu Najwyższego. Pierwszy raz od dziesiątków lat może dojść do realnej konserwatywnej zmiany prawa w USA.

To, co tu w skrócie opisałem, jest oczywiste także dla lewicowego establishmentu. Jego przedstawiciele, jak to zwykle bywa, gęby mają pełne frazesów i pięknie brzmiących banałów, kiedy jednak trzeba, nie wahają się użyć środków, powiedzmy szczerze, nie całkiem czystych. Po prostu brudnych. Jak zapowiedział lider mniejszości demokratycznej w Senacie Chuck Schumer, jego partia miała przeciwstawić się kandydaturze Kavanaugha „wszelkimi możliwymi środkami". Jak zapowiedział, tak zrobił. Dlatego kiedy wszystkie inne sposoby powstrzymania wyboru prawicowego prawnika spełzły na niczym, nagle został on oskarżony o napaść seksualną. Nie byle jaką: o napaść seksualną sprzed 36 lat.

Przypomnę, że Kavanaugh jest absolwentem prawa na Uniwersytecie Yale, szanowanym sędzią federalnym, obecnie zaś pracuje w Sądzie Apelacyjnym w Waszyngtonie. Można sobie zatem łatwo wyobrazić, jakim wstrząsem dla sędziego, dla jego żony i dzieci, były nagłe oskarżenia wysunięte przez feministyczną działaczkę, niejaką Christine Ford, która po 36 latach przypomniała sobie, że 17-letni wówczas Kavanaugh miał zwabić ją w czasie imprezy do sypialni i tam ją molestować. Opowieść o rzekomej napaści Ford przekazała jednej z demokratycznych senatorek i zaraz potem całkowicie bezstronnemu (mam nadzieję, że dostrzegają państwo ironię) „The Washington Post", amerykańskiej wersji „GW". Sama rzekoma ofiara stwierdziła, że o historii zdecydowała się opowiedzieć, bo nie mogła znieść myśli, iż jej oprawca zajmie tak wysokie stanowisko.

RYSUNEK TYGODNIA

Rozpętała się wielka zawierucha, a Stany Zjednoczone podzieliły się na tych, którzy wierzyli pani Ford, i na tych, którzy wierzyli sędziemu Kavanaughowi. Ten pod przysięgą oskarżenia odrzucił. Do sprawy włączyło się nawet FBI, które przez tydzień miało sprawdzić, co się wydarzyło przed niemal czterema dziesiątkami lat. Zadanie karkołomne, zważywszy na to, że o rzekomej napaści pani Ford nie raczyła była napomknąć publicznie nigdzie ani nikomu aż do teraz. Nie przedstawiła nawet cienia poszlaki! Mimo tego sędziego Kavanaugha tygodniami obrzucano błotem. Gdyby nie żelazna wola prezydenta Trumpa, zapewne do jego wyboru by nie doszło. W ostateczności głosowanie miało charakter czysto polityczny – 50 republikańskich senatorów było za, 48 demokratycznych było przeciw. To się nazywa niepolityczne i bezstronne głosowanie. Koń by się uśmiał.

Morałów z tej historii jest kilka. Pierwszy i najważniejszy jest prosty: w wojnie kulturowej każdy środek jest dopuszczalny. Atakując kandydaturę Kavanaugha, liberalna lewica najpierw zniszczyła zasadę domniemania niewinności, a następnie próbowała zmienić sens pojęcia „świadek". To, co powinno podważyć z zasady wiarygodność pani Ford – jej ideowe zaangażowanie – traktowane było jako rzecz bez znaczenia. Przy poparciu mediów lewica próbowała doprowadzić do sytuacji, w której to sędzia Kavanaugh miał dowieść swojej niewinności, a w roli świadków mieli występować ludzie, którzy o całej sprawie dowiadywali się z… mediów! Najpierw usiłowano zniszczyć reputację Kavanaugha, a następnie, skoro już udało się na niego rzucić cień podejrzenia, ogłaszano, że ktoś taki nie może zostać sędzią. Żeby było zabawniej, przeciw jego kandydaturze opowiedział się, rzecz bez precedensu, wiekowy, były emerytowany sędzia Sądu Najwyższego.

Skąd my to wszystko znamy? ©℗

eprasa.pl a64665f984

TEMAT TYGODNIA

20 JOANNA SIEDLECKA
KTO PRZESZKADZAŁ W NOBLU DLA HERBERTA?
Służby specjalne PRL kontra literaci

24 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POETA POD SPECJALNYM NADZOREM

KRAJ

26 ROZMOWA Z BEATĄ SZYDŁO
PRZEGRAMY, JEŻELI POPEŁNIMY BŁĄD PLATFORMY
Sprawę taśm trzeba raz na zawsze wyjaśnić

29 WOJCIECH WYBRANOWSKI
TĘCZOWA TWIERDZA

32 ROZMOWA Z TADEUSZEM ZYSKIEM
POZNAŃ MA DOŚĆ JAŚKOWIAKA

34 KAMILA BARANOWSKA
TESTOWY NOWY PIS

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WYBORCZY RZUT NA TAŚMĘ

38 ŁUKASZ WARZECHA
TAŚMY 2.0

40 STEFAN SĘKOWSKI
JAŁOWOŚĆ OPOZYCJI TOTALNEJ

KULTURA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WIELKA GRA
Sapkowski kontra CD Projekt RED

46 ROZMOWA Z JANEM LUBOMIRSKIM-LANCKOROŃSKIM
KU OJCZYŹNIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 PIOTR SEMKA
ZAWSZE TRZEBA COŚ WYBIERAĆ
Podsumowanie dyskusji na temat „Listu Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru"

60 ROZMOWA Z POSŁEM BOGDANEM RZOŃCĄ
ROBIMY DROGOWĄ REWOLUCJĘ

HISTORIA

62 WALDEMAR ŁYSIAK
SPISKOWCY
Konspiracja węglarska doby romantyzmu

70 PAWEŁ WITASZEK
HISTORIA ZE SKAZĄ

ŚWIAT

74 GABRIEL MICHALIK
JAK ZŁUPIĆ KONFIDENTA
Rosjanie kapitalizują donoszenie

77 JACEK PRZYBYLSKI
DZIENNIKARZE NA CELOWNIKU

80 TERESA STYLIŃSKA
NOBEL W CIENIU #METOO

EKONOMIA

84 MACIEJ PIECZYŃSKI
ILE WARTA JEST POLSKA
Biznes nad Wisłą

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
ZDROWE SERCE

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (82), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl a64665f984

Warto się badać

W większości przypadków nowotwór rozwija się przez wiele lat. Dzięki badaniom profilaktycznym można go wcześnie wykryć, co daje szansę nawet na całkowite wyleczenie.

Tak jak co roku robimy przegląd samochodu, tak samo raz w roku powinniśmy sprawdzić, czy w naszym organizmie nic nie szwankuje, nawet jeśli nie odczuwamy żadnych dolegliwości. – Każdy dorosły powinien przynajmniej raz w roku wykonać morfologię krwi oraz OB (Odczyn Biernackiego). Krew jest zwierciadłem tego, co się dzieje w organizmie. Zaburzenia morfologii mogą być spowodowane chorobami układu krwiotwórczego, w tym chorobami nowotworowymi, np. białaczką – mówi prof. Wiesław Jędrzejczak.

Dane z raportu NIK z 2017 r. wskazują, że pacjenci, u których nowotwór został wykryty wcześnie dzięki badaniom profilaktycznym, mieli większe szanse na wyleczenie i wydłużenie życia niż chorzy, u których został on wykryty po wystąpieniu pierwszych objawów. Badania krwi to jednak nie wszystko.

KALENDARZ DLA PAŃ

Kobiety po ukończeniu 18 lat powinny raz w roku udać się na wizytę do ginekologa, a co miesiąc pamiętać o samobadaniu piersi (najlepiej tuż po menstruacji). Piersi powinien też zbadać ginekolog podczas każdej wizyty. Może on również zalecić wykonanie USG piersi (zwykle po 25. roku życia). Częstotliwość jego powtarzania zależy od wieku kobiety i budowy piersi (zwykle co 1-3 lata, a w przypadku zagrożenia nowotworem piersi – nawet co kilka miesięcy).

Po 45-50. roku życia zalecana jest mammografia – profilaktycznie raz na dwa lata. Ani USG, ani mammografia nie zwalniają jednak z samobadania piersi. – Guzy wykryte przez kobietę, która regularnie sama się bada, są o połowę mniejsze niż wykryte przypadkowo podczas badania ginekologicznego – mówi prof. Ewa Nowak-Markwitz, kierownik Kliniki Onkologii Ginekologicznej Katedry Ginekologii, Położnictwa i Onkologii Ginekologicznej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

Po 25. roku życia warto zacząć wykonywać badania cytologiczne co najmniej raz na trzy lata (ginekolog może zalecić je częściej). Pozwala to na rozpoznanie nowotworu szyjki macicy we wczesnym stadium, a także na wykrycie stanów przedrakowych, co może zapobiec ich rozwinięciu. Zwykle po 40. roku życia ginekolog kieruje też kobietę na USG narządów rodnych, sprawdzające czy nie rozwijają się nowotwory jajnika i trzonu macicy.

Po 55. roku życia warto wykonać kolonoskopię, dzięki której można zapobiec rozwinięciu się raka jelita grubego lub wykryć go we wczesnym stadium.

KALENDARZ DLA PANÓW

Mężczyźni wciąż bardziej niż kobiety wstydzą się choroby. Jednak już po 18. roku życia powinni co pewien czas zbadać jądra, a po zaobserwowaniu najdrobniejszych zmian niezwłocznie iść do lekarza. Po 50. roku życia każdy z panów powinien odwiedzić urologa, poddać się badaniu prostaty per rectum, wykonać oznaczenie poziomu PSA, a wynik skonsultować z urologiem.

Podobnie jak u kobiet, także dla mężczyzn po 55. roku życia obowiązkowa jest kolonoskopia. Jeśli wynik jest dobry, kolejną wystarczy wykonać za 10 lat.

PODWYŻSZONE RYZYKO

Co czwarty nowotwór ma podłoże genetyczne. Osoby, u których w rodzinach pojawiał się ten sam nowotwór lub rozwinął się przed 50. rokiem życia, powinny zgłosić się do poradni genetycznych (działają przy centrach onkologii). Wizyta i badania w kierunku najczęściej występujących mutacji o wysokim ryzyku onkogennym są bezpłatne dla osób z grup ryzyka. Jeśli obecność mutacji zostanie potwierdzona, ustala się indywidualny program corocznych badań ukierunkowanych na wczesne wykrycie nowotworu.

Badania przesiewowe

W Polsce są wykonywane profilaktyczne badania przesiewowe, na które **można się zgłosić bez skierowania**. Pozwalają one na wczesne wykrycie nowotworu i zwiększają szanse na całkowite wyleczenie:

- **piersi**: mammografia u kobiet w wieku 50-69 lat (co dwa lata),
- **szyjki macicy**: cytologia u kobiet w wieku 25-59 lat (co trzy lata),
- **jelita grubego**: osoby w wieku 55-64 lat (młodsze – w przypadku podwyższonego ryzyka zachorowania).

Tekst: Katarzyna Pinkosz, konsultacja: dr n. med. A. Dyzmann-Sroka, kierownik Zakładu Epidemiologii i Profilaktyki Nowotworów w Wielkopolskim Centrum Onkologii

ZDJĘCIA: 123RF

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych.
Zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów; finansowana ze środków Ministra Zdrowia

eprasa.pl a64665f984

Drodzy Czytelnicy,

Obszernym e-mailem kończymy w dziale „Listy” dyskusję wywołaną filmem „Kler”. Przypominamy adres naszej skrzynki pocztowej: listy@dorzeczy.pl i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

Problemy Kościoła

Wojciech Smarzowski nakręcił film o księżach ateistach, biskupie ateiście i Kościele jako zwykłej korporacji. Smarzowskiemu jako ateiście trudno byłoby nakręcić film o świętych i o Kościele jako oblubienicy Chrystusa. To jak wymagać od ślepego rozprawy o kolorach. [...] Co takiego obecnie dzieje się w polskim Kościele, co powinno nas najmocniej niepokoić? Alkoholizm, pederastia, pazerność na pieniądze i władzę, obłuda? A może utrata wiary u kapłanów. A może nie tyle jej utrata, ile bylejakość wiary. Jej letniość. Kościół polski to kościół Laodycei. To Kościół przekonany o swojej sile i bogactwie, podczas gdy jest nagi. Kościołowi Laodycei Chrystus mówi: „Mówisz: jestem bogaty, niczego nie potrzebuję! Nie wiesz jednak, że jesteś nędzny, godny pożałowania, biedny, ślepy i nagi. Radzę ci, kup u mnie złota w ogniu oczyszczonego, aby się wzbogacić, i białe szaty, aby się ubrać i nie musieć wstydzić się swojej nagości, oraz balsam do namaszczenia twych oczu, by przejrzeć”. Polski Kościół to mieszanina potęgi i nędzy. Kościół, który dzięki prymasowi Wyszyńskiemu powoli i rozważnie wprowadzał posoborowe zmiany w liturgii, unikając jej kompletnej destrukcji w tempie, w jakim doszło do tego w krajach Europy Zachodniej. Od co najmniej 10 lat sprawy nabrały jednak przyspieszenia. Kształceni w posoborowych seminariach kapłani chcą szybko dorównać w skali destrukcji liturgii swym kolegom z innych krajów Europy. Byle jaka posoborowa liturgia jest umacniana byle jaką posoborową teologią, stąd byle jakie kazania o niczym. Nie jest to żaden katolicyzm wojujący. Polscy biskupi nie mieli odwagi wystąpić ze zdecydowanym głosem sprzeciwu wobec „Amoris laetitia”. Polski Kościół chce spokoju i będzie przyjmował bez protestu coraz bardziej sprzeczne z wielowiekowym nauczaniem Kościoła katolickiego nowinki płynące z kolejnych synodów i Rzymu. Polski Kościół katolicki coraz bardziej się protestantyzuje. Odnowa w Duchu Świętym, neokatechumenat, kościoły domowe to dramat i prawdziwa tragedia polskiego Kościoła. Polscy kapłani w polskich seminariach są zakażani modernizmem. Stąd propagują chrześcijaństwo emocjonalne. Pielgrzymki do Medjugorje organizowane są przez polskich kapłanów, pomimo iż lokalny biskup tego miejsca nie uznał tych objawień. Nic to! W końcu jest tam jakaś nadprzyrodzoność. Matka Boża w Medjugorje mówi, że wszystkie religie są równe przed Bogiem? Nic to. W końcu tego samego nauczono polskich kapłanów w seminarium. Jedno tylko polscy kapłani wiedzą z pewnością: należy unikać jak ognia katolickiej tradycji. To sprowadza kłopoty. Łatwiej dziś zostać zawieszonym jako kapłan za głoszenie nauki, którą głosili święci Kościoła katolickiego, niż za głoszenie herezji o pustym piekle czy promocję protestantyzmu lub islamu. [...] Smarzowski i jego antykościelna propagandowa agitka mają tylko ugruntować u części Polaków diaboliczną nienawiść do tego, co święte [...].

Z poważaniem
Paweł Machejko

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Erazm Ciołek/FORUM, Fotolia**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
Spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 88 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a64665f984

ROAMER
OF SWITZERLAND

SINCE 1888 ROAMER OF SWITZERLAND

130 Years Anniversary Edition

LIMITED EDITION AUTOMATIC COSC CERTIFICATE SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE

eprasa.pl a64665f984

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Żydzi – rozdwojenie

Politycy Alternatywy dla Niemiec (AfD) zachowują się, jakby spłatali niezłego figla politycznemu establishmentowi RFN. Oto w łonie tej partii powstała tzw. grupa robocza o nazwie „Żydzi w AfD". Powołanie tej grupy to nawiązanie do tradycji niemieckich partii, gdzie poszczególne środowiska, takie jak np. policjanci, chłopi i ludzie, których łączy jakiś obszar zainteresowań, np. turystyka, tworzą wewnątrzpartyjne grupy.

No, ale grupa robocza dotycząca mniejszości narodowej? Tego jeszcze nie było.

Żydów w Alternative für Deutschland nie ma zbyt wielu – jest ich tylko 24. Dla oskarżanej o brunatne sympatie AfD to jednak ważny atut.

Szefowa grupy to Vera Kosova, lekarka urodzona w 1982 r. w Uzbekistanie. Kosova przybyła do Niemiec w 1998 r. już po rozpadzie Związku Sowieckiego. W 2017 r. startowała – bezskutecznie – do Bundestagu.

Grupa Żydzi w AfD zapowiada przeciwdziałanie „niekontrolowanemu i zmasowanemu napływowi do Niemiec młodych mężczyzn z kręgu kultury islamskiej o antysemickiej socjalizacji". Wyraża też zaniepokojenie „erozją tradycyjnego modelu monogamicznych rodzin" przez „genderowy mainstreaming" i „wczesną seksualizację".

Tradycyjne organizacje żydowskie, na czele z Centralną Radą Żydów w Niemczech, w specjalnym oświadczeniu zareagowały chłodno. Przypomniały, że AfD określana jest mianem partii rasistowskiej i antysemickiej.

We Frankfurcie nad Menem demonstrowała Żydowska Unia Studencka w Niemczech pod hasłem: „Nie dostaniecie od nas koszernej etykietki".

Rzecznik klubu poselskiego AfD ds. polityki wyznaniowej Volker Münz z wystudiowanym oburzeniem zareagował na takie krytyki.

„Zalecanie Żydom, do jakiej partii mieliby wstępować, jest wbrew zasadom demokracji" – powiedział Münz w jednym z wywiadów.

Kontrowersje w społeczności niemieckich Żydów są echem dylematu, który dzieli tę społeczność na całym świecie. W Ameryce spora część American Jewish Congress pilnuje tradycji żydowskiego wsparcia dla liberalizmu i demonstruje dystans wobec Trumpa. Z kolei amerykańscy zwolennicy premiera Binjamina Netanjahu wskazują, że tylko silna Ameryka, a nie bezsilna Europa, obroni Izrael. W samym Izraelu rządzący Likud atakowany jest z lewej strony za dobre stosunki z Viktorem Orbánem i załagodzenie sporu z Warszawą. Żydzi są też podzieleni wokół postaci George'a Sorosa. Prawica uważa go za awanturnika, a lewica za ofiarę antysemickich ataków. Jaki płynie z tego wniosek dla polskiego czytelnika?

Dość banalny. Żydzi nie są monolitem. Najbardziej głośni w mediach są przedstawiciele nurtu liberalno-lewicowego. Wierzą nadal w idee multikulti. Są jednak Żydzi pamiętający, że to od przybycia wielkiej fali imigrantów w 2015 r. niemieccy Żydzi zaczęli bać się chodzić po ulicach w jarmułkach. Ci nie wierzą w reedukację i wyleczenie muzułmanów z antysemityzmu. Wolą tych, którzy jasno mówią, że to poważny problem. Poważny znak czasu. © ℗

FOT. KPRM

POLACY POTRAFIĄ

Aż 89 proc. Amerykanów nie wierzy, że Polska plasuje się w czołówce 40 najbardziej innowacyjnych krajów na świecie, 64 proc. uważa, że Polska gospodarka opiera się na rolnictwie, a 47 proc. sądzi, że w Polsce nie ma zbyt wielu możliwości zatrudnienia oraz rozwoju zawodowego – wynika z sondażu prestiżowej firmy Harris Poll. Aby walczyć z takimi stereotypami, PZU zorganizowało w Nowym Jorku konferencję #PolandCanDoNation.

– W ostatnich latach w Polsce dokonała się rewolucja, pod względem zarówno technologicznym, jak i przemysłowym. Towarzyszył jej rozwój technologii finansowych i informatycznych, a także wysokiej klasy usług biznesowych oraz działalności badawczo-rozwojowej – podkreślał w Nowym Jorku prezes PZU Paweł Surówka.

Gościem honorowym konferencji #PolandCanDoNation był premier Mateusz Morawiecki, który w swoim przemówieniu zauważył, że niedawno globalna agencja indeksowa FTSE Russell włączyła Polskę do grona rynków rozwiniętych. Szef rządu zaznaczył również, że Polska jest pełnoprawnym członkiem tej elitarnej grupy państw, z prawdziwie społeczną i konkurencyjną gospodarką. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl a64665f984

Gwarancja z dotacją

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

JUŻ TERAZ
DOTACJA
NA SPŁATĘ ODSETEK

Wystarczy kilka dobrych ruchów...
i wszystko się dobrze ułoży.

PAŃSTWOWY BANK ROZWOJU

BGK.PL

Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Objęcie kredytu gwarancją uzależnione jest od indywidualnej decyzji banku udzielającego kredytu.

Fundusze Europejskie
Inteligentny Rozwój

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Unia Europejska
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl a64665f984

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polska folwarczna

Konwencja samorządowa w Legionowie, na której prezydent miasta Roman Smogorzewski dowcipnie i lekko – nie tylko we własnym przekonaniu, sądząc po reakcjach publiczności i samych zainteresowanych – prezentował kandydatki do rady miejskiej, powinna wyjść popierającej go w tych wyborach PO bokiem. Nie wyjdzie. Mimo wielkich starań mediów państwowych i życzliwych PiS, zanim ten felieton dotrze do Państwa rąk, sprawa rozejdzie się i mało kto będzie jeszcze o niej pamiętał. Co więcej, jej puenta będzie najpewniej taka, że za tydzień Roman Smogorzewski po raz kolejny wygra w swoim udzielnym księstwie wybory, i to po raz kolejny w pierwszej turze.

Polacy są przekonani, że mają demokrację, a mają tylko głosowanie

Dlaczego? Ponieważ takich Smogorzewskich, jak Polska długa i szeroka, jest jak nasiał. I społeczeństwo do nich równie przyzwyczajone, jak legionowskie „napalone" panie, którym prawił te swoiste komplementy.

Pan Smogorzewski wpisuje się bowiem we wzorzec, który, jak pisałem już przed paru nastu laty w „Polactwie", organizuje myślenie przeciętnego Polaka o sprawach publicznych – wzorzec pańszczyźnianego folwarku. Na takim folwarku musi być przecież ekonom i ważne, żeby był „ludzki pan". A że se klepnie folwarczną dziewkę w kuper albo i co więcej – kto by się obrażał? Ważne, że robotę daje.

Na prowincji, gdzie lokalny włodarz jest ważnym, jeśli nie głównym pracodawcą, po jednej kadencji lub dwóch ma taką klientelę, że żadne wybory mu niestraszne. Kto podskoczy, jeśli armia urzędników, pracowników miejskich spółek i agend z rodzinami karnie stawia się przy urnach, lokalne media lukrują, bo z tego żyją? Kto podskoczy, ten się nie pozbiera.

Na górze walczą polityczne plemiona, ale folwarków to nie dotyczy. Taki pan Smogorzewski był w PC, był w AWS, potem przez SKL Balazsa przeszedł do PO. Gdyby jakiś cud sprawił, że partyjno-mundurowe Legionowo zaczęłoby głosować na PiS, poszedłby i do PiS. I pewnie by go i tam przyjęto, bo ten jego folwark, który wniósłby w wianie, ma swoją cenę i znaczenie.

Polacy są przekonani, że mają demokrację, a mają tylko głosowanie. I myślą, że to jest to samo. A to nie jest to samo, i Legionowo, ze swoim przyrośniętym do prezydenckiego biurka rubasznym włodarzem, jest tego jednym z dowodów – niestety, jednym z wielu. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Już byli w ogródku

Słychać wycie? Oj, słychać niemal ze wszystkich stron lewego narożnika społeczno-medialnego UE. No i znakomicie. A wszystko przez to, że minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, o którym ostatnio było głośno raczej za sprawą nieoficjalnych informacji o konflikcie między nim a premierem Mateuszem Morawieckim, zawetował Konkluzje Rady UE z 2017 r. w sprawie stosowania Karty praw podstawowych.

Oznacza to tyle, że nie staną się one obowiązujące, bo do tego trzeba jednomyślności wszystkich państw. Już wcześniej, obok Polski, Karty praw podstawowych nie podpisały także Wielka Brytania i Czechy trzeźwo patrzące na unijne wynalazki światopoglądowe.

Karta mająca dla państw UE moc wiążącą od czasu podpisania traktatu lizbońskiego dla organizacji gejowskich, feministycznych, ultralewicowych stała się fetyszem. Nic dziwnego. Jej zapisy, również zablokowane przez Polskę Konkluzje Rady UE, realizują interesy przede wszystkim wspomnianych środowisk, wynosząc je na piedestał walki o prawa obywatelskie.

Przesadzam? Bynajmniej. Polska proponowała przecież, by we wspomnianym dokumencie zawrzeć także zapis dotyczący ochrony praw chrześcijan prześladowanych i dyskryminowanych w wielu krajach, wskazując takie wydarzenia jak zbrodnia przeciwko katolickiemu kapłanowi w Normandii czy zamach na jarmark bożonarodzeniowy w Berlinie. Rada UE promująca zagwarantowanie prawne realizacji dążeń gejów i lesbijek nie zgodziła się na zapisanie w Karcie ochrony praw chrześcijan. To dzięki Polsce dokument nie będzie obowiązywał.

À propos – warto, by unijni urzędnicy tak wiele uwagi poświęcający Polsce prześledzili, jak kształtowały się w Rzeczypospolitej prawa i swobody obywatelskie. Może się czegoś nauczą. ©℗

eprasa.pl a64665f984

PFR
Polski Fundusz Rozwoju

Polskie Koleje Linowe

Polski Fundusz Rozwoju odkupił Polskie Koleje Linowe – przedsiębiorstwo z 80-letnią tradycją. Kasprowy Wierch i Gubałówka są symbolem i wizytówką polskich Tatr. To także atrakcyjna inwestycja o bardzo dużym potencjale.

PFR jako stabilny inwestor będzie rozwijał infrastrukturę i ofertę PKL we współpracy z lokalną społecznością i z dbałością o środowisko naturalne. Jesteśmy dumni, że możemy przyczynić się do rozwoju PKL, z których tak chętnie korzystają polscy i zagraniczni turyści.

Inwestycje dla Polski

Infolinia Grupy PFR: 800 800 120
www.pfr.pl

epresa.pl a

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wielka gra już trwa

Kiedy ostatnio sięgnęli państwo po tekst dotyczący wielkiej gry, która niestety toczy się na ogół ponad naszymi głowami? Nie muszą państwo odpowiadać. Jazgot codziennej polityki skutecznie zagłusza odgłosy tła. To znaczy – na razie to są odgłosy tła, ale gdy takimi być przestaną i gdy coś porządnie huknie tuż obok nas, na zorientowanie się w sytuacji będzie za późno.

Postawa Trumpa „wszystko albo nic" może w którymś momencie postawić sojuszników przed wyborem strony

Tym bardziej warto odnotować, jeśli zmagania wielkich znajdują jakieś odbicie w polskiej debacie, nawet jeśli to odbicie słabe i w ograniczonym kręgu. Tak się stało z wystąpieniem wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a w think tanku Hudson Institute 4 października. Pence wyjaśnił w nim, dlaczego narasta napięcie między Chinami a Stanami Zjednoczonymi. Oskarżył Pekin o agresywną ekspansję ekonomiczną i polityczną, wykradanie sekretów technologicznych czy wywieranie presji na instytucje, również w USA, krytykujące Chiny. Wskazał na rosnącą wszechwładzę przewodniczącego i prezydenta ChRL Xi Jinpinga. Przypomniał o amerykańskich cłach na chińskie towary o wartości 250 mld dol.

To wszystko nie stanowi nowości, również gdy chodzi o stanowisko Waszyngtonu, ale jest dobrym podsumowaniem sytuacji. Rozdźwięk między Niemcami a USA popycha w naturalny sposób Berlin – a co za tym idzie, znaczną część Europy, też niechętną Ameryce – ku Pekinowi. Z kolei postawa Trumpa „wszystko albo nic" może w którymś momencie postawić sojuszników przed wyborem strony, za którą się opowiadają.

Nie ma się co łudzić – Polska nie będzie tutaj głównym rozgrywającym. Jednak nie znaczy to, że możemy się tylko przyglądać i nic nie robić. W polityce zagranicznej, jak wiadomo i jak boleśnie nauczyła nas historia, zawsze trzeba planować zgodnie z wariantem najbardziej pesymistycznym, nie najbardziej optymistycznym. Najbardziej pesymistyczny wariant to ten, w którym zostajemy zmuszeni do dokonania bardzo dla nas niedogodnego wyboru pomiędzy ważnymi dla nas partnerami – USA i Niemcami – lub kiedy zmuszeni jesteśmy odrzucić potencjalnie duże korzyści gospodarcze, wynikające ze współpracy z Chinami, na rzecz bezpieczeństwa zapewnianego przez Waszyngton – albo odwrotnie.

Dobrze byłoby jednak wiedzieć, że o możliwych scenariuszach rozwoju wypadków w ciągu najbliższej dekady myśli ktoś więcej niż kilku zafascynowanych sprawami międzynarodowymi publicystów i ekspertów, którzy walczą z frustracją wynikającą z przekonania, iż ich analiz nikt decyzyjny nie czyta. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Jednoczmy się!

Dzisiaj będzie o politycznej jedności. W obliczu 100. rocznicy odzyskania niepodległości przekonują do niej premier, prezydent i premier na uchodźstwie – Donald Tusk. Ten ostatni do zburzenia murów wezwał podczas spontanicznego wiecu w Krakowie. „Cieszymy się, że Tusk odpowiedział na nasz apel o jedność" – napisała marszałek Beata Mazurek.

I kiedy było już tak dobrze, a polityczne plemiona kończyły zakopywać topory, wszystko popsuł Mateusz Morawiecki, rzucając na spotkaniu wyborczym, że nie ma czasu „haratać w gałę", jak poniektórzy, bo dniem i nocą pracuje dla Polski. „Haratanie w gałę to zajęcie dla dżentelmenów" – odparł przewodniczący Rady Europejskiej.

A później, również w ramach budowania wspólnoty, wrzucił swoje zdjęcie z Bono, na którym razem wskazują palcami na plakat z napisem: „KONSTYTUCJA". „Coś czuję, że z przeróbką tego zdjęcia spędzimy na TT kolejne 24 h" – skomentował Michał Majewski. I miał rację. Posypało się pełno jego wersji: od podmienienia plakatu na okładkę płyty Oasis (fani U2 zrozumieją) do przedwyborczych słupków sondażowych.

Najbardziej stratny na tym jednoczeniu okazał się jednak Michał Szułdrzyński z „Rzeczpospolitej". Skądinąd sympatyczny redaktor-symetrysta zarobił w tym samym czasie bana. „Ta chwila, gdy blokuje cię Donald Tusk" – skomentował refleksyjnie. „Wow!" – dodała zszokowana Dominika Wielowieyska. Gdy zapytałem Michała, skąd podobny afront od przewodniczącego, odparł, że nie wie i trzeba by zapytać Pawła Grasia, „jeśli jeszcze mnie nie zablokował". Wywołany do tablicy przez Joannę Miziołek („Pewnie Graś o tej porze śpi" – a była 23), odparł, że nie śpi. Tyle.

Przy okazji na Twitterze rozpoczął się nalot dywanowy na Roberta Biedronia, który ośmielił się pójść do TVP Info i skrytykować lata rządów PO-PSL. Oddajmy głos Hannie Lis: „Robert Biedroń nową gwiazdą propagandy PiS. Twierdzi, że stał się »wrogiem środowisk liberalnych«. Nie, Robercie, jakkolwiek Cię lubię, to muszę to powiedzieć: stałeś się pożytecznym idiotą Kaczyńskiego. Żadnego pożytku dla Polski z tego nie będzie, a i ego wkrótce sflaczeje". Kurczę. A miał być politycznym mesjaszem opozycji. ©℗

eprasa.pl a64665f984

Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl

eprasa.pl a64665f984

Kapituła VI edycji nagrody Strażnik Pamięci FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Honory na niepodległość

Wojciech Wybranowski

Znamy już finalistów konkursu Strażnik Pamięci 2018. W przededniu setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę specjalnymi statuetkami uhonorowani zostaną twórcy, instytucje i firmy, które w sposób szczególny upamiętniają i promują polską historię

Pierwszy wtorek listopada. To będzie szczególny dzień. Dlaczego? Wieczorem, na Zamku Królewskim w Warszawie – jak co roku, od czasu, gdy pięć lat temu powstał tygodnik „Do Rzeczy”, podczas uroczystej gali, bogato ilustrowanej muzyką, z udziałem znamienitych gości ze świata polityki, biznesu i nauki, przyznamy statuetki Strażnika Pamięci 2018. Specjalne wyróżnienie, które stało się już jedną z najważniejszych nagród przyznawanych ludziom szczególnie zasłużonym dla Polski.

– Podczas VI edycji Strażnika Pamięci, podobnie jak podczas wszystkich wcześniejszych edycji konkursu, staraliśmy się docenić osoby w sposób szczególny zaangażowane w troskę o pamięć o polskiej przeszłości, jej promowanie i odkrywanie, wsparcie dla jakże ważnej opowieści o naszych dziejach – mówi Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” i przewodniczący kapituły konkursu. Dodaje, że tegoroczne nagrody, ponieważ przypadają w przededniu 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę, będą miały charakter szczególny.

– Kapituła nagrodziła te osoby, które w największym stopniu przyczyniły się

Patronat honorowy

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

niepodległa POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Partner strategiczny

ORLEN

Sponsor

PGNiG

eprasa.pl a64665f984

do utrzymania polskiej ciągłości historycznej, kulturowej, pielęgnując poczucie dumy narodowej – mówi szef „Do Rzeczy”.

Znaczenie nagrody Strażnika Pamięci przyznawanej przez nasz tygodnik podkreślał m.in. prezydent RP Andrzej Duda, który w 2016 r. w liście do uczestników konkursu napisał: „Nagroda Strażnik Pamięci uchodzi już za laur niezwykle prestiżowy. Jestem przekonany, że z upływem lat ów prestiż będzie się umacniał. Strażnik potrzebny jest tam, gdzie trzeba zapobiec możliwym stratom. Wiedza o przeszłości naszego państwa i narodu jest narażona na dwojakie niebezpieczeństwo: na zapomnienie lub zniekształcenie. A wcale nierzadko mamy do czynienia zarówno z tym pierwszym, jak i drugim zjawiskiem [...]. Dlatego też wysiłki strażników i popularyzatorów polskiej pamięci historycznej wpisują się w nurt czynnego patriotyzmu, wymiernej pracy na rzecz wspólnego dobra”.

Tradycyjnie już obradująca w miniony poniedziałek kapituła konkursu wybrała w trzech kategoriach – „Twórca”, „Instytucja” i „Mecenas” – po pięć osób lub instytucji, które zostaną uhonorowane statuetkami Strażnika Pamięci.

Inaczej jednak, niż bywało to w poprzednich latach – nie ma nominowanych – bo wszyscy wskazani przez gremium konkursowe zostali uznani za zwycięzców, każdy z nich zostanie też przez nas uhonorowany nagrodą. Spośród nich, dodatkowo, w każdej kategorii zostanie przyznana jedna nagroda główna.

Kto w tym roku został finalistą konkursu? Oto nazwiska laureatów Strażnik Pamięci 2018.

W kategorii „Twórca”, w której honorujemy osoby, które przyczyniły się do odnowienia polskiej pamięci:

PROFESOR JAN MAREK CHODAKIEWICZ – historyk, publicysta. Profesor ISW w Waszyngtonie, autor m.in. „Intermarium: the Land between the Black and Baltic Seas”;

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI – publicysta i dziennikarz, autor książek opisujących komunistyczne zbrodnie na Polakach;

PROFESOR ROBERT FROST – historyk, autor „The Oxford History of Poland – Lithuania;

DENIS DELIĆ – reżyser filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”;

STANISŁAW SROKOWSKI – pisarz, autor licznych powieści i opowiadań opisujących zbrodnie ukraińskie dokonane na Polakach na Wołyniu.

W kategorii „Instytucja”, w której nagradzamy muzea, stowarzyszenia, fundacje, nowo powołane organizacje lub te, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy promujące i utrwalające polską historię:

AMBASADOR JAKUB KUMOCH I AMBASADA RP W BERNIE – za działalność na rzecz upamiętnienia akcji ratowania Żydów podczas II wojny światowej, którą prowadzili polscy dyplomaci;

ARKADIUSZ GOŁĘBIEWSKI – organizator Festiwalu Filmowego Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci;

ZWIĄZEK PAMIĘCI OFIAR OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ – upamiętniający Polaków, zamordowanych w trakcie sowieckiej akcji wymierzonej w żołnierzy i działaczy podziemia niepodległościowego;

CENTRUM HISTORII „ZAJEZDNIA” – miejsce nowoczesnych wystaw historycznych, projektów edukacyjnych i kulturalnych;

WYDAWNICTWO GLAUKOPIS.

W kategorii „Mecenas”, w której nagrodę przyznajemy podmiotowi publicznemu lub komercyjnemu, który w szczególny sposób materialnie wspiera dbałość o pamięć historyczną:

PGE – Polska Grupa Energetyczna;

WALDEMAR GUJSKI – prawnik, wykładowca polskich i zagranicznych firm;

ART MEDIA – Galeria Delfiny;

JAN BIAŁOSTOCKI – współtwórca Festiwalu Filmowego Niepokorni Niezłomni Wyklęci;

FUNDACJA PAMIĘTAM – zabiegająca o upamiętnienie ludzi, którzy w drugiej połowie lat 40. i na początku 50. ubiegłego stulecia podjęli walkę zbrojną z komunistami.

W przypadku wszystkich tych instytucji i osób redakcja chce docenić ich zaangażowanie we wspieranie projektów upamiętniających polską pamięć. Dlaczego jest to tak ważne? Oddajmy głos marszałkowi Senatu RP Stanisławowi Karczewskiemu, który w 2017 r. do laureatów i organizatorów konkursu Strażnik Pamięci napisał: „W moim głębokim przekonaniu wiedza i pamięć historyczna są fundamentem budowania polskiej tożsamości wśród przyszłych pokoleń Rodaków urodzonych w kraju i za granicą. Odwołując się do przeszłości i bogactwa dziedzictwa narodowego, budzimy dumę z przynależności do Narodu Polskiego oraz kształtujemy postawy obywatelskie, nacechowane patriotyzmem wśród młodej generacji. To wielka inwestycja w przyszłość wspólnego dobra, któremu na imię Polska”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Partnerzy

PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company
Poczta Polska
Bank Pekao
PKP INTERCITY
TOTALIZATOR SPORTOWY
BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
99 RENT

Współorganizator

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl a64665f984

WYBUCHOWA GRETKOWSKA

Manuela Gretkowska, feministka, pisarka i niedoszła polityk, w wywiadzie dla „Vivy!" opowiada o swoich doświadczeniach z różnymi stanami świadomości. Jak się okazuje, ma w tym spore doświadczenie, choć – jak deklaruje – nie ma to nic wspólnego z narkotykami. Mówi, że woli poszerzać świadomość innymi sposobami. – W trakcie buddyjskich rytuałów, konkretnie tybetańskich, bo takie znam, masz bardzo ścisłe instrukcje, co robić, żeby wyzwolić umysł. I wtedy można osiągać różne stany – tłumaczy. Mówi też, że doświadcza „całego spektrum stanów mistycznych", mając ataki padaczki skroniowej. – Nie ma ataków zewnętrznych, natomiast jest całe spektrum stanów mistycznych. Bardzo ciekawych i poszerzających świadomość. Nie halucynacji. Tylko autentycznych wglądów pozazmysłowych – mówi. Dodaje, że podczas takiego ataku może zobaczyć przyszłość albo uszkodzić sprzęt elektryczny. Serio. – Moja przyjaciółka graficzka nie pozwala mi się zbliżać do swego komputera. Ma bardzo drogi sprzęt. Kiedyś w jednym z wydawnictw stanęłam koło dużego sprzętu i wybuchł. Moje dziecko krzyczy, żebym w windzie nic nie dotykała, bo ono się boi – opowiada Gretkowska. My też się boimy, czytając słowa Gretkowskiej. Czy jak udziela wywiadów, nie mogłyby wybuchać dyktafony?

WYRAFINOWANA ALUZJA

Aktorka Dominika Ostałowska powraca do obsady serialu „M jak miłość". Przy tej okazji postanowiła opowiedzieć magazynowi „Show", jak ciężko i źle mają polscy aktorzy. Nie dość, że muszą grać w kilku serialach naraz, to jeszcze na dodatek są to seriale bardzo kiepskie. – Aktorzy w Polsce nie zarabiają tyle, by nie grać w pięciu produkcjach naraz. Zarobków aktorów w Polsce i na Zachodzie nawet nie da się porównać. Zazdroszczę, że tam zarobki pozwalają aktorom poświęcić się jednej roli w roku – mówi Ostałowska. Narzeka też na poziom krajowych seriali, wyznając, że w dobrym serialu mogłaby zagrać nawet za darmo! – W „Black Mirror" czy „Stranger Things" zagrałabym za darmo. To ogromna przyjemność oglądać te produkcje, ale jest to jednocześnie frustrujące. W Polsce trzeba jeszcze poczekać na tak wyrafinowane seriale – uważa. Wynika z tego, że każdy serial, za który pani Dominika bierze wynagrodzenie, prywatnie uważa za szmirę. Bo gdyby był na poziomie, grałaby za darmo. Plus za szczerość. I radę, czego za żadne skarby nie oglądać!

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE ŻYCZĘ SOBIE!

Piosenkarka Ewa Farna w rozmowie z portalem Plejada.pl mówi, że nie zgadza się na to, by jej życie prywatne było przedmiotem zainteresowania mediów. I że nie przejmuje się za bardzo niepochlebnymi komentarzami innych, bo są i zawsze będą. – Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek zaglądał do mojego łóżka, portfela czy mojej macicy. O ile, oczywiście, nie jest to mój mąż. Uważam, że to są tematy, które nie powinny nikogo interesować – mówi kategorycznie. – Show-biznes karmi się takimi rzeczami. Jak urodzę dziecko, to zaczną mnie pytać, kiedy kolejne. Pewnie parę razy przeczytam też o tym, że mam kryzys w małżeństwie. Z kolei jak schudnę, to pojawią się pytania o to, czy przestałam siebie akceptować w większym rozmiarze, no i kiedy dopadnie mnie efekt jo-jo. Cały czas coś się znajdzie – dodaje. I dopóki się znajduje, dopóty kariera Ewy jakoś się kręci. Dlatego czasem lepiej uważać z tymi wszystkimi „nie życzę sobie", bo jeszcze się spełnią. I co wtedy?

PIESKIE ŻYCIE

FOT. BIAG/AKM-GSI/FORUM

Celebrytka Dżoana Krupa jakiś czas temu rozwiodła się ze swoim mężem Romainem Zago i zdążyła już nawet wyjść ponownie za mąż. Rozwód przebiegł bez większych nieporozumień i kłótni. Po pewnym czasie pojawił się jednak pewien zgrzyt. Dotyczy on wspólnych zwierzaków, które miała para. A konkretnie psów. Jak donosi „Fakt", były mąż Dżoany chce, by część z nich zamieszkała teraz z nim. Dżoana, która kocha zwierzęta, a psy w szczególności, nawet nie chce o tym słyszeć. – Romain stwierdził, że część z szóstki ich psów powinna teraz zamieszkać z nim. Wcześniej mieszkał w Miami, więc to było trudne. Teraz, skoro ma dom obok Joanny, nie stanowi to problemu, a Joanna mogłaby je odwiedzać – zdradza informator „Faktu". – Joanna nie chce się na to zgodzić i straszy Romaina sądem. On nic sobie z tego nie robi i gotów jest walczyć – dodaje. Dżoana powinna zaproponować TVN reality show z tego darcia kotów o psy. To lepsze niż wszystkie edycje „Tap Madl" razem wzięte! ©℗

eprasa.pl a64665f984

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ale straszna historia w korpo. Otósh Nowy z Tarnowa zaatakował kolegę-geja, iż ten złamał deadline na przygotowanie jakiegoś tam raportu, na co kolega-gej odpowiedział:

– Ale przynajmniej nie złamałem konstytucji.

Na co Nowego zatkało, wszystkie haerówki wstały i zaśpiewały „Odę do radości", a my klaskaliśmy, ale w świeckim duchu, iż jednak chcielibyśmy zachować premie xD

Chyba nikt na to nie wpadł, ale czy na pewno nie dałoby się zorganizować opozycyjnych wobec pisowskiego reżimu wyborów samorządowych, w których wybralibyśmy rady miast i powiatów cienioosób oraz alternatywnych prezydentów i burmistrzów? (iż wójtowie nas nie interesują, bo są z małych ośrodków).

Popatrzcie: przeciesh możemy zorganizować własną sieć konspiracyjnych lokali wyborczych, przygotować własne karty do głosowania, wykluczymy fashystów, a następnie zagłosujemy, na ile osób kto będzie chciał, iż wybór tylko jednego kandydata to fashysm i churching, iż kojarzy nam się z jakąś przysięgą wierności.

Następnie ktoś mógłby orzec, iż to nasze wybory są ważne, i problem fashysmu w tym kraju będzie rozwiązany xD, a jeśli pis będzie się o coś rzucał, to poprosimy Unię o wsparcie.

Przypał. Na greckiej wyspie Santorini niebawem zacznie obowiązywać prawo, według którego osoby grawitacyjnie uposażone ponad 100 kg nie będą mogły zwiedzać wyspy, jeżdżąc na osiołkoosobach.

Jest to klasyczna sytuacja, w której nie wiemy, co należy myśleć, iż z jednej strony mamy dyskryminację osób obwodowo szerokich, a z drugiej strony mamy troskę o osiołkoosoby oraz odpowiednie dla nich warunki wykonywania pracy.

Nie mamy pojęcia, czy w odpowiedniku klasycznej gry kamień, nożyce, papier grawitacyjne uposażenie wygrywa z prawami zwierząt, czy jest odwrotnie. Tym razem zdecydowanie musimy poczekać na jakieś oświadczenie organizacji antydyskryminacyjnych.

Tyle hałasu o nic :(Netflix ogłosił obsadę wielu ról w serialu „Wiedźmin" i okazuje się, iż w każdej z ujawnionych ról kobiecych zagra waginoosoba, osoby uposażone fallicznie odegrają zaś tzw. mężczyzn.

Czyli nie dość, iż twórcy ugięli się pod stereotypem białego Wiedźmina-Polaka, w średnim wieku, z zarostem i pigmentalnie nieuposażonymi włosami, to jeszcze nie chcieli ryzykować genderowo i role rozdysponowali według kryterium biologicznej definicji płci.

No, słabo. W dodatku tylko jedna czarodziejka zostanie odgrywana przez osobę uposażoną pigmentalnie. Porażka na całej linii. ©℗

Czy na pewno nie dałoby się zorganizować opozycyjnych wyborów samorządowych?

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl a64665f984

dwaj panowie g

Na Nowogrodzkiej martwią się Pawłem. No jak to którym? Kukizem. Miało być pięknie: kwiaty, współpraca, koalicja w sejmikach wojewódzkich, a tu Paweł obsobacza premiera Mateusza i inne osoby bliskie sercu Kaczora Dyktatora. Teraz Paweł powinien pokładać nadzieję jedynie w tym, że może Kaczor Dyktator nie ma serca. A Kaczor Dyktator w tym, co mówią źli ludzie od sondaży.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Au złych ludzi od sondaży ostatnie wnioski przed wyborami są takie, że PiS wygrywa w 13 sejmikach, w ośmiu może rządzić, w tym w trzech samodzielnie. A może i w więcej niż trzech. Wszystko przez wstrętnego zwierza o nazwie Polaryzacja. Polaryzacja sprawia, że przedstawicieli mniejszych partii w sejmikach będzie raczej niewielu.

W miastach też grasuje zwierz zwany Polaryzacją. Na przykład chłopakom z Koby (Koalicji Obywatelskiej) wyszło ostatnio z sondaży i symulacji, że w radzie Warszawy w ogóle nie będzie żadnych kukistów ani czerwonych komunistów, zielonych komunistów ani innych cyklistów z ruchów miejskich. Tylko PiS i Peło, znaczy Koba. Straszna świnia z tej Polaryzacji.

Zkolei chłopakom od sondaży z PiS wyszło, że bliska jest wygrana na przykład w województwie mazowieckim i odebranie władzy zielonemu Struzikowi. Tyle że do rządzenia potrzebna będzie koalicja. No ale z kim ją zawierać, skoro małym ma pójść tak kiepsko? Powtarzamy: straszna świnia z tej Polaryzacji.

Marszałek Struzik tymczasem zawiódł nasze oczekiwania. Jest taka świecka tradycja, że zawsze, gdy idą wybory, organizuje jakąś kampanię społeczną za nasze, żeby się zareklamować. W 2014 r. była to akcja promująca kamizelki odblaskowe dla dzieci pod hasłem: „Jesteś widoczny, jesteś bezpieczny. Adam Struzik. Zachęcam!". W tym roku zielony Napoleon wymyślił akcję: „20 lat samorządu województwa mazowieckiego". No i tym nas zawiódł, bo chwali się pieniędzmi, które wydał na biblioteki i Muzeum Literatury. Przyznacie przecież sami, że Struzik z odblaskiem na poboczu wiejskiej drogi lepszy jest od Struzika w Muzeum Literatury.

Wracając na chwilę do sondaży i symulacji. Ciekawa sprawa, ale na Nowogrodzkiej wszyscy trzymają kciuki za Pawła Adamowicza, wyrodnego syna Peło, skompromitowanego prezydenta Gdańska, pana na licznych mieszkaniach. Przyczyna owej nagłej miłości jest prosta: liczby mówią, że w drugiej turze w Gdańsku Kacper Płażyński wygrałby z Adamowiczem, ale przegrał z młodym Wałęsą. Nowogrodzka życzy więc Adamowiczowi jak najlepiej.

Chłopakom od sondaży z PiS wyszło, że bliska jest wygrana w Mazowieckiem i odebranie władzy zielonemu Struzikowi

Ostatni tydzień kampanii. Rafcio Trzaskowski z Pawłem Rabiejem zamierzają zakończyć swą kampanię w Warszawie efektownym eventem. Na pewno będzie dużo o tym, że PiS jest zły, i o farbowanym lisie Patryku Jakim. Byłoby dobrze wzbogacić imprezę słowami jakiegoś autorytetu moralnego. Mamy dla Rafcia odpowiedni cytat: „Mój sposób myślenia o partiach jest taki, że im mniej interesu partyjnego i im więcej konsensu, tym lepiej. Natomiast młode pokolenie funkcjonujące już na rynku politycznym uważa, że jeśli nie ma wroga, to trzeba go tworzyć, bo polityka wymaga konfliktu". Nie, to nie Mateusz Morawiecki. To mentor Rafcia – Bronisław Geremek – powiedział. Przepraszamy Rafcia, że nie podaliśmy tego cytatu po francusku.

Źli ludzie opowiadają, że kandydat Patryk Jaki od dawien dawna nie znajduje jakoś czasu na wizytę w telewizji Republika i że nie znajdzie tego czasu aż do wyborów, a może i dłużej. Źli ludzie twierdzą, że Tomka Sakiewicza, pana na Strefie Wolnego Słowa, nie łączą od pewnego czasu zbyt dobre relacje z Jakim. Nie wierzymy złym ludziom, Tomek ma ze wszystkimi relacje dobre niczym z braćmi.

Pamiętacie Rafała Baniaka, wiceministra skarbu w czasach Tuska? Wiewiórki donoszą, że postanowił dorobić się na współczesnym niewolnictwie. Podłe zwierzątka utrzymują, że podobno część śniadych dostawców Uber Eats śmigających po ulicach polskich miast to efekt udanego importu Baniaka z Indii, Pakistanu czy Bangladeszu.

Apropos egzotycznych kierunków. Czapa, jak popularnie nazywany jest szef MSZ, planuje wizytę w Senegalu. I dobrze, bo Afryka to w tej chwili najmodniejszy kierunek dyplomatów z całego świata. Diabeł tkwi w szczegółach: w Senegalu głównym punktem wizyty ma być otwarcie polskiej ambasady. Oczywiście cieszy nas, że rozszerzamy sieć placówek. Jeden tylko problem – tę samą placówkę raz już otwierał srebrny lis polskiej dyplomacji, nieodżałowany bohater naszej rubryki, niejaki Waszczu.

eprasa.pl a64665f984

Dodajmy też, że nie jest to jakieś okazałe miejsce. Raptem 180 m mieszkania. Starego gmachu ambasady wciąż nie udało się bowiem odzyskać.

À propos podróży zagranicznych. Źli ludzie z Kancelarii Prezydenta sarkają, że Wojtek Kolargol Kolarski poleciał z prezydentem Andrzejem Sebastianem na wyprawę do Szwajcarii, podczas gdy oni musieli zostać i pracować. To niezupełnie tak. Właściwe zdanie narzekające powinno brzmieć: „Gdy oni musieli zostać, a wyjechał jedyny, który pracuje".

Zła wiadomość dla antyszczepionkowców: Stanisław Karczewski oraz Łukasz Szumowski zamierzają się publicznie zaszczepić

Mamy złą wiadomość dla antyszczepionkowców. Lekarz marszałek Senatu Stanisław Karczewski oraz minister zdrowia Łukasz Szumowski zamierzają się publicznie i demonstracyjnie zaszczepić, tak samo jak kiedyś Karczewski zrobił to z ministrem Radziwiłłem. Trzymamy kciuki, żeby nie przydarzył się im wstrząs anafilaktyczny. Oczywiście, antyszczepionkowcy trzymać będą kciuki, żeby wręcz przeciwnie.

Jeśli ktoś jeszcze nie wie, to podpowiadamy: Rysiek Petru założył profil na Instagramie. Umieszcza tam jednak dziwne zdjęcia, pełne smutku, melancholii i samotności jesiennych spacerów. Źli ludzie z okolic Nowoczesnej opowiadają, że ich dawny lider przeżywa kryzys egzystencjalny. Nie tylko z powodu politycznej klęski. Przede wszystkim z powodu kłopotów z Joasią. Nawet mapy kościelnej pedofilii nie sprawiają mu już tyle radości co dawniej.

Na koniec coś, co lubimy najbardziej, czyli ploteczka dotycząca ludzi, których znamy i cenimy. Jeden z gości w prezydenckim pałacu zaproszony tam na ogłaszanie wyników ostatnich prac prof. Szwagrzyka opowiadał nam, że dostrzegł, jak nasz ulubiony psor Sławek Cenckiewicz obsobacza tego kudłatego gościa z brodą od Andrzeja Sebastiana, że kawa jest za cienka i z wielkich termosów, a powinna być z ekspresu. My również uważamy, że kawa w pałacu powinna być lepsza. Marchewki u Krzyśka Szczerskiego też są jakieś suche. ©℗

REKLAMA

The new is coming

Citizen ogłasza otwarcie sezonu nowości jesień/zima 2018. Nowe modele zaczynają pojawiać się w autoryzowanych punktach sprzedaży, a wśród nich zegarki nietypowe, wyjątkowe, limitowane. Producent, obchodzący w tym roku 100. rocznicę swojej działalności, serwuje cały wachlarz różnorodnych czasomierzy. Wśród nich warto przyjrzeć się między innymi modelowi CB5001-57E – pięknemu reprezentantowi kolekcji PROMASTER. Zegarek dla aktywnych: zasilany światłem dzięki modułowi Eco-Drive bez użycia tradycyjnej baterii, z automatyczną korektą wskazań czasu dzięki synchronizacji radiowej (Radio Controlled). Dodatkowo wyposażony w suwak logarytmiczny, klasyfikuje się do serii sportowych zegarków „pilotów". Jednakże doskonale komponuje się również z bardziej elegancką stylizacją garniturową. Średnica zegarka wynosi 45 mm, a wodoszczelność 200 m. Modele z serii CB50 wyposażone są w szafirowe szkło i dostępne w wersji stalowej na bransolecie lub na kauczukowym pasku bądź całkowicie wykonane z opatentowanego przez CITIZEN Super Titanium™.

Cena: 1980–2690 zł

Citizen.pl

eprasa.pl a64665f984

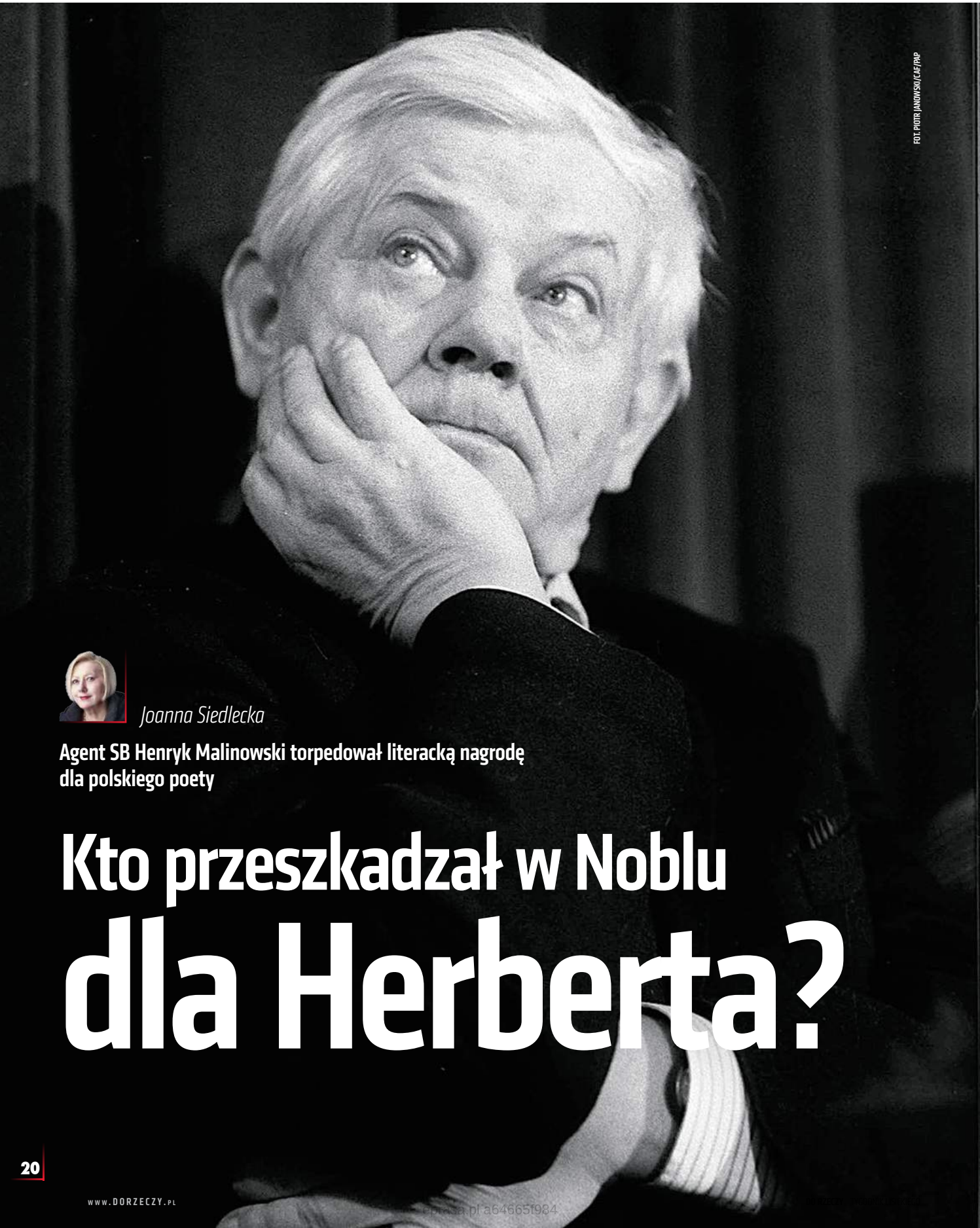

FOT. PIOTR JANOWSKI/CAF/PAP

Joanna Siedlecka

Agent SB Henryk Malinowski torpedował literacką nagrodę dla polskiego poety

Kto przeszkadzał w Noblu dla Herberta?

eprasa.pl a64665f984

W 2009 r. historyk poznańskiego oddziału IPN, Rafał Sierchuła, odnalazł w archiwach SB sensacyjną notatkę, która stała się newsem wielu internetowych portali i gazet. Wynikało z niej, że tajna policja interesowała się również literackim Noblem – niezidentyfikowany tajny współpracownik relacjonował przebieg wizyty w Polsce w maju 1968 r. Sekretarza Generalnego Noblowskiego Komitetu, Andersa Österlinga, który miał zdradzić Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, prezesowi Związku Literatów, że Komitet rozważa przyznanie Nobla dwóm Polakom wytypowanym przez Zachód – Herbertowi lub Gombrowiczowi. A tymczasem oficjalnymi kandydatami PRL byli właśnie Iwaszkiewicz, a także Jerzy Andrzejewski oraz Jan Parandowski. Tajny współpracownik scharakteryzował też Herberta i Gombrowicza więcej niż krytycznie, zdaniem Rafała Sierchuły, dostarczając na nich „haków", które mogłyby zaszkodzić ich noblowskim szansom, oczywiście nie wiadomo z jakim skutkiem, w każdym razie Nobla nie dostali.

Poznańskiemu historykowi nie udało się rozszyfrować tożsamości tajnego współpracownika, ale mnie tak, a to w tej sprawie bardzo ważne. W utrzymywanym i dyrygowanym przez partię Związku Literatów, w czasach reglamentowanych wyjazdów na Zachód, oprócz prezesa i wiceprezesów, w najwyższym kręgu mandarynów znajdowali się również kierownicy wydziałów zagranicznych, zwykle nasyłani z góry politrucy. W latach 60. był nim Henryk Malinowski (1926–1973), który właśnie okazał się nienamierzonym do tej pory, gorliwym TW „na obiekcie Związek Literatów" o pseudonimie Kurier. I to on był autorem noblowskiej notatki, pilotował wizytę „pana od Nobla".

A jego teczka pokazała też, kogo delegowano na tzw. literacki i noblowski front. TW „Kurier" był nie tylko zwykłym agentem, ale do 1956 r. zawodowym, etatowym funkcjonariuszem Departamentu II (kontrwywiadu) Urzędu Bezpieczeństwa w stopniu porucznika. Co znamienne, zwolnionym właśnie wtedy, gdy na fali Października bezpieka reorganizowała się i uwiarygodniała, pozbywając się najbardziej skompromitowanych, od mokrej roboty, wyrywania paznokci tzw. manikiurzystów. Czy należał do nich TW „Kurier"? Trudno powiedzieć, bo takich rzeczy w papierach nie notowano, służył zresztą w kontrwywiadzie, usunięto go jednak razem z nimi.

Z bezpieki często delegowano wtedy do kultury. Krwawa Luna Bristigerowa i Jacek Różański, sadystyczny dyrektor Departamentu Śledczego, zostali przecież redaktorami PIW. „Za to, co zrobili, było kiedyś pif-paf!, a dziś tylko PIW" – żartowali wisielczo pisarze i pytali przerażeni, ile lat mogą teraz dostać za arkusz prozy. Porucznika Malinowskiego też rzucono do kultury, do Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, niemal jawnej przybudówki SB przy Ministerstwie Kultury. A w 1961 r. jako pewnego i sprawdzonego znów „podjęto na kontakt", delegując na jedną z kluczowych posad w Związku Literatów – kierownika wydziału zagranicznego. I to on decydował o wyjazdach pisarzy, zwłaszcza na Zachód, zachodnich stypendiach, tytułach książek przeznaczonych do tłumaczenia itd.

„Dostarcza wielu cennych wiadomości. Bezwzględnie oddany sprawie socjalizmu. Zna dobrze pracę kontrwywiadowczą i jako TW jest jednostką wartościową" – charakteryzowali TW „Kuriera" jego przełożeni z MSW.

W imieniu Związku Literatów witał więc „pana od Nobla" na lotnisku, obstawiał go też na wydanym na jego cześć bankiecie w Radziejowicach. Jednym z najbardziej reprezentacyjnych miejsc dla przyjęć szczebla najwyższego, w przepięknym, zabytkowym, XVII-wiecznym pałacu odebranym po wojnie hrabiom Krasińskim. Oprócz TW „Kuriera" zaproszono notabli z wielu najważniejszych instytucji: Witolda Balickiego z Ministerstwa Kultury, Bogumiła Płazę z Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, Mirosława Żuławskiego z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Jana Parandowskiego, prezesa Pen Clubu, Michała Rusinka z Agencji Autorskiej i oczywiście prezesa Iwaszkiewicza, wiceprezesa Putramenta, sekretarza Gisgesa ze Związku Literatów oraz kilku pisarzy, ulubieńców władzy: Tadeusza Brezę, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Juliana Przybosia.

Na bankiecie, jak relacjonował później TW „Kurier", „pan od Nobla" wypił chyba za dużo i wbrew obowiązującej go dyskrecji powiedział to, czego chyba nie powinien, a mianowicie, że tylko Herbert i Gombrowicz są faworytami Komitetu Noblowskiego. Iwaszkiewicz był wyraźnie rozczarowany – donosił „Kurier" – był to bowiem dla niego wielki cios. Od dawna przecież czekał na Nobla, marzył o Noblu, pisał pod Nobla, ale pupil ludowej władzy nie był pupilem Szwedów. Noblowskie obsesje Iwaszkiewicza stały się nawet tematem złośliwego wiersza Hemara i sztuki Eustachego Rylskiego „Chłodna jesień".

Był to również wielki cios dla ówczesnej władzy, której zależało wyłącznie na jej kandydatach. „Germanie wysunęli Zbyszka do Nobla. Dobrze by było, żeby i on dostał. Wtedy by się okazało, że ci, co niekoniecznie jedzą kopytka w Związku Literatów, są najsilniejsi" – pisał zaprzyjaźniony z Herbertem Tyrmand do Mrożka w maju 1967 r. Jednak to właśnie na nich stawiały PRL-owskie władze, zabiegały więc o przyjazdy do Polski przedstawicieli Szwedzkiego Komitetu, przymykając oczy na ich przekonania, „zwykle bardzo konserwatywne", zapoznawały ich z „wielkim dorobkiem kulturalnym PRL". Andersa Österlinga zaproszono razem z córką, szwedzką dziennikarką, zakwaterowano w luksusowym Bristolu, zorganizowano im bankiet w pałacu, obwieziono po Polsce – Krakowie, Zakopanym, Oświęcimiu. Szwedowi bardzo się podobało, jak mówił dziennikarzom polskiego radia. Wszystko jednak na nic, kandydatem do Nobla okazał się Gombrowicz, typowany przez Szwedów, i Herbert przez „Germanów", gdzie miał już wysoką pozycję.

TW „Kurier" był nie tylko zwykłym agentem, lecz także do 1956 r. etatowym funkcjonariuszem Departamentu II UB

A to były przecież lata późnej dekady Gomułki, Kliszki i Moczara, „dyktatury ciemniaków", jak celnie nazwał ją Kisiel, trwającej właściwie nadal zimnej wojny, walki obozu socjalistycznego z urojoną propagandą ideologiczną Zachodu, zachodnimi rewizjonistami.

Nobel dla Gombrowicza i Herberta byłby dla tej ekipy wielką klęską. Współpracownik paryskiej „Kultury", emigrant Gombrowicz, został przecież w PRL wydany jedynie na fali Października, i to częściowo, a potem zakazany, nieistniejący, objęty cenzorskim zapisem, a po oszczerczym wywiadzie Barbary Witek-Swinarskiej szkalowany jako zdrajca i renegat.

„Kosmopolitę" Herberta, uciekającego wciąż z komunistycznej zony, wprawdzie

eprasa.pl a64665f984

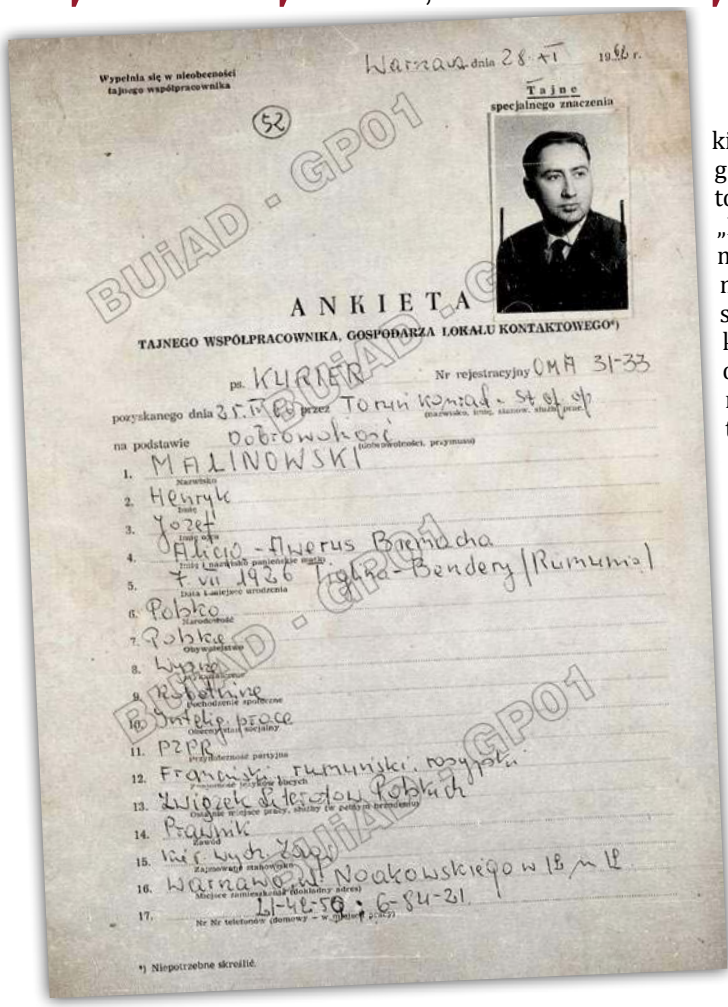
Wypełnia się w nieobecności tajnego współpracownika

Warszawa dnia 28.VI 1986 r.

Tajne specjalnego znaczenia

(52)

ANKIETA

TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA, GOSPODARZA LOKALU KONTAKTOWEGO*)

ps. KURIER Nr rejestracyjny OMA 31-33

pozyskanego dnia 3.IX.1969 przez Tomasz Komiad - st. sł. sp.

na podstawie dobrowolności

1. MALINOWSKI
2. Henryk
3. Józef
4. Alicja - Aurelia Bremacha
5. 7.VII 1926 Tołka-Bendery (Rumunia)
6. Polska
7. Polska
8. Wyższe
9. Kobietę
10. Świetlicy pracę
11. PZPR
12. Francuski, rumuński, rosyjski
13. Związek literatów Polskich
14. Prawnik
15. Nie był
16. Warszawa, Noakowskiego w 18 m 18
17. 61-46-50 : 6-84-31

*) Niepotrzebne skreślić.

FOT. IPN

w małych nakładach wydawano, ale na pewno nie był swój, karierę na „zgniłym" Zachodzie zrobił sam, nie z PRL-owskiego nadania i to już wystarczyło.

TW „Kurier", zawodowiec w dziedzinie niszczenia ludzi, scharakteryzował więc zarówno Gombrowicza, jak i Herberta bardzo krytycznie, właściwie ich zdyskredytował. „Siedzi głównie na Zachodzie, obecnie w Austrii. To zdolny poeta, ale chory umysłowo. Melancholik, izolujący się najczęściej od własnego otoczenia" – pisał o Herbercie. Dostarczył też „haka" na Gombrowicza, donosząc, że to „emigrant, przebywający od lat na Zachodzie, a jego mieszkający w Radomiu brat Jerzy podczas okupacji spędzonej w Rumunii współpracował z pisarzami reżimu faszystowskiego".

IWASZKIEWICZ DAŁ FUNDACJI NOBLA ŁAPÓWKĘ?

TW „Kurier" był młody, przystojny, o orientalnej urodzie – jak wynika z jego dokumentów, urodził się w Rumunii, jego matka była Rumunką, zaczynał karierę w rumuńskiej partii komunistycznej. Cieszył się więc sympatią wyjątkowo czułego na męską urodę prezesa Iwaszkiewicza, który bardzo go wyróżniał. Mimo to w swoim raporcie „Kurier" również go nie oszczędził, informując o noblowskich staraniach prezesa, który dał nawet „panu od Nobla" swego rodzaju łapówkę, trudno powiedzieć z czyjej kieszeni, najprawdopodobniej państwowej.

„Wśród wzajemnych komplementów – donosił – Iwaszkiewicz przypomniał Szwedowi, że z ramienia Komitetu Nagród Balzama (wybitnego mikrobiologa urodzonego w Polsce), którego był członkiem, wręczył Fundacji Nobla 1.000.000 franków szwajcarskich i dziękował Fundacji za zorganizowanie mu spotkania z królem Szwecji podczas jego pobytu w tym kraju".

TW „Kurier" zmarł nagle w 1973 r., w kwiecie wieku, mając zaledwie 47 lat, podobno z powodu alkoholizmu, zawodowej choroby swego resortu. Jak wynika z jednego z przypisów w trzecim tomie dzienników, Iwaszkiewicz zachował nekrolog o śmierci Henryka Malinowskiego – „towarzysza, członka PPR, PZPR, magistra, gorącego patrioty i komunisty, szlachetnego człowieka, którego żegnała rodzina, przyjaciele i towarzysze pracy".

TW „Kurier" przekazywał swoje informacje szefom Departamentu III MSW. Czy bezpieka mogła mieć wpływ na decyzje Komitetu Noblowskiego? Najprawdopodobniej nie. Na pewno jednak próbowała i robiła wszystko, żeby niewygodni dla władzy kandydaci Nobla nie dostali. Potwierdzają to esbeckie teczki Pana Cogito, dowodzące, że głównym celem rozprawy z nim było dyskredytowanie go na Zachodzie, i to nie tylko ze względu na ewentualnego Nobla, lecz także na coraz silniejszą tam pozycję. Próbowano go „umoczyć" najróżniejszymi oskarżeniami, m.in. najbardziej zabójczymi o jego rzekomym antysemityzmie. Zwłaszcza przed międzynarodowymi festiwalami poezji, w których Herbert brał udział, dosłownie pod lupą analizowano wiersze, które miał czytać, wyławiając „akcenty żydowskie". Jego wierszem „Pan Cogito szuka rady" o rabinie Nachmanie z Bracławia zajął się osobiście sam Belzebub numer jeden, czyli Krzysztof Majchrowski, jeszcze wtedy tylko major, wkrótce główny esbecki nadzorca literatów. Dopatrzył się w nim jednak tylko „aluzji do Marca 1968 i sytuacji Żydów w Związku Sowieckim", ale niczego antysemickiego.

SB dobrze też wiedziała, że nic tak nie kompromituje jak współpraca z nią, a nawet tylko o nią podejrzenia. Wykorzystując więc paszportowe rozmowy z Herbertem, próbowała go werbować, a gdy się nie zgadzał, pogrążała pomówieniami o współpracę. „Celowo i z premedytacją – pisano – podczas spotkań z nim i rozmów telefonicznych, nie przestrzegano zasad konspiracji, wzywając go np. często do peerelowskich konsulatów, aby można było podejrzewać go o zażyłość z naszą Placówką, odnotowały ją również zachodnie kontrwywiady, zastanawiając się nad jej charakterem".

Przede wszystkim jednak „rozrabiała" go gębą niezrównoważonego psychicznie, organizując w tym celu najróżniejsze prowokacje. I to już na początku lat 60., gdy był jeszcze młodym, zdrowym bogiem, ale za kontakty z francuską prawicą, z chadecką młodzieżówką, SB wzięła go na swój celownik. „Ogłoszono ostatnio, że umarłem w szpitalu psychiatrycznym. Byłoby to bardzo śmieszne, gdyby nie ściągano mojej chorej mamy samolotem do Gdańska. Musiałem pobić kogoś po mordzie" – skarżył się 13 marca 1965 r. swoim londyńskim przyjaciołom.

Opinią „chorego umysłowo" „Służby Hakowe" „rozrabiały" go nadal, o czym świadczy fachowa, „medyczna" charakterystyka wystawiona Herbertowi przez TW „Kuriera" w maju 1968 r., gdy jego problemy dopiero się zaczynały, a poza tym tzw. dwubiegunówka, czyli huśtawka nastrojów, przypadłość wielu artystów, choćby Wojciecha Młynarskiego, nie

JOANNA SIEDLECKA „PAN OD POEZJI. O ZBIGNIEWIE HERBERCIE" FRONDA 2018

eprasa.pl a64665f984

jest chorobą umysłową. I na tym właśnie SB się skupiła. Esbeckie teczki Herberta uderzają nieprawdopodobnym wręcz zainteresowaniem stanem jego zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego, co było po prostu komunistyczną zbrodnią bez przedawnienia. Zamiast zajmować się poglądami czy antysocjalistyczną działalnością swego figuranta, zarówno w kraju, jak i za granicą, SB śledziła jego pobyty w szpitalach, gdzie przechodził kilka operacji, jak też w klinikach, gdzie leczył depresję. „Podczas pobytu w Monachium Herbert otrzymał wzmacniające lekarstwa i cenne wskazówki lekarzy specjalistów, nie był jednak w stanie przeprowadzić kuracji, mimo że opłacono za niego hotel. Zamierza poddać się jej w Berlinie Zachodnim" – relacjonowano 13 lipca 1976 r.

Jeszcze więcej informacji o zdrowiu Herberta zdobywała SB w Polsce. W swoich raportach wymieniała nazwiska jego lekarzy, ich zalecenia, częstotliwość udzielanych mu przepustek itd.: „Lekarz, u którego zasięgnął porady, radził mu poddać się tygodniowej obserwacji w szpitalu, a nawet zmienić pracę, zająć się np. malowaniem. Dr X uzależnił przyjęcie Herberta od zgody profesora Z, u którego figurant dotychczas się leczył. Dr Z wyraził zgodę (Maj 1977)"; „Odwołanie paszportowe pisała żona ponieważ figurant przebywa akurat na leczeniu. Złożył tylko podpis, będąc na przepustce, w klinice (Czerwiec 1977)".

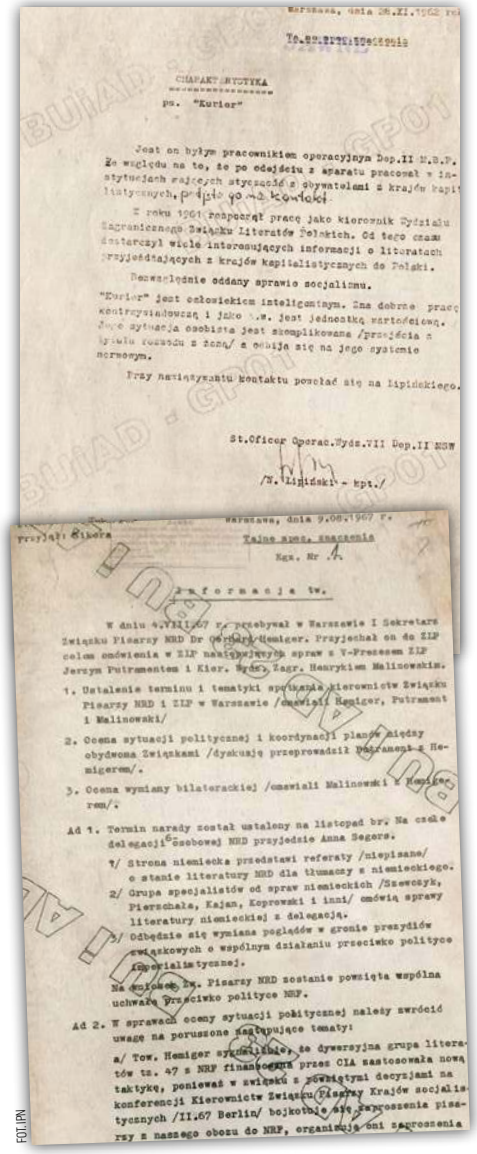

Warszawa, dnia 28.XI.1962 r.

Tajne specjalnego znaczenia

CHARAKTERYSTYKA

ps. "Kurier"

Jest on byłym pracownikiem operacyjnym Dep.II M.B.P. Ze względu na to, że po odejściu z aparatu pracował w instytucjach mających styczność z obywatelami z krajów kapitalistycznych, [illegible] go na kontakt.

Z roku 1961 rozpoczął pracę jako kierownik Wydziału Zagranicznego Związku Literatów Polskich. Od tego czasu dostarczył wiele interesujących informacji o literatach przyjeżdżających z krajów kapitalistycznych do Polski.

Bezwzględnie oddany sprawie socjalizmu.

"Kurier" jest człowiekiem inteligentnym. Zna dobrze pracę kontrwywiadowczą i jako t.w. jest jednostką wartościową. Jego sytuacja osobista jest skomplikowana /przejścia z [illegible] rozwodu z żoną/ a obija się na jego systemie nerwowym.

Przy nawiązywaniu kontaktu powołać się na Lipińskiego.

St.Oficer Operac.Wydz.VII Dep.II MSW

/N. Lipiński - kpt./

Warszawa, dnia 9.08.1967 r.

Przyjęto: Ciekot

Tajne specj. znaczenia

Egz. Nr 1.

Informacja tw.

W dniu 4.VII.67 r. przebywał w Warszawie I Sekretarz Związku Pisarzy NRD Dr Gerhard Henniger. Przyjechał on do ZLP celem omówienia w ZLP następujących spraw z V-Prezesem ZLP Jerzym Putramentem i Kier. Wydz. Zagr. Henrykiem Malinowskim.

1. Ustalenie terminu i tematyki spotkania kierownictw Związku Pisarzy NRD i ZLP w Warszawie /omawiali Henniger, Putrament i Malinowski/
2. Ocena sytuacji politycznej i koordynacji planów między obydwoma Związkami /dyskusję przeprowadził Putrament z Hennigerem/.
3. Ocena wymiany bilateralnej /omawiali Malinowski z Hennigerem/.

Ad 1. Termin narady został ustalony na listopad br. Na czele delegacji osobowej NRD przyjedzie Anna Segers.

1/ Strona niemiecka przedstawi referaty /niepisane/ o stanie literatury NRD dla tłumaczy z niemieckiego.
2/ Grupa specjalistów od spraw niemieckich /Szewczyk, Pierzchała, Kajan, Koprowski i inni/ omówią sprawy literatury niemieckiej z delegacją.
3/ Odbędzie się wymiana poglądów w gronie prezydiów związkowych o wspólnym działaniu przeciwko polityce imperialistycznej.

Na [illegible] Zw. Pisarzy NRD zostanie powzięta wspólna uchwała przeciwko polityce NRF.

Ad 2. W sprawach oceny sytuacji politycznej należy zwrócić uwagę na poruszone następujące tematy:

a/ Tow. Henniger sygnalizował, że dywersyjna grupa literatów tz. 47 z NRF finansowana przez CIA zastosowała nową taktykę, ponieważ w związku z powziętymi decyzjami na konferencji Kierownictw Związku Pisarzy Krajów socjalistycznych /II.67 Berlin/ bojkotuje się zaproszenia pisarzy z naszego obozu do NRF, organizuje się zaproszenia

FOT. IPN

„STARY ENDECKI PIERDZIEL"

Informacje zbiera się po to, aby je wykorzystywać, rozgłaszać, budować swojemu figurantowi czarny, pogrążający go PR, który docierał niewątpliwie do uszu szwedzkich akademików i robił swoje. Herbert był już przecież kilka lat przed Miłoszem typowanym podobno pięciokrotnie poważnym kandydatem, a potem z jakichś powodów przestał być brany pod uwagę. Niewykluczone właśnie, że po pogłoskach o jego chorobach, o czym mówił list Miłosza do Giedroycia po Noblu dla Szymborskiej: „Obiektywnie rzecz biorąc, na Nobla zasługiwał Herbert, ale chyba nie był brany pod uwagę z powodu swoich pobytów w klinikach psychiatrycznych, czego Szwedzi bardzo się boją (30.12.1996)".

Oczywiście nie przeceniajmy wszechmocy SB, która robiła po prostu to, co do niej należało, i dołożyła niewątpliwie cegiełkę do pogrążającego Herberta PR, ale dokładali je również inni, ważni i wpływowi, z których opiniami, tak jak w każdej nagrodzie, musiano się liczyć. Choćby poprzedniego noblisty, Czesława Miłosza, który w listach do Międzyrzeckich bez żenady nazywał Herberta ponurym, starym endeckim pierdzielem (1970 r., bez dokładnej daty), podejrzewał o konszachty z bezpieką, a nawet opłacanie się jej w zamian za paszport. „Nic nie rozumiem z peregrynacji Herberta. [...] Jakie decyzje i na jakim szczeblu pozwalają mu mieszkać prawie stale za granicą? (28.11.1970)". Także i w listach do Giedroycia sugerował powiązania Herberta z „ubiactwem". „Komu zależy na tym, żeby go wypuszczać? (7.07.1970)"; „Doskonałość poetycka niektórych jego wierszy to nie dosyć i nie wiem, kim jest (13.03.1971)" [Wydawnictwo Literackie, 2012].

W swojej dwutomowej, liczącej dwa tysiące stron „Biografii" Herberta Andrzej Franaszek nie znalazł na te listy miejsca, jak też na odpowiedź Giedroycia, który jak najbardziej się z Miłoszem zgadzał, dla niego również PRL-owski paszport Herberta był podejrzany. „Nie mam do niego żadnego zaufania jako do człowieka, jego stosunki z Polską Ludową wydają mi się więcej niż dwuznaczne. Zachowuję więc do niego jak najdalej posuniętą rezerwę" – pisał 29 lipca 1970 r.

Mimo to Andrzej Franaszek przekonywał, że wpływowy Giedroyc nie zabiegał o Nobla dla Herberta, ponieważ sam był sobie winien – obrażał ludzi, zawalał terminy, zrywał kontrakty z wydawcami itd.

„Tu nie jakość poezji odegrała rolę. Powiedziano mi, dlaczego akurat Szymborska, a nie Herbert, ale to nie jest temat naszej rozmowy" – przyznawał dziennikarzowi „Polityki" najlepiej chyba poinformowany Marcel Reich-Ranicki, papież zachodnioniemieckiej krytyki.

„Nobel jest skurwiony" – pisał Lem do Mrożka. I miał sporo racji, zarówno wtedy, gdy interesowali się nim TW „Kurier" oraz jego kamraci, jak i dziś, gdy w 2017 r. nagrodę zawieszono z powodu seksualnych afer w kręgu jego jury.

Herbert również nie miał złudzeń, ale o tym, że Nobel dla Szymborskiej musiał go jednak „trafić", świadczy mały dokument, a właściwie jego strzępy. 10 października 1996 r., zaraz po przyznaniu Szymborskiej nagrody, Zbigniew Herbert oraz wielu innych poetów otrzymało radosny list od pisarki Marty Fox. Prosiła ich o odpowiedź na kilka pytań, które miały wejść do przygotowywanej przez nią książki o Noblu dla poetki, która jednak nie powstała.

Pytała np.: „Który z wierszy Szymborskiej jest Ci najbliższy? I dlaczego? Co jest w nim najbardziej Twego? Jestem pewna, że w takiej chwili, kiedy wszyscy cieszą się z sukcesu naszej noblistki, a także sukcesu naszej kultury, nikt z państwa nie poskąpi na pewno czasu i wysiłku." Tego typu list wysłany do Herberta, wielkiego odrzuconego, był oczywiście nietaktem. Nic więc dziwnego, że nie tylko nie odpowiedział, ale pociął go w złości na drobne kawałeczki. Na szczęście jednak nie wyrzucił i udało mi się jakoś go złożyć. Jest dziś w jego archiwum w Bibliotece Narodowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wznowionego, poszerzonego wydania „Pana od poezji. O Zbigniewie Herbercie", które ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Fronda.

eprasa.pl a64665f984

Krzysztof Masłoń

SB marzyła o skompromitowaniu Herberta. A haków na niego szukano nawet po jego śmierci

Zbigniew Herbert w kościele na spotkaniu z młodzieżą w latach 80.
FOT. ANNA BOHDZIEWICZ/REPORTER

Poeta pod specjalnym nadzorem

W pionierskich latach PRL obowiązywał model poezji ubeckiej (à la Woroszylski, Mandalian et consortes) lub patriotycznej (à la Gałczyński). Za doskonały uchodził model mieszany, najlepiej w wersji doprowadzony niemal do doskonałości przez Broniewskiego. Po 1956 r. do głosu – niechętnie, bo niechętnie – dopuszczono również autorów wyłamujących się z tych konwencji, o ile jednak opisujący np. martwe natury mogli liczyć na życzliwe przyjęcie, o tyle poeci gustujący, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, w krajobrazach innych niż nadwiślańskie, sięgający do antyku, jak również odwołujący się do wydarzeń historycznych nagannie ocenionych przez klasyków marksizmu, stawali się podejrzani i jako tacy podlegali specjalnemu nadzorowi. Najlepiej ze strony Służby Bezpieczeństwa.

Nic dziwnego, że zainteresowała się ona Zbigniewem Herbertem. Potrzebny był jej jednak pretekst i taki szybko został znaleziony. W 1960 r., gdy Herbart wracał do kraju z Francji, na granicy polsko-czeskiej skonfiskowano mu parę książek, w tym, horribile dictu, „Rodzinną Europę" Czesława Miłosza. „Potem miałem jeszcze parę przykrości" – relacjonował oględnie raczej. A potem znów parę, i więcej, coraz więcej. Wymarzonym dla SB polem konfliktu były problemy paszportowe. Hasło brzmiało: „Współpracuj z nami albo siedź w domu". Herbert w rządzonym przez Gomułkę PRL dusił się, do pewnego czasu jednak udawał, że wcale mu na wyjazdach aż tak bardzo nie zależy. Naprawdę było zgoła inaczej.

GRA O WYSOKĄ STAWKĘ

Gdy udawało mu się wyjechać na Zachód, od esbeków nie mógł się opędzić. Pisał potem do Katarzyny Dzieduszyckiej, przyszłej żony, z prowansalskiego Arles: „[…] przyjeżdżają tu jakieś nieludzkie kutasy i wygłaszają do mnie kazania o obowiązkach wobec ojczyzny. Opierdalam, a wkrótce będę bił w mordę. Nic nie rozumieją, ile mnie ten pobyt kosztuje i po co to robię". Jak wspominała po latach jego żona, „kartka ta, bez koperty, a więc taka, jaką mógł przeczytać każdy, kto ją miał w rękach, zapowiada już późniejszą taktykę mojego męża wobec pracowników SB […]. Uważał, że nie trzeba odmawiać im rozmów, mówić wymijająco, niczego nie podpisywać i rozmawiać o tych faktach z przyjaciółmi, tak aby wiedzieli, że jest się obiektem zainteresowania".

Tak też postępował. W 1969 r., kiedy przyjechał z Paryża do Warszawy, by przedłużyć paszport, „zaprosił" go na rozmowę, a właściwie cykl rozmów, inspektor Julian Pieniążek z MSW. Nie do siedziby bezpieki, lecz do hotelu Metropol. Bezpieczniak raportował potem, iż „po oświadczeniu, że reprezentuję Służbę Bezpieczeństwa i interesuje mnie […] jego wiedza o ośrodkach i ludziach wrogo działających przeciwko Polsce, w kilkugodzinnych rozmowach nie podał żadnych szczegółów, mogących dać obraz tej działalności bądź w jakiś sposób kompromitować ludzi […] powiązanych z tymi ośrodkami". „Herbert był świadom – pisze Andrzej Franaszek w biografii poety – że gra o wysoką stawkę, na szali leżał wyjazd do Stanów, praca na uniwersytecie, jego zdaniem ostatnia szansa, by zarobić na mieszkanie w Polsce, podjął więc wyzwanie, zdaniem śledczego zgadzając się z nim, że na Zachodzie »istnieją wrogie ośrodki propagandy antypolskiej i że propaganda ta jest okrutna, kłamliwa i o szerokim zasięgu«. Jeśli te ostatnie słowa są wiernym zapisem, moglibyśmy w nich wychwycić cień herbertowskiej ironii".

Podobne wymuszone spotkania miały miejsce w ciągu trzech lat i odbywały się nie tylko w Warszawie, lecz także w 1970 r. w Berlinie. Małgorzata Ptasińska-Wójcik i Grzegorz Majchrzak

eprasa.pl a64665f984

w opracowaniu „Kryptonim »Bem«. Sprawa operacyjnego rozpracowania Zbigniewa Herberta" stwierdzili w 2005 r., że „w aktach SB dotyczących rozpracowania poety […] brak jest jakichkolwiek informacji, aby został zakwalifikowany przez swoich »rozmówców« jako »osobowe źródło informacji«, czyli po prostu agent".

Z „Bema" nie wycisnęła esbecja niczego, ale nie znaczy to, że odpuściła mu, wręcz przeciwnie. W latach 70. był stale inwigilowany, a „cisi" skrzętnie odnotowywali, gdzie bywał i z kim się spotykał. Stąd do historii przeszła awantura z Herbertem w roli głównej, z grudnia 1973 r., kiedy poeta wybrał się z żoną na kolaudację filmu Stanisława Latałły „Listy naszych czytelników" do Wytwórni Filmów Dokumentalnych przy ul. Chełmskiej w Warszawie. Wcześniej zajrzeli do pobliskiego sklepu spożywczego, gdzie znajdujący się „pod wpływem" Herbert zaczął wyliczać, które produkty, dobrej jakości, należą się im, a które – „podeschnięte bułki" – „głodnym partyjniakom". Traf chciał, że w kolejce stał jakiś wierny syn partii, który poczuł się obrażony, wezwał stróżów porządku, zrobiła się z tego niesamowita draka, zapewne ku uciesze SB, która następnie nakłaniała kierownictwo WFD, by wystąpiło z wnioskiem o ukaranie Herberta. Sprawę trzykrotnie rozpatrywało Kolegium ds. Wykroczeń na Mokotowie, a poetę reprezentował przed nim… Jan Olszewski. Przyszły premier Rzeczypospolitej.

Takie humorystyczne raczej historie zdarzały się jednak nieczęsto. Znacznie więcej było innych, zupełnie innych. W lutym 1975 r. na Zjeździe Delegatów Związku Literatów Polskich w Poznaniu doszło do prawdopodobnej próby otrucia poety. Sprawcy czynu osiągnęli swój cel: Herbert nie wziął udziału w wyborach, gorąca atmosfera zjazdu nagle przygasła, bo delegaci z dnia na dzień stali się mniej odważni, Jarosław Iwaszkiewicz pozostał prezesem związku. Władze z raczkującą opozycją pisarską nie dały sobie wprawdzie buzi, ale milcząco przyjęto, że obowiązywać będzie dalej, jak do tej pory, „konsekwentna realizacja programu". Naturalnie programu PZPR.

Sam Herbert po poznańskim zjeździe wyraźnie zbrzydził się działalnością na forum ZLP, ostentacyjnie się od niej dystansując. Jego nieufność wobec organizacji literackich nie minie zresztą i po latach – w 1991 r. – wystąpi z PEN Clubu, będzie też chciał opuścić Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

POD DYKTANDO URBANA

Po wywiadzie, którego poeta udzieli w 1985 r. Jackowi Trznadlowi na potrzeby sławnej książki „Hańba domowa", stanie się wrogiem całego polskiego lewactwa, partyjnego, bezpartyjnego i antypartyjnego. A do bezwzględnego ataku na niego jako pierwszy rzuci się Jerzy Urban, i to on pierwszy nazwie twórcę „Pana Cogito" człowiekiem chorym psychicznie. Fraza o przypadłościach chorobowych Herberta stanie się niebawem wiodącą w licznych artykułach, wspomnieniach, z czasem i książkach. O jego chorobie afektywnej dwubiegunowej rozpisuje się także, ewidentnie ponad miarę, Andrzej Franaszek w ostatnio wydanej dwutomowej biografii poety.

A jak wyglądać miała sama próba otrucia Herberta? Otóż w przededniu wyborów do władz ZLP wypił on w swoim pokoju butelkę wody mineralnej. Wystarczyło. Odwieziono go do szpitala. Ciekawe, że milicja nie dokonała analizy resztek wody. Jednak też zasadne, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wydaje się pytanie postawione przez ministra kultury z tamtych lat Józefa Tejchmę: „Cui bono? Jakie mogą być motywy trucia dobrego poety?". Odpowiedzieć można pytaniem na pytanie: A jakie były motywy bestialskiego zamordowania świetnego kapłana? Żeby nie nadużywać wielkich słów, podkreślmy raz jeszcze: pisarze całkiem nieźle zostali wystraszeni i w tym szoku pozjazdowym trwali jakiś czas. Krótki, na szczęście.

Środowisko się przecież buntowało. Po kilku latach przerwy, od roku 1964 i Listu 34 w sprawie cenzury, znów pisarze sygnowali ważne memoriały i protesty kierowane do władz: List 17 w obronie skazanych na drakońskie wyroki członków Ruchu (w tym – tak, tak – Stefana Niesiołowskiego), List 15 w sprawie praw Polaków w ZSRS, wreszcie Memoriał 59 – mocny głos sprzeciwu wobec planowanych zmian w Konstytucji PRL. Wszystkie te listy sygnował Herbert. Po ostatnim z tych podpisów specjalnie „uhonorowany" został przez wiadome służby miejscem na liście osób, których samo wymienienie nazwiska – na mocy poufnej instrukcji Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – musiało być konsultowane z kierownictwem cenzury. Słowem poeta, o którym jeszcze niedawno mówiono w kontekście Nagrody Nobla, przestał istnieć w swoim kraju. A Służba Bezpieczeństwa nie zaprzestawała wysiłków, by skompromitować autora „Pana Cogito", szukając na niego jakiegokolwiek haka.

Esbeckie metody zastosowane wobec Zbigniewa Herberta nie skończyły się po jego śmierci w roku 1998. Dwa lata później Anna Bikont i Joanna Szczęsna z „Gazety Wyborczej" nawiedziły w Neapolu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i na dzień dobry przeczytały mu następujący fragment listu: „Nie spodziewałem się, że dosięgnie mnie ręka panów w czarnych garniturach. Zatelefonowali do mnie, drugi dzień po przyjeździe, kiedy siedziałem przy chorej matce. Potem były rozmowy codzienne i wielogodzinne. Nie w urzędzie, broń Boże, ale w hotelu Metropol na wysokim piętrze z oknem otwartym na podwórze. Wypytywali także o Ciebie, czybyś nie wrócił". Cytat pochodził z listu Herberta do Miłosza. Zaskoczony Herling powiedział: „Nic o tym nie wiedziałem. Zawsze uważałem Herberta za przyzwoitego człowieka".

Trafiony, zatopiony. Za jednym zamachem nadto zdolne „wywiadowczynie" ustrzeliły dwa tuzy literatury polskiej, bo i Herberta, i Herlinga. Ten ostatni wygłosił później, podczas swojej ostatniej podróży do kraju, oświadczenie ze słowami: „Moje zaskoczenie nie oznaczało w żadnym wypadku dystansowania się od Herberta. Mnie się zdaje, że panie, które odwiedziły mnie w Neapolu, wykonujące plan przygotowany, moim zdaniem, przez Adama Michnika, chciały, cytując ten list Herberta, rzucić na niego cień. Chodziło o pomieszanie w świadomości czytelników czystych postaci z naszej nieodległej przeszłości z postaciami marnymi i nieczystymi […]. Jest to pomysł bardzo groźny. Jeśli mam rację, polega on na próbie spopularyzowania hasła, które brzmiałoby – parafrazując tytuł powieści Hłaski – »Wszyscy byli odwróceni«". Na koniec autor „Innego świata" zaapelował do podobnych swym interlokutorkom: „Odpieprzcie się od Herberta!".

Do bezwzględnego ataku na poetę rzucił się Jerzy Urban i to on pierwszy nazwał Herberta człowiekiem chorym psychicznie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

FOT. JERZY DUDEK

Z wicepremier Beatą Szydło, przewodniczącą Komitetu Społecznego Rady Ministrów
rozmawia Marcin Makowski

Przegramy, jeżeli popełnimy błąd Platformy

MARCIN MAKOWSKI: Czy czuje się pani jak przestępca?

BEATA SZYDŁO: Absolutnie nie. Czekam na pytanie, dlaczego pan o to pyta?

To może taki cytat z Twittera prof. Wojciecha Sadurskiego: „Prawnicy spierają się co do różnych scenariuszy »co po PiS?«. Pomijają jednak zazwyczaj, pewno przez grzeczność, oczywistość, że PiS trzeba będzie zdelegalizować. Nie przez jakąś zemstę, ale jako akcję zapobiegawczą demokracji przeciw organizacji przestępczej". Lubi go były minister sprawiedliwości Borys Budka.

Uważam, że to jest wypowiedź nie tyle kontrowersyjna, ile po prostu niebezpieczna. Wojciech Sadurski, prawnik, nawołuje do radykalnych kroków wobec legalnie działającego ugrupowania politycznego, które na mocy demokratycznego mandatu uformowało rząd. Rozumiem, że niedawno zaczął karierę w mediach społecznościowych i szuka popularności w ostrych komentarzach, ale to nie jest droga godna profesora prawa.

Myśli pani, że spór partyjny w Polsce doszedł do takiego poziomu, w którym nie ma miejsca na środek? Będzie albo „depisyzacja", albo utrzymanie władzy przez PiS, centralizacja i jej umocnienie?

Ten agresywny podział polityczny, często podsycany przez naszych przeciwników, jest dla mnie smutną rzeczywistością, w której żyjemy. Mam świadomość, że znaleźliśmy się w klinczu, w którym

eprasa.pl a64665f984

obecna opozycja – zupełnie wprost – odmawia nam legitymizacji, podważając wolę ogromnej liczby wyborców. Mówi nie tyle o sporze, który jest cechą immanentną polityki, ile o wojnie na wyniszczenie, która jest fatalna dla Polski. Szczerze liczę jednak na to, że uda nam się zbudować porozumienie między Polakami w najbardziej fundamentalnych sprawach. Nie jesteśmy jednak naiwni. Nikt nie oczekuje, aby wszyscy ze wszystkimi we wszystkim się zgadzali. My realizujemy konkretne programy, projekty rozwojowe i chcielibyśmy móc spierać się z opozycją na programy właśnie. Nasi oponenci wolą ciągłe wkładanie kija w szprychy i awantury. Jesteśmy w szczególnym momencie historycznym, mamy przecież niebawem setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Warto w takim momencie być razem i odłożyć na bok bieżące spory polityczne. I o to apelujemy do opozycji. Liczę na to, że w marszu z okazji setnej rocznicy odzyskania niepodległości pójdziemy zgodnie, wszyscy razem.

Opozycja argumentuje, że nie może być jedności tam, gdzie doszło do złamania konstytucji, zaburzenia trójpodziału władzy i monopolizacji mediów publicznych. Nastąpiło zerwanie ciągłości w funkcjonowaniu państwa prawa.

Po pierwsze, konstytucja nie została złamana. Po drugie, nigdy nie podważyliśmy zasad demokracji. Natomiast – czego nie ukrywamy – Prawo i Sprawiedliwość przeprowadza bardzo głębokie reformy, co nie podoba się beneficjentom poprzedniego systemu. Wynikają one z naszego programu, o którym mówiliśmy jasno od początku, wskazując obszary wymagające zmian, m.in. wymiar sprawiedliwości. Czy my sobie te problemy wymyśliliśmy, czy może były one dyktowane oczekiwaniami milionów Polaków, artykułowanymi nam na spotkaniach wyborczych? Ja nie mam problemów z odpowiedzią na to pytanie, bo wiem, co słyszałam w dziesiątkach polskich miast i wsi od ludzi, którzy mówili, z jakimi problemami się zmagają. W jakiejś mierze dzisiaj naprawiamy również błędy założycielskie III RP, która niedostatecznie odcięła się od PRL i więzów postkomunistycznych. Przeprowadzane zmiany okazywały się niedostateczne, wykluczyły rzesze obywateli, którzy z nich nie skorzystali i zostali na marginesie.

I nie przekonują pani okrzyki: „Konstytucja, konstytucja!"? Żaden argument o władzy idącej za daleko nie trafia?

Krzyczący zapominają – nie chciałabym mówić, że łamią – rozdział IV konstytucji, podważając werdykt wolnych demokratycznych wyborów. Nikt nie wpisał do ustawy zasadniczej wiecznej władzy PO-PSL.

Zapewne miała pani okazję zapoznać się z tzw. taśmami Morawieckiego z restauracji Sowa i Przyjaciele. Coś panią oburzyło, zaskoczyło?

Premier Mateusz Morawiecki zabierał już głos w sprawie i myślę, że wszystko wyjaśnił. Temat taśm i nagrań był już wcześniej znany. Samo istnienie tych taśm, wycieki na ich temat, pokazują całą prawdę o czasach rządów PO. Polskie państwo było słabe, instytucje, które miały chronić najważniejsze osoby w państwie, nie działały, jak należy.

Za rządów Zjednoczonej Prawicy służby przeżyły renesans, a państwo nagle stanęło na nogi?

Zmiany, które przeprowadzamy, nie są jeszcze skończone. Niektóre reformy wymagają więcej czasu, niektóre idą zbyt wolno, też wolałabym, żeby już były zakończone.

Na przykład?

Na przykład zmiana wymiaru sprawiedliwości.

Jeszcze za wolno?

Tak, jeszcze za wolno. Druga sprawa to reforma służb. To nie są łatwe rzeczy, bo dokonując ich restrukturyzacji, nie możemy zaburzyć samej struktury gwarantującej utrzymanie bezpieczeństwa państwa.

Może one również powinny zrobić sobie rachunek sumienia? Dzisiaj otwarcie spekuluje się, że mogą istnieć ukrywane taśmy z obecnym premierem, w których rzekomo dochodziło do kupowania nieruchomości „na słupy". Takie rzeczy warto wyjaśnić, aby premier nie mógł być szantażowany.

Owszem, ale – jak słusznie zwrócił pan uwagę – na razie mamy do czynienia z rzekomymi taśmami i spekulacjami medialnymi. Zgadzam się z panią marszałek Beatą Mazurek, że jeśli ktoś rzuca podejrzenia o dokonanie przestępstwa, to powinien pokazać dowody. Gdzie one są? Na zasadzie domniemań i fake newsów można zniszczyć każdego. Ja również jestem często poddawana tego typu zagrywkom, podczas których rzuca się fałszywe oskarżenia, a później nikt za nie nie przeprasza. W takim świecie się poruszamy, ale nie ma mojej zgody na to, aby uznać podobne metody za uprawnione do kształtowania życia politycznego. Oczywiście istnieje w tym wszystkim również wymiar realnego bezpieczeństwa państwa. Jeżeli podobne pomówienia i historie zakłócają normalne rządzenie, to muszą być skutecznie rozwikłane i zamknięte. Naprawiamy też ten obszar. Z różnych powodów nie jest to łatwe, wymaga rozwagi i spokojnej debaty o zagrożeniach oraz sposobach zapobiegania im. Proszę sobie przypomnieć chociażby oskarżenia pod adresem rządu o wprowadzanie inwigilacji, cenzury czy chęci podsłuchiwania i kontrolowania wszystkich, kiedy wprowadzaliśmy zmiany, konieczne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i obywateli właśnie. Rząd musi się wykazać dużą delikatnością, aby nie zachwiać prywatności Polaków, ale nie może również mieć związanych rąk.

Nagrania ujawnione przez Onet skomentowały m.in. poseł Krystyna Pawłowicz i Beata Mazurek, a także premier Jarosław Gowin. Sugerowali oni inspirację ze strony Niemiec, wskazywali na narodowość kapitału właściciela portalu. Czy to zapowiedź powrotu tematu dekoncentracji mediów?

Jednym z założeń programowych naszej partii była dekoncentracja mediów. Mamy propozycje, debata się toczy. To trzeba zrobić. Jednak okres kampanii wyborczej nie jest na to dobrym momentem.

Wracam jednak do wątku niemieckiego. Marszałek Mazurek napisała wprost, że nie jest przypadkiem wizyta Grzegorza Schetyny u Angeli Merkel i termin publikacji taśm. A wcześniej, gdy były publikowane, PiS o naszym zachodnim sąsiedzie nie mówił.

Te dwa wydarzenia faktycznie dziwnie zbiegły się w czasie, więc można to tak interpretować jak marszałek Beata Mazurek. Chociaż zapewne interpretacji jest dużo więcej. Na pewno nie jest jednak przypadkowy czas publikacji materiału. To finisz kampanii samorządowej, a przez to próba uderzenia w polskiego premiera, który jest twarzą naszej kampanii. Zamiar jest czytelny: obniżenie naszych notowań wyborczych.

Czy przeszłość Mateusza Morawieckiego jest pani zdaniem „ogonem", który przyciągnął za sobą do rządu?

Przecież jego przeszłość była powszechnie znana, a premier się jej nie wypierał.

Z taśm wynika – o zgrozo! – że był nawet fanem ówczesnej polityki ekonomicznej Angeli Merkel.

eprasa.pl a64665f984

Jednak też trafnie diagnozował możliwość wystąpienia kryzysu migracyjnego. Kończąc ten wątek: sprawę taśm trzeba raz na zawsze wyjaśnić, bo inaczej przy każdej kolejnej kampanii będą one wyciągane jako haki na kolejnych polityków.

Od kiedy została pani przewodniczącą Komitetu Społecznego Rady Ministrów, odbyła pani ponad sto podróży służbowych po całej Polsce. Jaki obraz partii wyłania się z tych spotkań i rozmów? Słyszę od wielu osób, że w bastionach PiS władza potrafi rozleniwiać.

Warto jeździć i spotykać się z ludźmi, żeby nie tracić kontaktu z rzeczywistością. Co do rozleniwienia, niedawno miałam spotkanie z kandydatami do sejmiku wojewódzkiego w Małopolsce i przekonywałam ich, że nie może nas interesować nic innego niż praca do ostatniej godziny kampanii wyborczej. Nie wygramy wyborów, jeśli nie będziemy ciężko pracować, jeżeli nie będziemy wśród wyborców. Będąc w opozycji, byliśmy zmotywowani do walki, był głód sukcesu. Bycie u władzy może momentami rozleniwiać. Czasami to dostrzegam. Dobre sondaże mogą usypiać, słaba opozycja może powodować rozprężenie. Dlatego tak ważne są spotkania z wyborcami, podróże po Polsce. Niezwykle istotne jest, aby na spotkaniach z ludźmi nie wyłączać się również na głosy konstruktywnej krytyki. Przegramy, jeżeli popełnimy błąd Platformy, czyli będziemy butni i zbyt pewni siebie, jeżeli oderwiemy się od rzeczywistości. W polityce to są błędy niewybaczalne.

Czy to forma autokrytyki? Oczywiście nawiązuję do nagród dla ministrów, „które się należały".

Wraca pan do sprawy zamkniętej i wyjaśnionej, z której zostały wyciągnięte wnioski. To był czas dyskusji na temat tego, jaka powinna być wysokość zarobków ludzi, którzy biorą odpowiedzialność za państwo. Zgadzam się jednak, że polityk musi mieć wrażliwy słuch społeczny. Każda władza popełnia błędy, my również. Dzisiaj z perspektywy trzech lat zapewne niektóre rzeczy zrobiłabym inaczej, ale tym się różnimy od poprzedników, że z błędów wyciągamy wnioski. Ja na spotkaniach z Polakami wstydu nie czuję, bo mogę mówić z podniesionym czołem, że danego słowa dotrzymałam, że konsekwentnie, krok po kroku realizujemy program, na który umówiliśmy się z Polakami, wypełniamy zobowiązania. To – i pokora – są bardzo ważne.

Za kilka dni sprawdzian samorządowy oraz walka o konkretne miasta. Najbardziej wyrównana sytuacja jest w Warszawie i Krakowie. W stolicy Małopolski, z której pani pochodzi, po raz pierwszy od 2002 r. istnieje szansa na zmianę prezydenta. Małgorzata Wassermann może tego dokonać?

Wystawiliśmy w tych wyborach kilkoro młodych ludzi, którzy mają przed sobą świetną przyszłość w polityce. Oni w pewnym sensie już wygrali, bez względu na ostateczny werdykt wyborczy. To, co pokazują w kampanii Patryk Jaki, Małgorzata Wassermann, Kacper Płażyński czy Sylwester Tułajew, udowadnia, że są ludźmi, których stać na ciężką i merytoryczną pracę. Nawiązują równorzędną walkę z prezydentami, przedstawianymi do tej pory jako „nie do ruszenia". Tak przecież jest w Krakowie, gdzie przez wiele lat nikt nie mógł wyobrazić sobie alternatywy dla Jacka Majchrowskiego, w Warszawie czy Gdańsku, które to miasta jakby z „urzędu" przypisane były Platformie, czy wreszcie Lublinie, w którym okazuje się, że Sylwester Tułajew bez kompleksów podjął wyzwanie i z każdym dniem jego notowania rosną. Okazuje się, że w Krakowie jest alternatywa, że jest Małgorzata Wassermann. Małgorzata jest świetnym fachowcem i ma pomysł na Kraków. To miasto potrzebuje zmian i przewietrzenia. Znam je, studiowałam w nim i mieszkałam, jest stolicą mojego województwa, jest dla mnie bardzo ważne. Czasami jednak przypomina…

Na spotkaniach z Polakami wstydu nie czuję, bo mogę mówić z podniesionym czołem, że danego słowa dotrzymałam

Zatęchły kredens?

To zbyt surowa ocena. Kraków po prostu potrzebuje zmiany, nowych pomysłów, otwarcia na nowe projekty, potrzebuje energii i młodości. Czyli po prostu potrzebuje Małgorzaty Wassermann.

A ile jest prawdy w informacjach, które do mnie docierają, że wielu polityków PiS w Krakowie większość czasu poświęca walkom wewnętrznym zamiast kampanii?

W polityce każdy zna powiedzenie, że jest wróg, wielki wróg i kolega partyjny (śmiech). A ci, którzy są na jednej liście, walczą często najzacieklej. Jeśli ta walka przekłada się na dobry wynik – to dobrze, ale jeśli zamienia się w starcie bratobójcze, to oczywiście jest dużo gorzej. Może zamiast słowa „walka" lepsze jest tu słowo „konkurencja". Zdrowa konkurencja nie jest w polityce niczym złym. Natomiast takie przypadki jak w Gliwicach z listami Platformy, z których bez wiedzy zainteresowanych wykreślono kandydatów, żeby na ich miejsce wpisać innych – to patologia. Nasza kampania w Krakowie przebiega bez zakłóceń. Mamy świetną kandydatkę i wspieramy ją.

Na koniec chciałbym zapytać o jeden film. Domyśla się pani?

„Kler"?

Tak. Była pani w kinie? Jak ocenia pani dyskusję toczącą się wokół Kościoła w Polsce, mając syna, który został księdzem? Da się inaczej niż osobiście?

Na filmie nie byłam, więc go nie będę recenzować, ale sama dyskusja o Kościele faktycznie jest mi znana i bliska. Niestety, uderza się w niego na różne sposoby, a o jego słabościach wypowiadają się najczęściej ludzie, którzy sami głośno mówią, że są niewierzący, niepraktykujący. Sądzę, że Kościół poradzi sobie z problemami, i nie uważam, aby „Kler" stanowił największy z nich. Jeżeli jednak zostanie on wykorzystany do ideologicznego ataku – a przypominam, że w jednym z miast niedawno podpalono drzwi do Kościoła, że były już próby zakłócania nabożeństw – to nie będzie żadnej refleksji, tylko równia pochyła. To droga donikąd.

Czy rekordową frekwencję w kinach odbiera pani – jak sugeruje część opozycji – jako sygnał ostrzegawczy dla partii, która za bardzo wchodzi w sojusz „tronu z ołtarzem"?

Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Nie ma żadnego sojuszu ołtarza z tronem. Prawdą jest natomiast to, że nasz program oparty jest na nauce społecznej Kościoła, a rola samego Kościoła w kształtowaniu życia społecznego jest w Polsce niezwykle istotna. Niezależnie od tego, kto rządzi. Kościół ma od wieków niezwykle ważne miejsce w Polsce. Niezwykle ważną rolę odegrał w naszej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Tęczowa twierdza

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak na Paradzie Równości w 2015 r.

FOT. KAROLINA ADAMSKA SOBAŃSKA/EAST NEWS

Wojciech Wybranowski

Zakorkowane ulice, problemy z komunikacją, uciekający biznes. A z drugiej strony parady homoseksualistów, ultralewicowa propaganda w miejskich instytucjach. Tak zmienił się Gród Przemysła w ostatnich latach

Tęczowy Poznań, bastion liberalnej lewicy – tak często kpią ze stolicy Wielkopolski mieszkańcy innych miast, internauci i sympatycy prawicy. Prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka (PO) ironicznie nazywają Tęczowym Jackiem i wytykają, że w ciągu czterech lat swojej kadencji zamienił dobrze rozwijające się miasto w poligon doświadczalny obyczajowej i politycznej skrajnie liberalnej lewicy.

Z kolei włodarz Poznania wykreował – mające definiować zarządzany przez niego ośrodek – hasło: „Wolne miasto Poznań", które stało się symbolem antyrządowych i lewicowych demonstracji w mieście, i przekonywał w swoim manifeście: „Jesteśmy otwarci na zmiany, zgoliliśmy wąsa i odsłaniamy firanki".

– „Wolne miasto" dziś brzmi karykaturalnie, bo Poznań jest bardzo wolny. A dokładniej: zakorkowany od granic do samego centrum. Wszystko stoi, bo prezydent nie radzi sobie z problemami miasta. Ucieka więc w PR-owską narrację „tęczowego miasta", co daje mu lans w lewicowych mediach – wytyka w rozmowie z „Do Rzeczy" radny Tomasz Lipiński, samorządowiec, który po 18 latach członkostwa w wielkopolskiej PO właśnie rzucił partyjną legitymację.

W Poznaniu nie brak i innych problemów. Jak wynika z badań GUS z 2017 r., stolica Wielkopolski wyludnia się najszybciej ze wszystkich miast wojewódzkich, w ciągu kolejnych 12 lat jej liczebność może spaść poniżej pół miliona. Samorządowcy i miejscy aktywiści, z którymi rozmawialiśmy, wytykają też, że obok problemów komunikacyjnych władze miasta nie są w stanie pozyskać poważnych inwestorów i istotnych dotacji rządowych oraz unijnych. – W Poznaniu niestety nie kładzie się fundamentów pod rozwój miasta. Prezydent idzie na czele demonstracji KOD czy Para-

Czytasz.pl id 643665984

Wiele osób w Poznaniu jest już zmęczonych promowaniem lewicowych ideologii FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

dy Równości, ale nie ma pomysłów, jeśli chodzi o realizację ważnych dla Poznania projektów w kolejnych latach. Za to obserwujemy blichtr i propagandę – przyznaje Jarosław Pucek, były dyrektor Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych, dziś niezależny kandydat na prezydenta miasta

Wiceprezydent Poznania Mariusz Wiśniewski (PO) z takimi opiniami się nie zgadza. – W przestrzeni miasta widzę różne wydarzenia: od konserwatywnych do lewicowych. Poznań jest dla wszystkich – mówi.

A jak jest naprawdę? Przyjrzeliśmy się, jak to wygląda w mieście i jego instytucjach finansowanych przez poznańskiego podatnika.

PARADY I ABORCYJNE POKAZY

W pierwszej połowie sierpnia ulicami Poznania przeszła jedna z największych do tej pory w Polsce parad równości. Oficjalny patronat nad imprezą objął prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak i tuż przed rozpoczęciem marszu wzywał poznaniaków do wzięcia udziału w kolejnych imprezach promujących dążenia osób LGBT. Impreza wywołała w mieście skandal, bo władze Poznania zgodziły się, by do jej promocji środowiska homoseksualne wykorzystały miejską komunikację. Urząd nakazał wywieszenie na 180 tramwajach tęczowych flag. Zostały one zdjęte dopiero pod naciskiem pasażerów i pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, którzy odmawiali prowadzenia tak udekorowanych pojazdów (niektórych z nich straszono odebraniem dniówki).

– Prezydent Jaśkowiak nie lubi ciężko pracować, nie chce, a być może ma problemy ze zorganizowaniem zespołu ludzi, którzy dla miasta będą ciężko pracować, ale że sam ma temperament polityka, nie realizuje się jako gospodarz miasta, ale w podobnych sprawach światopoglądowych – komentuje Tadeusz Zysk, kandydat PiS na prezydenta Poznania.

A prób przeprowadzenia światopoglądowej rewolucji w Poznaniu nie brakuje. Na przykład w utrzymywanej z publicznych pieniędzy Galerii Miejskiej Arsenał.

W czerwcu tego roku zorganizowano tam „Warsztaty z rewolucji". W ich ramach ultralewicowa hiszpańska grupa Gyne Punk uczyła, jak można w zaciszu domowym dokonać aborcji. Niedawno Radio Poznań podało też, że wicedyrektor Galerii Miejskiej Arsenał – Zofia Nierodzińska – jest członkiem niemieckiego kolektywu pomagającego kobietom w zabijaniu niechcianych dzieci poczętych.

Sprawdziliśmy. W ubiegłym roku Nierodzińska wzięła udział w organizowanym w Warszawie feministycznym projekcie „Resist Fest VI", prowadząc spotkanie „Aborcja jest częścią życia". Organizatorki wydarzenia tak je zapowiadały: „Zofia Nierodzińska opowie o Cioci Basi – niezależnej i niekomercyjnej grupie aktywistek/ów z Berlina, które/rzy wspierają osoby z Polski oraz z innych krajów, w których aborcja jest nielegalna w przeprowadzeniu jej w bezpieczny sposób w Berlinie".

Dyrektor Galerii Miejskiej Arsenał Marek Wasilewski pytany nie chciał tego komentować. „Osobiste poglądy i aktywności pracowników poza miejscem pracy są ich prywatną sprawą i Galeria nie posiada upoważnienia do ich przedstawiania" – odpisał nam.

Jeszcze zanim w miejskiej galerii pokazano, jak w domu usuwać ciążę, prezydent Jaśkowiak zapowiedział otwarcie całodobowego gabinetu ginekologicznego, w którym kobiety mogłyby otrzymać receptę na tzw. pigułkę „po". Chodzi o leki zażywane bezpośrednio po stosunku mające zapobiegać ciąży. Od 2017 r. w Polsce mogą być one sprzedawane wyłącznie na recepty wystawiane przez lekarza.

Taki punkt ginekologiczny opłacany przez miasto otwarto w stolicy Wielkopolski na początku października.

A to niejedyny przypadek, gdy miejskie pieniądze przeznaczane są na lewicowo-liberalną aktywność ideologiczną. Przykłady? Poznańskim przedszkolakom odwiedzającym Centrum Inicjatyw Rodzinnych zafundowano (za sprawą Marty Mazurek, feministki i działaczki Kongresu Kobiet, powołanej przez prezydenta Jaśkowiaka na pełnomocnika do spraw przeciwdziałania wykluczeniom) wysłuchanie lektury-bajeczki o hermafrodycie – ślimaku Samie. Dzieci dowiedziały się, że poczciwy mięczak bał się iść do szkoły, bo nie był pewny, czy jest chłopcem, czy dziewczynką. Dzieci usłyszały także o małpce z dwoma mężami tworzącej szczęśliwą rodzinę.

eprasa.pl a64665f984

Miejska urzędniczka angażowała się też w walkę z tańczonym tradycyjnie na studniówkach polonezem. Dlaczego? Bo nie mogły iść w nim pary jednopłciowe. Szkoły uczulono, że należy do takich zestawów dopuścić w ramach walki z rzekomą homofobią.

Na zaproszenie prezydenta Jacka Jaśkowiaka w Poznaniu zorganizowano także feministyczny Kongres Kobiet, a on sam wraz z żoną wziął w nim udział. Promował też, także osobistym udziałem, czarny protest, demonstrację lewackich środowisk protestujących przeciw planom zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych i domagających się także prawa do usunięcia dziecka poczętego, gdy płód jest uszkodzony. Podczas jednego z takich czarnych protestów jego uczestnicy starli się z policją, zaatakowano także biuro poselskie PiS.

Ksiądz Daniel Wachowiak z parafii pw. Świętych Aniołów Stróżów w Poznaniu, popularny poznański duchowny, ocenia, że zaangażowanie władz Poznania, zwłaszcza Jacka Jaśkowiaka, na płaszczyźnie moralnej to budowanie nowej rzeczywistości miasta na gruncie filozofii postkatolickiej. – Dodatkowo nie jest przychylny działaniom chrześcijańskim, np. przez utrudnianie odbudowy pomnika Chrystusa – mówi ks. Wachowiak. Od kilku lat władze Poznania blokują postawienie w Poznaniu pomnika Najświętszego Serca Pana Jezusa. Chodzi o kopię monumentu odsłoniętego 30 października 1932 r. jako wotum wdzięczności za odzyskanie wolności przez Polskę.
– Miejski włodarz przyjął wzbudzający skrajne emocje model rządzenia i, jak widać, zyskał w Poznaniu takich zwolenników, dla których gospodarczy i ekonomiczny rozwój miasta jest mniej istotny niż „wojenka" ze wszystkim, co się kojarzy z Kościołem – dodaje prezbiter.

SZTUKA LEWACKO ZAANGAŻOWANA

Teatralne placówki i pokazy w Poznaniu także stały się miejscem lewicowej, a często także antyrządowej propagandy. – W Poznaniu zaczyna brakować finansowanych przez miasto placówek teatralnych, może z wyjątkiem trzymającego poziom Teatru Muzycznego, w którym zwykły, neutralny światopoglądowo człowiek mógłby po prostu obejrzeć dobrą sztukę – krytykuje radny Michał Grześ (PiS).

W miniony wtorek w miejskim Teatrze Polskim w Poznaniu (wybudowanym w 1875 r. ze składek polskiego społeczeństwa w ramach walki z germanizacją) jego dyrektor artystyczny Maciej Nowak, publicysta „GW", zorganizował spotkanie z kontrowersyjnym socjologiem Janem Tomaszem Grossem, autorem m.in. książek „Sąsiedzi" i „Złote żniwa", w których – zdaniem wielu historyków – w sposób nieprawdziwy i zmanipulowany oskarża Polaków o masowy wręcz udział w zbrodniach na Żydach. – Antysemityzm był w Polsce szeroko rozpowszechniony podczas II wojny – mówił Gross. I kolejny raz przekonywał, że Polacy, jego zdaniem, zamordowali ok. 200 tys. Żydów.

Święto Niepodległości w 2016 r. dyrekcja Teatru Polskiego w Poznaniu uczciła, wystawiając prezentowaną przez wiele miesięcy sztukę Grzegorza Laszuka, współtwórcy offowej grupy Komuna Warszawa pt. „Myśli nowoczesnego Polaka (Roman Dmowski. Nieautoryzowana biografia)". Szydzono i kpiono w niej z jednego z ojców polskiej niepodległości. Dmowski prezentowany na deskach poznańskiego teatru pokazywany był jako człowiek doszczętnie zły, bezmyślny, zarażający swoją indolencją umysłową kolejne pokolenia.

Okazją do uderzenia w rządzący Polską prawicowy obóz i konserwatywno-katolicką Polskę stał się w Poznaniu także finansowany z pieniędzy miasta Festiwal Teatralny „Malta".

W ubiegłym roku, po głośnym skandalu, który wybuchł po wystawieniu w Teatrze Powszechnym w Warszawie bluźnierczej sztuki Olivera Frljicia „Klątwa" (w którym aktorzy m.in. symulują seks oralny z figurą Jana Pawła II czy profanują symbol krzyża), organizatorzy festiwalu Malta zaprosili Frljicia do objęcia stanowiska kuratora festiwalu. Kontrowersyjny reżyser oczywiście propozycję przyjął, choć ostatecznie sam na festiwal nie przyjechał.

W 2014 r. dyrektor festiwalu Michał Merczyński planował zorganizowanie w Poznaniu pokazu innego skrajnie antychrześcijańskiego spektaklu – „Golgota Picnic" Rodrigo Garcíi. W tej sztuce Jezus Chrystus prezentowany jest jako szaleniec chory na AIDS. Ostatecznie pod wpływem głosów oburzonych poznaniaków Marczyński spektakl odwołał, tłumacząc to względami bezpieczeństwa. Zamiast pokazu na placu Wolności zorganizowano publiczne „czytanie Golgota Picnic".

PATRIOTYZM NIEWSKAZANY

O ile w większości polskich miast włodarze, bez względu na proweniencję polityczną, mocno się starają promować polską historię i lokalny patriotyzm związany z ważnymi miejscowo wydarzeniami z historii Polski, o tyle można odnieść wrażenie, że w stolicy Wielkopolski patriotyzm i duma narodowa stały się niemodne. Uroczystości patriotyczne w Poznaniu wyglądają, z wyjątkiem tych nieformalnych, organizowanych przez grupy rekonstrukcyjne i środowiska kibicowskie, smętnie niczym apele z lat siermiężnego PRL. Kilka miesięcy po objęciu stanowiska prezydenta w 2015 r. Jacek Jaśkowiak, który praktycznie nie opuszcza marszów KOD, nie pojawił się na ważnych dla poznaniaków obchodach 97. rocznicy powstania wielkopolskiego. Zamiast tego wrzucił na Facebooka zdjęcie, w którym leży w łóżku z żoną i wnuczką oraz psem.

Nieoficjalnie wiadomo dziś także, że władze Poznania nie chcą zgodzić się na sprowadzenie z Wielkiej Brytanii do stolicy Wielkopolski i pochowanie na cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan szczątków ppłk. Wincentego Wierzejewskiego, członka Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego. Z taką propozycją wyszli działacze Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego. – Wincenty Wierzejewski był twórcą wielkopolskiego harcerstwa, walczył w powstaniu wielkopolskim, bił się o polski Lwów, brał udział w wojnie z bolszewikami. Przecież dla takich właśnie postaci został stworzony cmentarz Zasłużonych Wielkopolan – komentuje Marcin Mrówka, koordynator akcji kibiców Lecha upamiętniających powstanie wielkopolskie.

Władze Poznania, odpowiadając nam na pytania, tłumaczą, że ich zdaniem na cmentarzu zostało już tylko kilka miejsc. Jaśkowiak proponował, by powstaniec został pochowany w rodzinnym grobie, na co, jak twierdzi prezydent, nie zgadzają się bliscy Wierzejewskiego.

Czy rzeczywiście stolica Wielkopolski stała się „tęczowym miastem"? – Poznań zawsze był różnorodny. Przed wojną również miało w nim miejsce sporo skandali, także obyczajowych, ale nie stawały się one, jak to się dzieje obecnie, symbolami Poznania – uważa Tadeusz Zysk. Podobnego zdania jest jego wyborczy rywal Jarosław Pucek.
– W mojej ocenie na szczęście nadal nie udało się zamienić Poznania w lewacki bastion i mam nadzieję, że wybory to udowodnią – przekonuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Z Tadeuszem Zyskiem, kandydatem na prezydenta Poznania popieranym przez PiS
rozmawia Piotr Gociek

Poznań ma dość Jaśkowiaka

PIOTR GOCIEK: Czy obiecał pan już mieszkańcom Poznania metro?

TADEUSZ ZYSK: Metro nie, ale premetro, czyli bezkolizyjny szybki tramwaj zbudowany w oparciu o istniejącą w Poznaniu tzw. pestkę. Kawałek już mamy, budowę rozpoczęto jeszcze w latach 80., przedmiot zazdrości innych miast. Potem budowa została wstrzymana z dziwnych powodów i nigdy żaden prezydent jej nie ukończył.

Ja tu żartuję, bo obiecano metro w Krakowie, nowe linie w Warszawie, a pan na serio... A ja myślałem, że oszczędni poznaniacy nie będą się interesowali kosztownymi przedsięwzięciami.

Poznań potrzebuje ukończenia tej budowy, przy czym kilometr trasy premetra (na bazie szybkiego tramwaju) oscyluje w kwocie jednej czwartej kwoty budowy kilometra metra. Może być jeszcze taniej, cena zależy od liczby kilometrów na powierzchni w stosunku do kilometrów w tunelu. Poznań potrzebuje nowej osi komunikacyjnej wschód-zachód, potrzebuje też prawdziwego dworca, bo na razie ma galerię handlową. To, że nie ukończono dotąd inwestycji w szybki tramwaj, to bardziej problem braku woli, a nie braku pieniędzy.

I to jest najważniejszy punkt pana programu dla Poznania?

Transport, pakiet dla seniorów, miasto czyste i bezpieczne, walka ze smogiem oraz przygotowanie Poznania na czwartą rewolucję cyfrową, czyli nowy park technologiczny. Chcę, byśmy byli liderem przemysłu kreatywnego w Polsce. Wreszcie przywrócenie Poznaniowi dumy, budowa filharmonii, budowa nowej siedziby Muzeum Powstania Wielkopolskiego – to moje najważniejsze zadania.

Czy Poznań to bogate miasto?

Myślę, że tak. Jest miastem bogatym dzięki talentom swoich mieszkańców, którzy są oszczędni, rozsądni, gospodarni, racjonalni. Bezrobocie jest bardzo niskie. Możemy powiedzieć, że Poznań jest bogaty i poznaniacy są bogaci.

No to sprawa przesądzona: w Poznaniu kandydat Platformy wygra wybory bez kłopotu. Bo podobno tam, gdzie ludzie są bogaci i dobrze wykształceni, tam wygrywa PO.

Gdyby to było takie proste, to wybory nie byłyby potrzebne. Ale proste nie jest.

Profesor Paruch stawia tezę, że niedocenianym, a bardzo ważnym powodem popularności PiS jest to, że odblokowuje zamknięte przez wiele lat drogi awansu.

I tak jest, to jest ważne, bo ci, którzy chcą korzystać ze swoich talentów, a nie tylko z poczucia wyższości, mają wreszcie szansę realizować swoje aspiracje, a ci przedstawiciele elit, którzy skorzystali na niby-wolnorynkowych interesach robionych na styku biznes – państwo – czego symbolem w Poznaniu był Jan Kulczyk – są w mniejszości.

Elit, które cierpią na ojkofobię – nienawiść do własnej kultury – jak to ostatnio wytknął sędziom Jarosław Kaczyński?

Ani o elitach Poznania, ani o zwykłych poznaniakach tego powiedzieć nie można. Tutaj zawsze szacunek dla polskiej tradycji, kultury, własnej historii był bardzo silny. Trudno znaleźć w Poznaniu kogoś, kto źle wyrażałby się np. o powstaniu wielkopolskim, a w Warszawie jeśli chodzi o ocenę powstania warszawskiego, to już tak proste nie jest.

Łatwiej być dumnym z powstania, które zakończyło się sukcesem.

eprasa.pl a64665f984

FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

To prawda. Ale to znaczy, że Poznań jest miastem zwycięzców.

Zwycięzców z Platformy Obywatelskiej, bo PiS miał tu zawsze słabe wyniki.

Nie do końca z Platformy, bo tu swego czasu dobrze wypadał Sojusz Lewicy Demokratycznej.

To jeszcze gorzej. SLD, PO – o czym my w ogóle mówimy! Poznań, przed wojną twierdza endecji, miejsce pierwszego antykomunistycznego powstania w 1956 r., jest nagle miejscem, gdzie rządzą albo czerwoni, albo różowi. Co się stało?

Poznań zapłacił za swój zryw, w PRL poddano miasto mocnym przekształceniom społecznym, żeby nie dopuścić do powtórki z powstania 1956. Mówię o przesiedlaniu rodzin milicyjnych i wojskowych, o innych procesach. Mimo to uważam, że wyszedł z komunizmu mniej poturbowany od innych miast, ocalono tu ducha przedsiębiorczości. Mieszkańcy Poznania szybko zaczęli się bogacić w III RP, zajęli się własnymi biznesami, a mniej polityką, którą po prostu oddali komuś innemu.

To w takim razie jak przebiega dziś linia głównego podziału w Poznaniu – mieście zasobnym, z mniejszymi nierównościami niż gdzie indziej? PiS kontra anty-PiS czy może jest to podział ideologiczny: tęczowa lewica, której taranem stał się prezydent Jacek Jaśkowiak, kontra konserwatyści?

To podział ideologiczny narzucony przez skrajną lewicę, której taranem stał się pan prezydent Jacek Jaśkowiak. Ten podział jest trudny do wytrzymania zarówno dla wielu dawnych wyborców PO, jak i dla niektórych ludzi lewicy. Liczę także na ich głosy.

To która teza jest prawdziwa? Bo PiS sugeruje, że musi wygrać w samorządzie, żeby dokończyć przebudowę państwa, a PO i Nowoczesna krzyczą, że PiS chce tylko centralizować i dławić lokalną demokrację. Co pan chce dławić w Poznaniu?

Większość Wielkopolski jest przekonana, że strategia PiS jest właściwa, i sondaże pokazują mocne poparcie, wyjątkiem jest sam Poznań, ale taka jest specyfika dużych miast. Jeśli zaś chodzi o zadania władzy, czasem trzeba centralizować, czasem decentralizować, zależy co i kiedy. Ale warto przypominać, że mamy jedno państwo, jeden język, jedną historię i wspólne doświadczenie, więc nie można Polski podzielić na jakieś maleńkie księstewka. Demokracja polega na słuchaniu głosu większości, a nie na zamykaniu się w oddzielnych enklawach.

Czyli strategia PO i Nowoczesnej, budowanie kampanii na strachu, że przyjdzie PiS i zniszczy samorządność, nie jest właściwa?

Prowadzi na manowce. I to widać. Bo gdyby diagnoza opozycji była trafna, to inaczej by ta walka wyglądała, spór byłby racjonalny, a nie emocjonalny, a lęki Polaków przed PiS odnalazłyby odzwierciedlenie w sondażach. A tak nie jest. PO zachowuje się nieracjonalnie, była zresztą taka już po wygranej w roku 2007, kiedy zamiast sformułować program gospodarczych zmian w Polsce zajęła się budowaniem piarowskiego obrazu, który potem jak wydmuszka pękł w 2015 r. ku zdziwieniu bardzo wielu osób.

Wyobraźmy sobie, że na biurku prezydenta Poznania Tadeusza Zyska leżą dwa wnioski: jeden narodowców, którzy chcą zorganizować Marsz Niepodległości, oraz środowisk LGBT, które chcą zorganizować Paradę Równości. Na który będzie zgoda?

Na obydwa. Prezydent Poznania zapewnia bezpieczeństwo uczestnikom jednej i drugiej demonstracji. Rolą gospodarza miasta jest sprawne zarządzanie, w tym umożliwienie mieszkańcom swobodnego wyrażania swoich poglądów, szczególnie tym, którzy są w mniejszości. Byle takie demonstracje nie odbywały się jednocześnie w tym samym miejscu. Kto nie narusza ładu konstytucyjnego i nie wyraża agresji, ten ma prawo demonstrować. A ja mam prawo mieć poglądy, jednak jako prezydent nie powinienem ich demonstrować, oferować patronatu, bo służę wszystkim poznaniakom.

Czego nauczyła pana kampania? Psycholog z wykształcenia, wydawca i biznesmen znalazł się nagle w zupełnie innej roli, nie obserwatora, tylko uczestnika. I co odkrył?

Na pewno szybko zgromadziłem ogromną liczbę nowych doświadczeń. Przede wszystkim spotkania z ludźmi, którzy formułują niekiedy skrajnie różne oceny, to jest ciekawa szkoła. Po drugie zobaczyłem, jak ostra jest polaryzacja. Poznaniacy niechętnie manifestują swoje poglądy polityczne, ale od chwili, kiedy jestem kandydatem, stałem się częścią podziału: jedni zaczęli mnie uważać za swego, inni wręcz przeciwnie. Po trzecie zrozumiałem, jak to jest nieść na barkach oczekiwania i nadzieje bardzo wielu osób, jak duża to odpowiedzialność. Coś, czego nie można, tak o, porzucić.

Czyli to droga w jedną stronę? Już nie wydawca, ale polityk?

Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że synowie coraz bardziej zajmują się wydawnictwem, ja mogę poświęcić się innym sprawom. Jestem podekscytowany i świadomy odpowiedzialności, zwłaszcza że w Poznaniu przedstawicielowi prawicy nigdy nie udało się wejść do drugiej tury. Ja, według sondaży, mam na to wielką szansę. Wielu sceptycznie patrzyło na moją kandydaturę, tymczasem sądzę, że urzędujący prezydent z PO, Jacek Jaśkowiak, będzie miał w pierwszej turze wynik poniżej 40 proc., ja zapewne w okolicach 30 proc. Tego nigdy nie było, to jest wyraźna zmiana obrazu miasta. A może inaczej: przywrócenie normalności. Poznań zawsze był miastem konserwatywnym, ale dotąd te sympatie były skryte, siły rozproszone. Mam nadzieję, że skupią się wokół mnie.

30 proc. to za mało, żeby zostać w drugiej turze prezydentem Poznania.

Nie widzę problemu, popatrzmy, co stało się w roku 2014. Jacek Jaśkowiak w pierwszej turze otrzymał ok. 22 proc., w drugiej turze 65 proc. Z kolei Ryszard Grobelny, który w pierwszej turze wygrał i uzyskał 28 proc., poniósł porażkę w drugiej turze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Testowy nowy PiS

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Kamila Baranowska

Jarosław Kaczyński dokonuje właśnie pokoleniowego przemeblowania swojej partii. Młodzi politycy, na których postawił w wyborach samorządowych, to istotny element tej układanki

Początek września, konwencja Zjednoczonej Prawicy oficjalnie inaugurująca kampanię samorządową. Po otwierającym przemówieniu prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego na scenie pojawia się Anna Jaki, żona Patryka Jakiego, walczącego o prezydenturę Warszawy. Opowiada o swoim mężu. Po chwili na scenie pojawia się sam kandydat, który mówi o swojej wizji Warszawy. O Małgorzacie Wassermann, która kandyduje w Krakowie, opowiada jej siostra, o Kacprze Płażyńskim, startującym w Gdańsku – żona Natalia. Tuż przed kulminacyjnym wystąpieniem premiera Mateusza Morawieckiego przemawia jeszcze Lucjusz Nadbereżny, ubiegający się o reelekcję prezydent Stalowej Woli. W roli prowadzącego zaś wystąpił Waldemar Buda, kandydat na prezydenta Łodzi. Wspólnym mianownikiem gwiazd konwencji jest metryka. To 30–40-latkowie, którzy mają szansę na stałe zagościć w politycznej pierwszej lidze.

TRAMPOLINA DO PIERWSZEJ LIGI

Scenariusz imprezy był bardzo przemyślany i miał pokazać największe atuty PiS w tej kampanii – młodych, energicznych, zaangażowanych kandydatów, którzy mogą do siebie przekonać tych wyborców, którym na co dzień z PiS nie jest po drodze. To cel krótkofalowy, obliczony na najbliższe wybory. Ważniejszy jest jednak cel długofalowy.

Jarosław Kaczyński, wyznaczając do kandydowania w dużych miastach 30–40-latków, od początku zdawał sobie sprawę, że gra idzie o coś więcej niż tylko wyborcze zwycięstwo. Zwłaszcza że w dużych miastach jest ono mało prawdopodobne.

– Konwencja PiS miała szerszy cel niż przedstawienie osób kandydujących w wyborach samorządowych. Przedstawiono

eprasa.pl a64665f984

polityków pokolenia 30- i 40-latków, którzy mogą odegrać rolę w kolejnych wyborach. To stosunkowo młodzi ludzie, którzy nawet jeżeli w wyborach samorządowych będą służyli jako coś w rodzaju „rozpoznania bojem", to mogą znaleźć drogę do elektoratu z tej samej grupy demograficznej i posłużą jako papierek lakmusowy jej potrzeb i oczekiwań – komentował na gorąco tuż po konwencji prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Prezes PiS rzuca na głęboką wodę polityków, co do których żywi największe nadzieje. Nawet jeśli nie wygrają, kampania samorządowa bardzo ich politycznie zbuduje. Będą wzmocnieniem list PiS w przyszłorocznych wyborach do parlamentu i nadzieją na pokazanie nowej twarzy partii – odmłodzonej i nowoczesnej.

Jaki i Wassermann już w poprzednich wyborach do parlamentu uzyskali najlepsze wyniki w swoich okręgach, teraz będą jeszcze mocniejsi. Kaczyński bardzo też liczy na Kacpra Płażyńskiego, w którym widzi spory potencjał, co potwierdzają także niezłe sondaże. W sytuacji, gdy o elektorat liberalny walczy dwóch kandydatów (obecny prezydent Paweł Adamowicz i kandydat PO Jarosław Wałęsa), Płażyński nie jest bez szans. Na razie sondaże są dla tej trójki bardzo wyrównane. Nawet jeśli Płażyński nie zdobędzie prezydentury Gdańska teraz, to swoją aktywnością może pomóc wzmocnić PiS w regionie i pomóc w odbiciu matecznika Platformy w przyszłości.

Prezes docenia też starania Sylwestra Tułajewa w Lublinie. Na razie sondaże dają olbrzymią przewagę obecnemu prezydentowi z Platformy, ale jeśli kandydatowi PiS udałoby się doprowadzić do drugiej tury, to szanse by się wyrównały. Lucjan Nadbereżny, który w Stalowej Woli wygrał, mimo że nikt nie dawał mu szans, od czterech lat jest przez najważniejszych polityków PiS – od Kaczyńskiego, przez Andrzeja Dudę, Beatę Szydło, do Mateusza Morawieckiego – stawiany za wzór do naśladowania i dowód na to, że jak się bardzo chce, to można odnieść sukces. Nadbereżny cztery lata temu został prezydentem Stalowej Woli, choć nie dawano mu większych szans. Wygrał z pewniakiem, dotychczasowym wieloletnim włodarzem miasta – pokonał go już w pierwszej turze.

Jak dotąd największe wrażenie na prezesie zrobiła kampania warszawska. Patryk Jaki, do którego Kaczyński podchodził początkowo mało ufnie, zaskoczył go, podobnie zresztą jak wszystkich w partii. Tajemnicą poliszynela jest w PiS to, że początkowo Jaki nie był faworytem prezesa do ubiegania się o fotel prezydenta stolicy. W partii mówią, że to kandydowanie sobie „wychodził". Przekonywał prezesa, że ma rozpisany gotowy plan na całą kampanię i że tym planem może powalczyć o Warszawę. Prezes docenił determinację i dał mu szansę. Dzisiaj widzi, że Jaki swoją szansę wykorzystuje w 100 proc., a nawet bardziej. I dlatego tak bardzo publicznie go chwali.

– Jeśli w Polsce szukać prawdziwych ludzi czynu: przemyślanego, zorganizowanego, racjonalnego, to Patryk Jaki należy do maleńkiej grupy tych, którzy to wszystko potrafią – tak Jarosław Kaczyński zachwalał kandydata na prezydenta stolicy podczas jego konwencji. – Jeśli ma tu być nowy początek, to musi być tak, że 21 października, a najpóźniej 4 listopada, prezydentem Warszawy zostanie Patryk Jaki – dodał. Stwierdził też, że „pan Patryk będzie za 10 lat gdzieś tam wysoko, jeszcze wyżej niż prezydentura Warszawy". Szczególną formą uznania było jednak porównanie drogi Jakiego do drogi, którą przeszedł śp. Lech Kaczyński. – Wydawało się to niemożliwe, ale przecież kiedyś Lech Kaczyński stanął do walki o prezydenturę Warszawy i wygrał, później wygrał też prezydenturę Polski. Patryk Jaki też zwycięży, zwyciężymy – powiedział prezes PiS.

– Warszawa była z góry skazana na porażkę, więc w sumie nie miało większego znaczenia, kogo wystawimy. Wiedzieliśmy od początku, że Patryk bardzo chce startować w Warszawie, ale to, jak wszedł w tę kampanię, wywołało w nas szok. Sondaże poszły w górę, a Jaki robi taką kampanię, że nawet my zaczynamy wierzyć, iż przy dobrych wiatrach Platforma jest tu do pokonania – opowiada jeden z ważnych polityków PiS.

Zresztą, gdyby prezes nie wierzył w taką ewentualność, nie brałby osobiście udziału w jego konwencji wyborczej. A wziął. I przyprowadził ze sobą premiera. To o tyle istotne, że Mateusz Morawiecki mógł niespecjalnie mieć ochotę aktywnie wspierać Jakiego. Po pierwsze, pozostaje skonfliktowany ze Zbigniewem Ziobrą, a Jaki to człowiek Ziobry, a po drugie lobbował u Kaczyńskiego za inną kandydaturą – wolał szefa swojej kancelarii Michała Dworczyka.

Nieprzychylni PiS politycy i komentatorzy zbudowali Jarosławowi Kaczyńskiemu legendę, jakoby prowadził politykę wyłącznie w oparciu o ludzi z czasów dawnego Porozumienia Centrum (słynny Zakon PC). To oni mieli rozdawać karty, podejmować kluczowe decyzje. To ich miał się radzić i słuchać. Do tej legendy nijak nie pasuje to, że Kaczyński powierzył kierowanie rządem Mateuszowi Morawieckiemu, który nie dość, że jest politycznym debiutantem, to przez prezesa jest postrzegany w kategoriach młodzieży (jak każdy, kto ma mniej lat od niego – jak żartują politycy PiS).

PARTIA NA POKOLENIA

Nie pasuje do niej także to, że w 2015 r. dał szansę Andrzejowi Dudzie, a w tym roku daje szanse w wyborach kolejnym młodym politykom. Nie pasuje do tej legendy także fakt, że dał Morawieckiemu przyzwolenie na pozbycie się z rządu swoich starych druhów, takich jak Antoni Macierewicz, Jan Szyszko czy Krzysztof Jurgiel. Nie da im zginąć, ale przyznał rację premierowi, że w rządzie są obciążeniem.

Ocenianie Kaczyńskiego przez pryzmat własnych wyobrażeń na jego temat to największy problem i słabość dzisiejszych krytyków PiS. Tymczasem prezes myśli perspektywicznie. Nie tylko w kontekście Morawieckiego, lecz także partii w ogóle. – Proszę spojrzeć, ile świeżej krwi udało się wprowadzić PiS w 2015 r. do Sejmu. Bardzo odświeżyliśmy nasz klub, wprowadziliśmy masę nowych wartościowych posłów, ale i tak na koniec słyszymy, że PiS składa się wyłącznie z Zakonu PC, Macierewicza i Pawłowicz – narzeka jeden z rozmówców z PiS.

Dzisiaj prezes selekcjonuje przyszłą kadrę polityczną, która kiedyś będzie decydować o tym, jaką partią będzie PiS w przyszłości. W tym sensie jest bardziej dalekowzroczny chociażby od Grzegorza Schetyny, który w partyjnej młodzieży widzi dla siebie konkurencję i robi wszystko, by zepchnąć ją na partyjny margines.

– Dzisiaj jestem spokojny, bo widzę, że jesteśmy ugrupowaniem na pokolenia – miał, według portalu 300polityka.pl, stwierdzić Jarosław Kaczyński podczas zamkniętego spotkania klubu po konwencji, prezentującej kandydatów PiS na prezydentów dużych miast. I to jest dziś najważniejszy, obok utrzymania władzy, cel Jarosława Kaczyńskiego, któremu będzie podporządkowywał swoje działania. Co widać już teraz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Wyborczy rzut na taśmę

Rafał A. Ziemkiewicz

Największe polityczne siły utknęły na politycznej wojnie jak w okopach na I wojnie światowej. Nikt nie posuwa się do przodu

Powiedzieć, że w Polsce trwa wojna politycznych plemion, niezdolnych jak afrykańscy Hutu i Tutsi pomieścić się w jednym państwie i wzajemnie uszanować – to banał. Może mniej powszechna jest świadomość, że nie jest to wyłącznie wina polityków. Politycy są jedynie surferami, mniej lub bardziej zręcznie załapującymi się na fale społecznych nastrojów. To sami Polacy, przynajmniej ci politycznie aktywni, chcą się wzajemnie nienawidzić, bo po prostu od niepamiętnych czasów nie mieli innych wzorców politycznej aktywności niż zrzucanie winy za całe zło na drugich, gorszych Polaków, oskarżanych o zaprzedanie okupantowi, i tępienie ich równie zajadle jak okupantów w nadziei, że kiedy znikną, to i wszystkie nasze problemy znikną wraz z nimi.

Uczciwość każe przypomnieć, co się działo, gdy swego czasu, na apel nowo mianowanej premier Ewy Kopacz, Donald Tusk i Jarosław Kaczyński w pozorowanym „pojednaniu" uścisnęli sobie ręce. Sondaże obu partii poleciały na łeb na szyję, więc po pięciu dniach „nowego otwarcia" Ewa Kopacz wyciągnęła na Kaczyńskiego fałszywą „lojalkę" ze stanu wojennego, zwolennicy Tuska zawyli z zachwytu, zwolennicy Kaczyńskiego – z oburzenia, i wszystko wróciło w koleiny, którymi toczy się do dziś.

W naszej historii ta plemienna wojna jest stanem trwałym, a nawet – można rzec – odnawialnym, bo jeśli jedno plemię po latach zmagań miażdżąco wygra z drugim, to zaraz dzieli się na dwa i rozpoczyna się wojna na nowym froncie. Tak stało się na przykład, gdy po zajmujących cały wiek XIX zmaganiach między – nazwijmy to – insurekcjonistami i ugodowcami, nawzajem oskarżającymi się, że ze służalstwa czy z głupoty „gubią Polskę", gdy odzyskanie niepodległości odebrało ugodowcom rację istnienia, dwa główne nurty insurekcji, socjalistyczny i endecki, wytworzyły wzajemną nienawiść piłsudczyków i narodowców, przypisujących sobie wyłączną zasługę odzyskania niepodległości, a wrogom całkowicie ją odbierając i insynuując szkodzenie tej świętej sprawie (posmak nienawiści tamtych lat znajdują państwo od czasu do czasu w felietonach Łysiaka, który z zapałem powtarza nienawistne brednie sanacyjnej propagandy, traktując ją jako źródło historyczne – za kilkadziesiąt lat pewnie ktoś równie zacietrzewiony będzie jako źródła prawdy o naszych czasach przedstawiać wstępniaki Lisa albo książkę Piątka).

Po 1989 r. mieliśmy „podział postkomunistyczny", ale gdy całkowite zwycięstwo odniósł nurt „posolidarnościowy", natychmiast podzieliła go nienawiść między PiS a PO, którą tragedia w Smoleńsku tylko rozogniła, ale przecież sama była jej skutkiem, a nie przyczyną. Jest więc prawdopodobne, że po ostatecznym uwiądzie politycznego plemienia KOD i „Obywateli RP" obecny PiS podzieli się, z grubsza biorąc, na radykałów od Macierewicza i zdrajców od – jak nazywają ci pierwsi Prezydenta – „Dudaczewskiego", i horyzont zbawiennego „oczyszczenia" Polski ze zdrajców, szkodników i wszelkiej maści agentów ciemnych sił nadal będzie się oddalał w miarę przybliżania.

@

Patrząc z szerszej perspektywy na zbliżające się wybory – a właściwie całą serię wyborów, bo po samorządowych idą europejskie, po nich parlamentarne i w końcu prezydenckie, więc nie ma co liczyć na bodaj chwilę oddechu – można stwierdzić tylko jedno: że od pewnego czasu wojna polsko-polska nabrała charakteru pozycyjnego. Ze wszystkich dawnych konfliktów zbrojnych sytuacja najbardziej przypomina front zachodni I wojny światowej: obie strony tkwią głęboko okopane na swych pozycjach, strzelając z najcięższych posiadanych dział, wszystko leci w powietrze, dym i huk nieustanny, oddychać się nie da – i nic. Nikt się nie posuwa do przodu, a jeśli zbierze wszystkie siły i raz jeszcze poderwie się do ofensywy, to skutkiem zrywu będzie marnych parę metrów zdobyczy, która i tak wkrótce zostanie utracona.

Najlepszym dowodem jałowości tego wszystkiego jest powrót – jako bodaj głównego wątku na finiszu kampanii – taśm nagrywanych swego czasu przez

eprasa.pl a64665f984

POSUBOTNIK

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

kelnerów w restauracji Sowa i Przyjaciele oraz kilku innych miejscach. Wbrew szumnym zapowiedziom, ponawianym za każdym razem przez dokonujący wznowienia Onet, sensacji tam nie ma i widać wyraźnie, że w dotychczasowych publikacjach wydłubano już z tego ciasta wszystkie rodzynki. A mimo to taśmowy recykling przykuwa uwagę żelaznych elektoratów i obsługujących ich emocje mediów, co zresztą przybiera formę groteskową, gdyż ta sama taśma zawiera zupełnie co innego w relacji jednej, a co innego w relacji drugiej telewizji. Każda bowiem skupia się na wątkach, które w jej przekonaniu powinny zaszkodzić stronie przeciwnej, pomijając te, które uważa za niewygodne dla swoich faworytów.

Oczywiście, nie ma tu symetrii. Kelnerzy nie nagrywali działaczy „dorzynanej watahy", co w spiskowej teorii salonów przedstawiane jest jako dowód, że inspirował ich faktyczny mocodawca Kaczyńskiego – Putin – choć w istocie tłumaczy się prosto, że od „PiS-owców" nic wtedy nie zależało, nie mieli dostępu do żadnych ważnych spraw ani wartościowej dla podsłuchujących wiedzy, więc nagrywanie ich zwyczajnie nie miało sensu. Jedyną nagraną przez kelnerów osobą związaną z obecną władzą jest premier Morawiecki, który wówczas jeszcze nie był postrzegany jako człowiek PiS, ale raczej jako bankowiec, człowiek z dalekiego kręgu „otuliny" układu zbudowanego przez Tuska. O tym, że ówczesny prezes banku BZWBK brał udział w kilku podsłuchanych rozmowach, wiadomo było od dawna – jak również i o tym, że na tych taśmach, które poznano w śledztwie, jest tylko jedna taka rozmowa, niepotwierdzająca wzajemnie sprzecznych zeznań kelnerów (o czym szerzej pisałem tydzień temu). Pozostaje eksploatować „miskę ryżu", pracę dla Czarneckiego juniora, gotowość odpalenia pieniędzy fundacji Aleksandra Grada, gdyby zgłosiła się po finansowanie jakiegoś projektu, albo stwierdzenie, że „ludzie są tacy głupi", że reklamy BZWBK z Chuckiem Norrisem działają „jak złoto". Strona przeciwna ma na to nie tylko wypowiedzi ośmieszające, np. lenistwo Tuska i jego działaczy, lecz także takie, jak te o przyznaniu lipnej ochrony BOR „Arabowi", żeby nie musiał się wykosztowywać na loty z Gdańska do Warszawy.

Zasada „cui prodest" nie pozwala więc wskazać jako inspiratorów recyklingu sowich taśm polityków PO. Dla nich akurat przypominanie tych nagrań, samego faktu, że były one i odegrały tak istotną rolę w odrzuceniu Platformy przez wyborców przed trzema laty, jest bardzo niewygodne. Nawet gdyby słowa Morawieckiego zawierały jakiś wyborczy dynamit, odpalenie go nie zrównoważyłoby szkód wyrządzonych przez przypomnienie na trzy tygodnie przed wyborami, że to wciąż ta sama PO co wtedy, że w żaden sposób nie odcięła się ona, nie oczyściła i nie zmieniła niczego od czasu, gdy paplanina jej ministrów i prezesów przy ośmiorniczkach zbulwersowała opinię publiczną, i że właściwie nadal ma do powiedzenia tyle samo co w kampaniach roku 2015: „Jak PiS dojdzie do władzy, to…", tylko że tym razem odnosi to do samorządów i – wzorem PiS obudowanego w 2015 Zjednoczoną Prawicą – występuje z „przystawkami" jako „koalicja".

@

Czy „taśma Morawieckiego" zaszkodziła premierowi? Są już sondaże, które pokazują jednoznacznie, że nie – nawet nieco zyskał na zaufaniu. Perspektywicznie zaszkodzić mu może tylko w „żelaznym elektoracie" PiS. Szybka interwencja Jarosława Kaczyńskiego, który niedwuznacznie zasugerował, że Morawiecki bratał się z konkurencyjnym plemieniem i brał udział we wrażych ośmiorniczkowych libacjach z jego wiedzą i zgodą jako swego rodzaju „tajnos agentos", ucięła sprawę tylko na pewien czas. Wrażenie, że – jak to ujął Wojciech Cejrowski – Morawieckiemu „spodnie opadły do kostek" i okazał się kimś innym, „nie naszym", pozostanie i na pewno powróci w wojnie o schedę po Komendancie, którego decyzja o wyznaczeniu na dziedzica właśnie Morawieckiego nie jest przez „lud PiS-owski" akceptowana – choć z oczywistych względów na razie nikt nie śmie jej otwarcie kontestować.

To zdaje się wskazywać na inspirację z wewnątrz PiS, w ramach walk frakcyjnych. Dziennikarze wskazują tu na prokuraturę. Możliwe też jednak, że zgodnie z wersją oficjalną Onetu inspiracja ta wyszła z Sądu Najwyższego. Warto zauważyć, że według podanych przez samych siebie dat dziennikarze Onetu zdołali odnaleźć materiał na premiera w ciągu dwóch dni od otrzymania kilkudziesięciu tomów akt, a sędzia, który im je przekazał, okazał się mieć bujną przeszłość w PZPR i orzekać kary na opozycjonistów w stanie wojennym. Sędziowie SN angażują się w walkę z władzą zupełnie już bezwstydnie i otwarcie, a ich poziom politycznego wyrobienia jest na tyle słaby, że mogli zwyczajnie nie przewidzieć, iż uderzeniem w PiS za pomocą taśm robią niedźwiedzią przysługę swoim obrońcom z „opozycji totalnej".

Tak czy owak najciekawszą sprawą w recyklingu taśm i tak pozostają powyższe domniemania. Taśmy, te już poznane, są niczym dzieła Lenina – każdy znajdzie tu cytat, jaki mu akurat pasuje. A są jeszcze te, których nie ma, o których kelnerzy mówili w prokuratorze, wskazując liczne osoby, w tym np. Grzegorza Schetynę. Co prawda, wydaje się, że kelnerzy na którymś etapie gotowi byli potwierdzić każde sugerowane przez przesłuchujących prokuratorów nazwisko, więc kolejne enuncjacje, co to jeszcze niby gdzieś tam w ukryciu jest i może zostać przedstawione, wywołują coraz słabszą reakcję. Jednak serial trwa, bo na zastygłym w sondażowych okopach froncie najwyraźniej nikt nie ma ani sił, ani pomysłu na kolejną ofensywę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Taśmy 2.0

FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

Łukasz Warzecha

Ujawniane kolejne nagrania sprzed czterech lat to nie proste odwrócenie sytuacji, w której PO traciła, a PiS zyskiwał

Jak syntetycznie można by opisać atmosferę i skutki nagrań ujawnianych przez „Wprost" w 2014 r.? Odpowiadając na to pytanie, najlepiej zastanowić się, co pozostało w powszechnej świadomości po tamtym czasie. Pierwsze skojarzenie jest oczywiste: ośmiorniczki oraz „ch…, d… i kamieni kupa". Większość Polaków nie przypomni sobie już nazwisk bohaterów ówcześnie publikowanych rozmów, poza może względnie kojarzonym Radosławem Sikorskim i autorem cytowanego bon motu Bartłomiejem Sienkiewiczem. Nikt już też nie pamięta, o czym właściwie była mowa, kto ośmiorniczki zamawiał ani do czego konkretnie odnosił się lapidarny opis stanu polskiego państwa, przedstawiony przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. Dzisiaj, a także w momencie wyborów w 2015 r., kluczowe były podstawowe, najogólniejsze skojarzenia, nie detale.

Pierwsze skojarzenie: władza ma gdzieś ludzi, a sama, za publiczną kasę, objada się ośmiorniczkami w luksusowych restauracjach, prowadząc rozmowy w knajackim tonie. Echa tego skojarzenia są do dziś widoczne w ostro (i często przesadnie oraz niesprawiedliwie) antyelitarystycznej polityce PiS.

Drugie skojarzenie: patałachy z PO rządziły tak beznadziejnie, że same widziały, iż polskie państwo to „ch…, d… i kamieni kupa", ale tą wiedzą dzieliły się tylko między sobą, z ludzi robiąc idiotów i wciskając im durną propagandę sukcesu.

Na poziomie mechanizmu oddziaływania, nagrania, które dziś poznajemy, funkcjonują tak samo. Na razie trwa więc walka o to, jakie skojarzenie wybije się na plan pierwszy i pozostanie ludziom w głowach. Największe szanse ma wciąż to dotyczące obecnego premiera. Oto bowiem pomazaniec Jarosława Kaczyńskiego – który w ostatnim czasie sięga po najradykalniejsze wzory retoryczne, opisując czasy rządów PO w najczarniejszych barwach – zasiadał z tamtymi ludźmi do jednego stołu i rozmawiał z nimi ich własnym językiem.

KONTRATAK

Od momentu, gdy relacje z nowych-starych nagrań zaczęły się pojawiać w mediach, wokół ich pochodzenia i znaczenia toczy się dość przewidywalna gra. Po pierwszych materiałach Onetu sprzyjające rządowi media szybko zaczęły działać dwoma torami. Po pierwsze – uruchomiły opowieść o złych dziennikarzach na niemieckim żołdzie, którzy uderzają w dobry rząd, żeby pomóc opozycji. Po drugie – zaczęły same publikować kolejne wątki nagrań. Co ciekawe, o ile wiadomo, że Sąd Najwyższy dał dostęp do akt Onetowi i „Polityce", o tyle nikt się nie zastanawia, jak akta zdobyli np. dziennikarze portalu TVP Info.

Pierwsza z opisanych metod pozornie może być skuteczna. Onet czy TVN24 przyjaciółmi rządu nie są. Tyle że reakcja polityków PO na powrót afery taśmowej na pierwsze strony gazet przeczy pro-

eprasa.pl a64665f984

stej wersji o zmowie opozycji i mediów krytycznych wobec rządu. W pierwszym odruchu przewodniczący Platformy Grzegorz Schetyna powiedział, że publikacja Onetu to akcja uzgodniona z PiS, aby przykryć sprawę „układu radomskiego", która miałaby obciążyć partię rządzącą. Politycy PO nie kwapią się też, żeby korzystać z nowych nagrań w walce politycznej. Nic dziwnego – przypominaliby przecież wówczas to, co pogrążyło ich ugrupowanie. Atakując udział Morawieckiego w rozmowach z elitą ówczesnej władzy, atakowaliby sami siebie.

Dlatego być może źródeł ewentualnej inspiracji – jeśli taka w ogóle za publikacją stała – należałoby szukać raczej wewnątrz obozu władzy. Nie byłaby to pierwsza próba uderzenia w premiera. Z pierwszą, pośrednią, w postaci absurdalnej nowelizacji ustawy o IPN musiał się Morawiecki zmagać wkrótce po objęciu stanowiska i zajęło mu to kilka miesięcy. Czy i ten cios wyszedł z podobnego źródła – nie wiadomo. W tym kontekście pojawiają się nazwiska i Zbigniewa Ziobry, i Mariusza Kamińskiego – obu w stanie szorstkiej przyjaźni z premierem i obu potencjalnie z dostępem do materiałów.

Jest też wreszcie hipoteza, że inspiratora należy szukać nie wśród polityków, ale w wymiarze sprawiedliwości toczącym ostrą walkę z obecną władzą. Możliwe jednak, że ani nie zadziałał tu żaden układ, ani nie było żadnej inspiracji. Bywa, że w polityce i mediach decyduje przypadek.

Drugi sposób działania prorządowych mediów polega na rozmywaniu sprawy, tak by wątek Morawieckiego był tylko jednym z wielu. Wśród dotąd opublikowanych relacji nie ma natomiast żadnej, która uzasadniałaby podejrzenie popełnienia zabronionego czynu. Najbardziej wątpliwa była propozycja Mateusza Morawieckiego, aby jednorazowo wspomóc Aleksandra Grada (w zamian za wykonanie jakiegoś projektu) pieniędzmi banku, którym Morawiecki wówczas kierował. Pamiętajmy jednak, że mowa była o pieniądzach prywatnych i problem z tym mogliby mieć najwyżej właściciele oraz klienci ówczesnego BZ WBK. Jak jednak twierdzi sam premier, do sprawy Grada już nie wracano. Nowoczesna złożyła w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury, ale trudno się spodziewać, żeby rzecz miała dalszy ciąg.

Pozostałe wątki mają wartość wyłącznie ciekawostkową. Mogliśmy zatem dzięki Onetowi zapoznać się z całkiem interesującymi analizami sytuacji geopolitycznej autorstwa Mateusza Morawieckiego. Dzięki TVP zaś – z interesującą dyskusją o taktyce politycznej z udziałem Sławomira Nowaka i Szymona Milczanowskiego oraz z powodami, dla których Tomaszowi Arabskiemu przyznano ochronę BOR (żeby mógł bezpłatnie latać do domu). Z kolei TVN24 dostarczyła informacji o rozmowie ówczesnego prezesa PKO BP (wciąż pełniącego tę funkcję) Zbigniewa Jagiełły z Morawieckim, Krzysztofem Kilianem (PGE) i jego zastępczynią Bogusławą Matuszewską. To chyba najzabawniejszy wątek: Jagiełło opowiada, jak zatrudnił syna Ryszarda Czarneckiego, ale ten szybko się zmęczył, bo zamiast lekkiej fuchy kazano mu naprawdę ciężko pracować.

Tymczasem wątek, od którego Onet zaczął cykl publikacji, potencjalnie najgroźniejszy dla Morawieckiego – mowa w nim m.in. o braniu kredytów na podstawione osoby – nie wzbudził specjalnego poruszenia, bo nie został poparty nagraniem. Opiera się jedynie na nieprecyzyjnych, ogólnikowych i momentami sprzecznych ze sobą zeznaniach kelnerów.

Wygląda na to, że plan PiS jest taki, by iść naprzód, jakby nic się nie wydarzyło, i w ten sposób nie nadawać nagraniom wagi

WIZERUNKOWE ZAGROŻENIE

Wciąż więc na pierwszy plan wysuwa się ogólnikowe skojarzenie – i ono jako jedyne może być znaczące. Aby odwołać się do klasyki: Morawiecki – Frodo namaszczony przez Gandalfa (czyli Jarosława Kaczyńskiego) jako wybraniec, któremu powierzono pierścień – był za pan brat z ludźmi Sarumana i najgorszymi zbirami Mordoru. Prezes PiS zdaje sobie sprawę z zagrożenia wizerunkowego, które z tego wynika – w przeciwnym wypadku nie wystąpiłby w TVP tak szybko po pierwszej publikacji. Jego wypowiedź była jednoznacznym i stanowczym sygnałem poparcia dla szefa rządu.

Problem w tym, że sam PiS od dawna przedstawia drugą stronę politycznego konfliktu w kategoriach niemalże eschatologicznych – jak w mitycznym starciu dobra i zła z przywołanego wcześniej „Władcy pierścieni". W tej opowieści nie ma miejsca na jakiekolwiek kontakty pomiędzy obrońcami Dobra i stronnikami Zła, tymczasem nagrania ten schemat przełamują. W Sowie i Przyjaciołach zadomowiony jest Morawiecki, doskonale czuje się tam Jagiełło, jego dobry znajomy, który dzięki obecnemu premierowi nie stracił po 2015 r. stanowiska prezesa PKO BP. Czyli – można pomyśleć – albo Morawiecki nie jest w pełni członkiem Drużyny Pierścienia, albo Mordor nie jest tak bezwzględnie zły, jak opowiada nam Gandalf.

Nagrania z 2013 r. po ich ujawnieniu przez „Wprost" stały się jednym z ważnych czynników, przyczyniających się do przegranej PO w roku 2015. Swoje zrobił również najazd służb na redakcję tygodnika. Jednak trudno uznać, że rząd PO obaliły tylko nagrania. Na porażkę złożyły się lata rządzenia w fatalnym stylu i z kiepskimi rezultatami. Lata lekceważenia części obywateli, ich uczuć i potrzeb. Jednak być może bez nagrań z Sowy wynik partii Ewy Kopacz byłby lepszy.

To samo dotyczy obecnej ich transzy. Morawiecki wciąż nie jest traktowany przez wszystkich wyborców, szczególnie tych twardych, oraz przez aparat partyjny jako swój. Ma nadal piętno człowieka z zewnątrz, a nagrania to odczucie mogą potęgować. Mogą też dać do ręki argument tym, którzy próbują atakować PiS z prawej flanki, przedstawiając szefa rządu jako sprzyjającego Izraelowi lub wpuszczającego masowo do Polski imigrantów zarobkowych. Opowieść o Morawieckim jako w gruncie rzeczy człowieku Platformy dobrze z taką narracją współbrzmi.

Wystąpienie Kaczyńskiego było zatem próbą ucieczki do przodu. Pokazanie, że cokolwiek jeszcze się pojawi, nie ma znaczenia. Wygląda więc na to, że plan jest taki, aby iść naprzód, jakby kompletnie nic się nie wydarzyło, i w ten sposób nie dodawać nagraniom wagi. Czy to zneutralizuje ich skutki, które niekoniecznie muszą być natychmiast widoczne w sondażach? Być może przekonamy się dopiero w 2019 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Jałowość opozycji totalnej

Stefan Sękowski

Niewybranie Agnieszki Dudzińskiej na rzecznika praw dziecka to symptom szerszego zjawiska, jakim jest opozycyjność totalna. Niemerytoryczna i nieskuteczna

Określenie „opozycja totalna" nie jest obraźliwe, tylko opisuje rzeczywistość. Część opozycji (zwłaszcza Platforma Obywatelska i Nowoczesna) nie przebiera w środkach, by przyłożyć Prawu i Sprawiedliwości, bez względu na to, czy jest to słuszne. Takie wilcze prawo opozycji, ale głównie wtedy, gdy za główny cel polityki uważa się pokonanie przeciwnika, nie zaś uchwalanie mądrego prawa czy wybór sensownych ludzi na odpowiedzialne stanowiska.

EUTANAZYJNY „SZCZUR"

Przekonaliśmy się o tym niedawno, podczas głosowania nad kolejną już kandydaturą na rzecznika praw dziecka. Po tym, jak Sabina Zalewska wycofała się z kandydowania, wydawało się, że rządząca partia postawi znowu na kogoś sobie bliskiego. Jednak PiS zaproponował socjolog Agnieszkę Dudzińską. Działaczka na rzecz osób niepełnosprawnych (sama ma dwoje niepełnosprawnych dzieci) była też swego czasu wiceprezes PFRON. O konserwatywnym światopoglądzie, niebędąca partyjnym żołnierzem – warto wspomnieć o jej poparciu dla postulatów opiekunów osób niepełnosprawnych podczas ich protestu w Sejmie. Twardym proliferom (m.in. Kai Godek)

Niebędąca partyjnym żołnierzem Agnieszka Dudzińska nie została rzecznikiem praw dziecka, bo opozycja programowo zagłosowała przeciw PiS

FOT. EAST NEWS/PIOTR MOLECKI

eprasa.pl a64665f984

podpadła, krytykując „Duchową adopcję dziecka poczętego", co – choć było niesłuszne – przy okazji wskazało, że życie należy chronić nie tylko przed narodzinami i nie tylko modlitwą. Jej książka „System zamknięty" dużo wniosła do wiedzy o tym, jak nasz parlament zamienił się w maszynkę do głosowania. Wbrew pozorom ma to dużo wspólnego z byciem RPD – Dudzińska zdaje sobie sprawę z tego, jak istotna dla opieki nad dziećmi jest jakość prawa. „Ustawa o systemie oświaty doczekała się w swej historii 679 rozporządzeń, z których wiele nadal ma moc obowiązującą. Do kształcenia uczniów niepełnosprawnych odnosiło się co prawda tylko kilka z nich, ale często głowiłam się, jak nadążają za tym wszystkim dyrektorzy szkół. No i przestałam się dziwić, że uczeń niepełnosprawny to dla nich kłopot – także dlatego, że muszą się przekopać przez dodatkowe przepisy" – pisała w tekście „Pożytki z liberalnego populizmu" dla „Nowej Konfederacji".

Ktoś złośliwy mógłby ten fragment wyrwać z kontekstu i stwierdzić, że Dudzińska uważa, iż uczeń niepełnosprawny jest kłopotem dla dyrektorów szkół. I „ktoś złośliwy" się znalazł – konkretnie Magdalena Kochan z PO, która podczas debaty nad jej kandydaturą wyrwała z kontekstu jej wypowiedź dla TV Republika i zarzuciła jej… popieranie eutanazji. Tylko ktoś mający problemy ze słuchaniem ze zrozumieniem mógłby uznać gorzką antyaborcyjną ironię za wyrażenie stanowiska, ale mleko się rozlało: nie poparła jej zjednoczona opozycja (do PO i Nowoczesnej dołączyli także posłowie Kukiz'15 i PSL), a także część posłów PiS, którzy głosowali przeciw, wstrzymali się od głosu lub wyjęli karty do głosowania – częściowo nie chcąc głosować na „zwolenniczkę" eutanazji osób niepełnosprawnych.

Opozycja konstruktywna w takiej sytuacji skorzystałaby z możliwości wsparcia kogoś, po kim można się spodziewać, że będzie niezależny wobec Nowogrodzkiej. Zwłaszcza że już wcześniej było wiadomo, że może nie otrzymać wsparcia ze strony „toruńskiej" części klubu PiS – jednak zamiast podać jej pomocną dłoń, opozycja totalna podrzuciła jej szczura. Dla krótkiej radości z „wygranego" głosowania poświęcono stanowisko RPD. Drugi raz Dudzińskiej (czy kogoś jej pokroju) kierownictwo PiS może nie wystawić, ale może się zdecydować na kogoś bardziej strawnego dla całego klubu. I raczej nie będzie bardziej strawny dla opozycji – jednak wtedy nie będzie miało to znaczenia, ponieważ PiS ma samodzielną większość w Sejmie.

MIKROKOSMOS PRZY WIEJSKIEJ

Odrzucenie kandydatury Dudzińskiej to tylko jeden z aspektów szerszego zjawiska, jakim jest „opozycyjność totalna" – mniej widowiskowy niż blokowanie mównicy czy próba wwiezienia aktywisty w bagażniku na teren Sejmu – ale mający wspólny mianownik: liczy się zadyma. Trzeba utrzymywać publikę w nieustannym napięciu, poczuciu, że jesteśmy w stanie wojny. Opozycja totalna żyje w mikrokosmosie, który kończy się na Wiejskiej, a decyzje tam podejmowane nie mają wpływu na rzeczywistość w kraju. Liczy się tylko to, czy uda się podstawić nogę konkurentowi, wobec którego stosuje się strategię delegitymizacyjną – w środowiskach opozycyjnych poważnie dyskutuje się o tym, co zrobić, gdy PiS straci władzę: czy tylko odwrócić zmiany prawne, czy cały obóz dobrej zmiany wsadzić do więzienia. Takie opinie głoszą nie tylko trolle: konieczność delegalizacji PiS za oczywistość uważa prof. Wojciech Sadurski, jego wpis na ten temat na Twitterze polubił zaś poseł PO Borys Budka. Co zabawne, daleko idący radykalizm w tym zakresie potrafią prezentować ludzie uważający Okrągły Stół za sukces.

To jest nie tylko nieetyczne i niemerytoryczne, lecz także nieskuteczne. Z taktycznego punktu widzenia jednym z elementów „odsunięcia PiS od władzy" mogłaby być dla opozycji dekompozycja obozu Zjednoczonej Prawicy. Tego nie zrobi jednak, krzycząc do posłów partii rządzącej: „Będziesz siedzieć!", bo przecież nikt nie chce siedzieć. Z kolei odrzucając dobre pomysły (czy kompetentne osoby) tylko dlatego, że są „cudze", podkopuje się własną agendę, którą przy odrobinie sprytu można by zrealizować cudzymi rękoma. Z drobnych zwycięstw w głosowaniach cieszy się zapewne niewielki margines i tak już przekonanych zwolenników PO oraz Nowoczesnej. Warto zaznaczyć, że postawę opozycji wobec Dudzińskiej krytykowała choćby dziennikarka „Gazety Wyborczej" Justyna Suchecka, pisząc na jej łamach, iż „jeszcze pożałujemy, że opozycja programowo zagłosowała przeciw PiS". Są granice opozycyjności.

Potrzebujemy silnej opozycji bez względu na to, kto rządzi. Jej siła nie polega jednak na robieniu na złość rządowi, ale na surowej i merytorycznej jego ocenie. Dopóki opozycja totalna nie zdaje egzaminu w tym zakresie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think-zine'u „Nowa Konfederacja".

REKLAMA

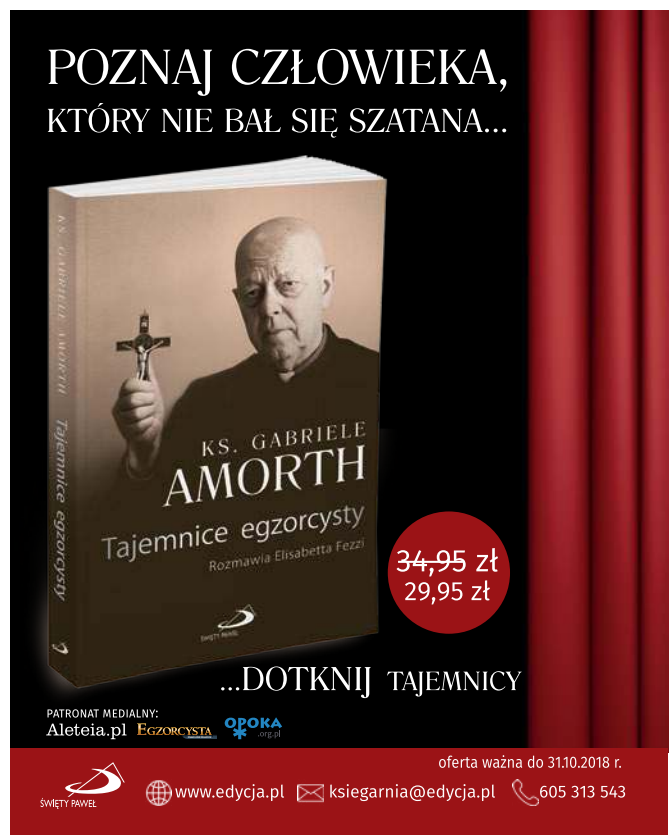

eprasa.pl a64665f984

Agnieszka Niewińska

Andrzej Sapkowski nie wierzył w powodzenie gry komputerowej opartej na jego prozie, więc nie zdecydował się na zapłatę w formie procentu od zysków. Teraz żąda 60 mln zł

Wielka

Spółka CD Projekt RED, produkująca grę komputerową „Wiedźmin", w ciągu jednego dnia potaniała o 300 mln zł. Tak zareagowali inwestorzy na informację, że do spółki wpłynęło wezwanie do zapłaty od pełnomocników pisarza Andrzeja Sapkowskiego, twórcy wiedźmińskiej sagi. W piśmie, którego treść udostępnił CD Projekt RED, można przeczytać, że autor domaga się co najmniej 6 proc. z zysków firmy. „Uznajmy że roszczenie na tę chwilę opiewa co najmniej na 60.000.000,00 zł" – czytamy w piśmie sporządzonym przez prawników pisarza.

CD Projekt RED sprawy komentować nie chce. Wydała jedynie oświadczenie: „W ocenie Spółki żądania są bezpodstawne zarówno co do zasady, jak i wysokości. Spółka w sposób ważny i zgodny z obowiązującymi przepisami nabyła prawa do utworów Pana Andrzeja Sapkowskiego".

WOLAŁ 35 TYS. ZŁ

Sęk w tym, że Andrzej Sapkowski w 2002 r. sprzedał prawa do „Wiedźmina" producentowi gry. Publicznie mówił, że dostał za to grosze. Były szef studia CD Projekt Red ujawnił, że Sapkowski otrzymał 35 tys. zł. Firma proponowała mu procent od przyszłych zysków, ale pisarz się na to nie zdecydował. Po latach okazało się, że gra jest światowym hitem. Kupiło ją już 33 mln graczy, a przychody z samego „Wiedźmina 3" przekroczyły miliard złotych.

– Jest najczęściej nagradzaną grą nie tylko wśród polskich gier, lecz także wśród światowych. Trzecia odsłona przygód Geralta to także najczęściej nagradzana produkcja w historii branży gier – w sumie otrzymała ponad 250 tytułów za grę roku. Czytelnicy prestiżo-

eprasa.pl a64665f984

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

wego zagranicznego magazynu o grach „Game Informer" pół roku temu przyznali „Wiedźminowi 3" tytuł Najlepszej Gry Wszech Czasów – wylicza Robert Ocetkiewicz, redaktor prowadzący serwis PlanetaGracza.pl. – To największa polska produkcja, jeśli chodzi o gry – zarówno pod względem wydatków na produkcję, jak i marketing. Budżet „Wiedźmina" był na poziomie światowym i wielu nie tylko polskich, lecz także zagranicznych producentów filmowych mogłoby mu go pozazdrościć – dodaje. Zwraca uwagę, że CD Projekt RED wydał trzy części gry. – Pierwsza nie była wybitna, druga wyszła twórcom lepiej, ale w przypadku trzeciej części „Wiedźmina", która ukazała się w 2015 r. możemy już mówić o grze wybitnej. Ma znakomite recenzje, wysoką średnią ocen wystawianych przez graczy i recenzentów na całym świecie. Trudno znaleźć drugą taką grę, która ma tak rozwinięte wątki fabularne, gdzie każda postać ma swój unikalny charakter, a nie jest wyłącznie bohaterem z pikseli. „Wiedźmin" daje graczowi dużo swobody i wiele możliwości. Każda decyzja ma konsekwencje w świecie gry. Wyróżnia się także grafiką – do tego stopnia, że to właśnie na „Wiedźminie" gracze sprawdzają moc i możliwości swoich komputerów – zwraca uwagę redaktor prowadzący serwisu PlanetaGracza.pl. Podkreśla, że to przede wszystkim trzecia część „Wiedźmina" była sprzedażowym sukcesem i przyniosła grze światowy rozgłos.

„WYSZEDŁBYM NA DURNIA"

Sapkowski, podpisując umowę, nie spodziewał się, że gra może zrobić tak zawrotną karierę. Zwłaszcza że wcześniej inna firma zrobiła do tego podejście, które zakończyło się niepowodzeniem. – Sprawa jest prosta. Ktoś przychodzi, składa konkretną biznesową propozycję. Dlaczego miałem się nie zgodzić? Pisarz w Polsce to jest jeden z najbardziej spauperyzowanych zawodów, jakie można sobie wyobrazić. Gdybym miał się zdecydować na produkcję zamków błyskawicznych albo guzików z masy plastycznej, zarabiałbym w tygodniu więcej, niż teraz zarabiam rocznie. Więc jak przychodzi ktoś do pisarza i proponuje mu pieniądze za komiks, film, grę komputerową, to co, mam odmówić? Wyszedłbym na durnia – mówił fanom na Polconie w Poznaniu w 2015 r.

Nieraz jednak dał upust swojemu rozgoryczeniu. – Gra narobiła mi mnóstwo smrodu i gówna… Przez to, że zaczęli mi zagraniczni wydawcy używać grafiki z gry na okładkach. No i ludzie odrzucali książkę – mówił na Polconie w 2016 r. – Musiałem toczyć tęgą wojnę, żeby udowadniać, kto był pierwszy – dodawał. Z lekceważeniem odnosił się do gry i graczy, podkreślając, że nigdy w „Wiedźmina" nie grał i nie zagra, bo ma ciekawsze rzeczy do roboty. – Znam niewiele osób, które w to grały. Obracam się wśród inteligentnych – stwierdził także, tracąc tym samym resztki sympatii ze strony graczy.

– Sapkowski to postać kontrowersyjna. Wśród wielu fanów fantasy ma opinię autora zbyt pewnego siebie, pyszałkowatego, co nie przysparza mu sympatii wśród uczestników kongresów fantastyki – mówi dr hab. Grzegorz Trębicki, literaturoznawca z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Nic więc dziwnego, że po pojawieniu się informacji o tym, iż domaga się od CD Projekt RED 60 mln zł, sieć zalała fala obśmiewających go memów. – Bez wątpienia roszczenia Andrzeja Sapkowskiego w stosunku do CD Projekt RED to teraz temat numer jeden w branżowych

eprasa.pl a64665f984

mediach, szeroko komentowany przez graczy na portalach społecznościowych – przyznaje Robert Ocetkiewicz. Nie ma więc wątpliwości, że zarówno gracze, jak i czytelnicy będą śledzić rozwój wydarzeń.

RZADKI PARAGRAF

Doktor habilitowany Michał Zaremba, specjalista w dziedzinie prawa autorskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, podkreśla, że sprawa jest precedensowa. – Chyba nigdy jeszcze w krajowym postępowaniu dotyczącym prawa autorskiego nie chodziło o tak wysoką kwotę. Żądanie 60 mln zł to jednak strategia pełnomocników Andrzeja Sapkowskiego – kto żąda dużo, ten dostaje dużo – mówi.

Zwraca uwagę, że art. 44 ustawy o prawie autorskim, na który powołują się pełnomocnicy pisarza, jest bardzo rzadko stosowany. – Zetknąłem się z zaledwie kilkoma takimi przypadkami i sędziowie zachowywali się w tych sprawach ostrożnie – zaznacza dr Zaremba. I wyjaśnia: – Intencją ustawodawcy przy projektowaniu tego przepisu było udzielenie pomocy twórcom w gorszej sytuacji negocjacyjnej, którzy w konsekwencji nie partycypują w sukcesie, który odniosły ich utwory. Tak było podobno w sytuacji zespołu Hey, którego płyty sprzedawały się w dużych nakładach, ale muzycy na tym nie zarabiali tyle, ile by mogli, bo podpisali niekorzystne umowy. Sądzę jednak, że w przypadku Andrzeja Sapkowskiego przepis ten nie powinien mieć zastosowania, bo kiedy pisarz ten podpisywał umowę z producentem gry, nie był debiutantem potrzebującym wzmocnienia siły negocjacyjnej, tylko już uznanym autorem. W wywiadach podkreślał zresztą, że proponowano mu procent od zysków, ale się na to nie zdecydował. Świadomie więc podjął tę decyzję – mówi specjalista w dziedzinie prawa autorskiego.

Tymczasem między czytelnikami i fanami gier rozgorzała dyskusja na temat tego, kto komu przyniósł większą popularność – czy to kolejne książki Sapkowskiego wpływały na popularność gry, czy jednak to gra zwiększyła zainteresowanie twórczością Sapkowskiego na świecie. Do czasu premiery gry pisarz sprzedał w Polsce 2 mln egzemplarzy swoich książek. Dzisiaj może się pochwalić tłumaczeniami na przeszło 20 języków.

Andrzej Sapkowski FOT. PAWEŁ ŁACHETA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

– W krajach naszej części Europy książki Andrzeja Sapkowskiego były popularne na długo przed tym, jak pojawiła się gra komputerowa „Wiedźmin". Zwykle jest tak, że wydawcy z sąsiadujących z nami krajów obserwują nasz rynek i jeżeli jakaś pozycja cieszyła się u nas dużą popularnością, to decydują się na tłumaczenie. „Wiedźmin" już w latach 90. pojawił się w Czechach, na Litwie czy w Rosji i zdobył tam popularność – mówi dr hab. Grzegorz Trębicki. Zwraca jednak uwagę, że Sapkowskiemu trudniej było zaistnieć na rynku anglosaskim. – Wcale nie jestem przekonany, że dzisiaj na tych rynkach jego nazwisko jest znane wśród czytelników. Gra „Wiedźmin" zdobyła dużą popularność, ale to niekoniecznie musi się przekładać na popularność książek o „Wiedźminie" i rozpoznawalność samego Sapkowskiego. Odbiorcy gier i prozy literackiej to dwie różne grupy. Ponadto Anglosasi chętniej sięgają po własnych autorów. A Sapkowski zdecydowanie różni się od zachodniego fantasy kierowanego do masowego czytelnika. Jest oryginalny, bo nawiązuje do mitologii słowiańskiej, a także komentuje bieżącą sytuację społeczną. W dobie komercjalizacji literatury trudno trafić mu do czytelnika z głównego nurtu, podobnie jak np. japońskim autorom fantasy, którzy są wydawani na rynkach anglosaskich, ale nie cieszą się wielką popularnością.

Eksperci zwracają uwagę, że art. 44 ustawy o prawie autorskim, na który powołują się pełnomocnicy pisarza, jest rzadko stosowany

Jak zatem rozsądzić kwestię roszczeń Sapkowskiego? – Niewątpliwie skład orzekający w tej sprawie czeka trudne zadanie – ocenia dr hab. Michał Zaremba. – Przede wszystkim powinien on wziąć po uwagę ryzyko związane z tego rodzaju inwestycjami, z których tylko niewiele przynosi zyski. Pod tym względem branża gier komputerowych przypomina produkcję filmów czy rynek książki. Niełatwo będzie też ocenić, co konkretnie zdecydowało o sukcesie gry. Być może konieczne będzie powołanie biegłych znających się na specyfice rynku gier komputerowych. Jeśli już sąd zdecyduje o podwyższeniu wynagrodzenia dla autora serii o „Wiedźminie", to decyzja ta będzie miała w dużej mierze charakter uznaniowy, bo przecież normalnie wysokość stawek dyktuje rynek. Ewentualny wyrok na korzyść Sapkowskiego może sprawić, że znajdzie on naśladowców. W konsekwencji może to wyjść na niekorzyść debiutantom, bo wydawcy będą się obawiać wydania ich książek czy płyt.

OD HANDLU SKÓRAMI DO GWIAZDY FANTASY

Doktor habilitowany Grzegorz Trębicki przypomina, że Sapkowski do literatury przyszedł ze świata biznesu. Studiował handel zagraniczny na Uniwersytecie Łódzkim, długo pracował w firmie Skórimpex zajmującej się międzynarodowym handlem futrami. Pisać zaczął jako 40-latek. Brał udział w konkursach literackich, w których zdobywał nagrody. Jego najbardziej znany bohater, czyli Gerlat z Rivii, pojawił się po raz pierwszy w 1986 r. – w opowiadaniu nadesłanym na konkurs literacki pisma „Fantastyka". – Sapkowski był jednym z pierwszych autorów, który znał się na prawie autorskim i ekonomii, dlatego dziwi mnie, że z producentem gry podpisał tak niekorzystną dla siebie umowę – mówi dr hab. Grzegorz Trębicki. Przyznaje jednak, że w sporze o podwyższenie wynagrodzenia będzie kibicował autorowi „Wiedźmina". – Popełnił błąd, ale w negocjacjach z wydawnictwem czy firmą pisarz jest u nas zawsze na słabszej pozycji. Wynagrodzenie Sapkowskiego jest rażąco nieproporcjonalne w stosunku do dochodów, które osiąga producent gry stworzonej na podstawie uniwersum wykreowanego przez pisarza.

Na 2019 r. zapowiedziana jest premiera serialu Netflixa „The Witcher" oparta na prozie Sapkowskiego. Czy autor bogatszy o doświadczenia z grą komputerową wynegocjował lepsze warunki? W sprawie serialu konsekwentnie odpowiada fanom, że to tajemnica.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Energia dla domu

Masz gaz od PGNiG? Miej i prąd!

Z ceną prądu **zamrożoną na rok**

Skontaktuj się z nami:

Zadzwoń do nas
801 800 234*
* Opłata zgodna z taryfą operatora

BOK
Odwiedź najbliższe
Biuro Obsługi Klienta PGNiG

pgnig.pl

PGNiG

eprasa.pl a64665f984

Z księciem Janem Lubomirskim-Lanckorońskim
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Ku ojczyźnie

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Antenatem Lubomirskich był Druzus?

JAN LUBOMIRSKI-LANCKOROŃSKI: Według XVII- i XVIII-wiecznych autorów tworzących rodzinne legendy początki rodu Lubomirskich odnaleźć można w czasach antycznego Rzymu, praprzodkiem tego zacnego rodu miał być rzymski władca i wojownik Druzus. Warto dodać, że miał być on spokrewniony z wybitnymi postaciami z historii starożytnego Rzymu: Gajuszem Juliuszem Cezarem, Oktawianem Augustem oraz innymi rzymskimi władcami pochodzącymi z dynastii julijsko-klaudyjskiej. W tekście innego autora przeczytać można, że ród legendarnych Druzów był blisko spokrewniony z cesarzem Klaudiuszem. Według podań mieli oni być również słynnymi rzymskimi wojownikami, a ich miecze stanowiły postrach dla wrogów. Obok walki w służbie Rzymu członkowie rodu Druzów mieli służyć Cesarstwu Rzymskiemu jako urzędnicy. Kronikarze twierdzili, że odgrywali oni rolę konsulów, a później senatorów. Jest to oczywiste nawiązanie do świetnych urzędów, jakie potomkowie Druzów – Lubomirscy – sprawowali dla ojczyzny.

Legenda jednak nie ogranicza się tylko do wymienienia przodków Lubomir-

eprasa.pl a64665f984

Marszałek Józef Piłsudski, minister spraw zagranicznych August Zaleski, premier Ignacy Daszyński, książę regent Zdzisław Lubomirski i abp Aleksander Kakowski, grudzień 1928 r. FOT. NAC

skich, lecz także podaje, skąd wywodzili się Druzus i jego drużyna. Mieli oni pochodzić z kraju Iliricum. Ten region częściowo odpowiadałby terenom dzisiejszej Chorwacji. Co ciekawe, to właśnie z Ilirii mieli wyruszyć w swoją drogę pradawni Lech, Czech i Rus. Być może ów Druzus znalazł się na ziemiach polskich wraz z mitycznym założycielem naszego kraju?

Zanim zaistniało nazwisko, mawiano o nich Szreniawici?

W dziele „Fluvius Lubomirscianus" autor pisze, że przodkami Lubomirskich byli Scytowie, ochrzczeni w Szreniawie. Sam dziejopisarz zawarł w swojej publikacji scytyjskie pochodzenie przodków Lubomirskich, ale jednocześnie nadał legendzie wymiar chrześcijański. Oczywiście również dotrzymał łączności z wątkiem heraldycznym, kiedy oznaczył rzekę Szreniawę jako miejsce chrztu przodków. Co ciekawe, wedle nowożytnych praktyk, które polegały na odnajdywaniu korzeni rodu w starożytności, pochodzenie scytyjskie, a więc sarmackie, było równie cenne jak rzymskie.

Sadybą rodu była Małopolska?

Rzeczywiście Lubomirscy byli bardzo mocno z nią związani. Ostatnio nawet na potrzeby mojej najnowszej publikacji „Lubomirscy. Książęta polscy" tworzyliśmy mapę wszystkich posiadłości rodu. Obszar dzisiejszego województwa małopolskiego praktycznie cały był zaznaczony na czerwono (śmiech). Sporo dawnych posiadłości mieści się również na terytoriach dzisiejszej Ukrainy i Słowacji. Aby dokładniej poznać te tereny, można przemierzyć Turystyczny Szlak Gniazd Rodowych Lubomirskich, który wynosi aż 879 km. Zaczyna się w Stalowej Woli, kończy na Wiśniczu.

Jaka jest geneza rodowego herbu?

Legenda dalej mówi, że z powodu zagrożenia ze strony barbarzyńców Druzus musiał opuścić swoją ojczyznę. Być może znajdował się on w drużynie Lecha, który polecił mu odeprzeć najazd pogan? W dalszej części opowieści przedstawiono wielkie i chwalebne zwycięstwo oddziału Druzusa nad rzeką Szreniawą. Ukoronowaniem wiktorii było nadanie rodowi Druzusa herbu odnoszącego się do jego sławetnego czynu. Godło miało przypominać o triumfie, jaki odniósł Druzus nad Szreniawą.

Rodowa dewiza Lubomirskich to?

„Patriam versus", co oznacza „Ku ojczyźnie". Jak pokazuje historia, wielu moich znamienitych przodków w rzetelny sposób ją wypełniało, broniąc Rzeczypospolitej, finansując działania jej władców, prowadząc szeroko zakrojoną politykę zagraniczną, a także – tak jak książę Zdzisław Lubomirski – dbając o jej odrodzenie po 123 latach zaborów.

Niejeden zapisał się złotymi zgłoskami na polu Bellony...

Istotnie, męscy potomkowie rodu w większości zasłynęli ze swoich osiągnięć dowódczych i wojskowych.

Pełnili najważniejsze funkcje wojskowe w kraju, a niekiedy kandydowali również do korony polskiej i innych…

Do tronu Rzeczypospolitej kandydowali: Hieronim Augustyn Lubomirski,

eprasa.pl a64665f984

Teodor Konstanty Lubomirski i Stanisław Lubomirski.

Do tronu Węgier kandydował Stanisław Herakliusz Lubomirski.

Urząd marszałka wielkiego koronnego sprawowali: Jerzy Sebastian Lubomirski, Józef Karol Lubomirski, Stanisław Herakliusz Lubomirski oraz Stanisław Lubomirski.

Urząd marszałka nadwornego koronnego sprawowali: Jerzy Sebastian Lubomirski, Stanisław Herakliusz Lubomirski, Hieronim Augustyn Lubomirski i Józef Karol Lubomirski.

Urząd hetmana polnego koronnego sprawował Jerzy Sebastian Lubomirski.

Urząd hetmana wielkiego koronnego – Hieronim Augustyn Lubomirski.

Inni dali się poznać z działalności filantropijnej...

Wielu Lubomirskich poza wojskową karierą lub niezależnie od niej angażowało się społecznie. Członkowie rodu fundowali przytułki dla najuboższych, szpitale, kościoły oraz zakony. Dbali również o rozwój kulturalny, sprowadzając do swoich rezydencji najlepszych architektów, malarzy, muzyków. Wspierali literaturę i kulturę, stając się mecenasami pisarzy i poetów. Doskonałym przykładem jest książę Aleksander Lubomirski, który przeszedł do historii jako hojny fundator – żyjąc z dala od ojczyzny, nie zapomniał o rodakach. Ufundowane przez niego instytucje istnieją do dziś i służą kolejnym pokoleniom Polaków. W 1885 r. książę ofiarował zawrotną sumę 2 mln franków (równowartość ponad 982 tys. zł) władzom autonomicznej Galicji na cele publiczne i naukowe. Sfinansował budowę zakładu opiekuńczo-wychowawczego dla opuszczonych chłopców. Budynek dawnego zakładu do dziś stoi w Krakowie przy ul. Rakowieckiej, obecnie mieści się tam Uniwersytet Ekonomiczny. Kontynuując działania mojego przodka, Fundacja Książąt Lubomirskich, której mam zaszczyt być prezesem, co roku finansuje Stypendium im. Księcia Aleksandra Lubomirskiego dla niezamożnych osób, w tym w szczególności sierot oraz mieszkańców dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej pochodzenia polskiego.

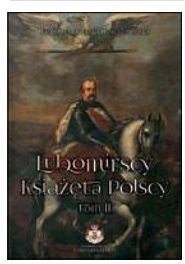

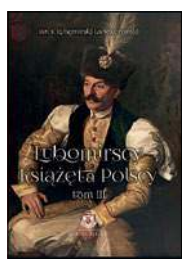

JAN X. LUBOMIRSKI-LANCKOROŃSKI „LUBOMIRSCY. KSIĄŻĘTA POLSCY" SORUS

Kiedy i w jakich okolicznościach zyskali tytuł książęcy?

W 1647 r. Stanisław Lubomirski otrzymał tytuł książęcy (w pełnej formie brzmiał on Sacri Romani Imperia Princeps, Dux in Lancut et Rzemien) od cesarza Ferdynanda III. Tytuł był dziedziczny – otrzymali go również synowie Stanisława: Aleksander, Konstanty i Jerzy, oraz ich potomkowie.

W rankingu Lubomirskich pierwsze miejsce okupuje książę Zdzisław, którego zasługi w odzyskaniu niepodległości wciąż pozostają niedocenione...

Rzeczywiście przez ostatnie lata mój stryj był rzadko przywoływany podczas tematów związanych z odzyskaniem niepodległości. Jednak w 2018 r., podczas jubileuszu 100. rocznicy odzyskania polskiej niepodległości, zauważyłem, że to się zmieniło. Coraz więcej pojawia się artykułów na jego temat i zwiększa się świadomość Polaków, że za odzyskaniem niepodległości nie stoi wyłącznie Józef Piłsudski. Jest on postacią niezwykle ważną i nie odważyłbym się umniejszać jego zasług, jednak to działania mojego stryja sprawiły, że Marszałek mógł przejąć władzę i zarządzać już „zorganizowanym" państwem. Podczas niespełna dwóch lat funkcjonowania Rady Regencyjnej książę regent – bazując na wcześniejszych doświadczeniach z czasów, gdy był prezydentem Warszawy – rozbudował administrację państwową, rozwijał polskie szkolnictwo i sądownictwo, rozpoczął organizację polskich placówek dyplomatycznych oraz – co najważniejsze – ogłosił niepodległość Polski.

Polska jest ostatnim krajem, któremu do dziś nie udało się naprawić krzywd komunizmu

Mógł zostać królem (rok 1918)? Tudzież prezydentem (rok 1926)?

To prawda. Nikt wcześniej nie spodziewał się, że Polska odrodzi się w postaci republiki. Polacy sądzili, że po 123 latach niewoli powróci monarchia. Jako przyszłego króla widzieli właśnie mojego stryja, którego doświadczenie w zarządzaniu najpierw Warszawą, a potem Polską stanowiło wielki atut. Jednak nie tylko to było brane pod uwagę. Mieszkańcy Warszawy uwielbiali księcia regenta i nie wyobrażali sobie nikogo innego na tym „stanowisku" (śmiech). 3 maja 1916 r. po jego przemówieniu o tym, iż Polska rychło odzyska dawną potęgę, obsypano go kwiatami i wiwatowano: „Niech żyje prezydent książę – nasz Książę Lubomirski – Kochany Lubomirski, przyszły król Polski!". Mieszkańcy Warszawy bardzo polubili księcia, który z łatwością dogadywał się ze wszystkimi klasami społecznymi, a wręcz występował w ich obronie.

W 1926 r. marszałek Piłsudski rzeczywiście wysunął kandydaturę mego stryja na prezydenta. Książę Zdzisław był jednak doświadczonym politykiem i nie chciał zaostrzać konfliktów na scenie politycznej. Szczególnie że to właśnie on prowadził mediacje podczas zamachu majowego.

Polska Ludowa dla arystokracji była niełaskawa, kościoły przez nich ufundowane przetrwały, posiadłości i rezydencje niekoniecznie.

Polska jest ostatnim krajem, któremu do dziś nie udało się naprawić krzywd komunizmu. Jest to zupełnie niezrozumiałe z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej. Nie można tworzyć nowego, dobrze funkcjonującego społeczeństwa na krzywdzie innych. Pomimo że w Polsce prawowitym właścicielom nie udało się nigdy odzyskać znacznej części rodzinnych majątków i rezydencji, arystokracja wciąż funkcjonuje w polskim społeczeństwie i prowadzi działania na wzór tej zachodnioeuropejskiej. Do dziś wiele instytucji z miast związanych z rodem szuka współpracy i kontaktu z jego przedstawicielami. Nie dotyczy to tylko mojej rodziny. Za granicą normalne jest zwracanie potomkom arystokracji ich rodzinnych posiadłości, a oni w zamian udostępniają

eprasa.pl a64665f984

je zwiedzającym, kultywując tym samym historyczne dziedzictwo kraju.

Gniazdo klanu – zamek w Wiśniczu – powrócił do Lubomirskich jedynie wirtualnie?

Niestety, do dziś nie wiem, dlaczego urzędnicy są tak bardzo niechętni, by uznać własność Zjednoczenia Rodowego Lubomirskich. To właśnie ono na początku XX w. wykupiło zamek i zatrudniło Adolfa Szyszko-Bohusza, jednego z najlepszych architektów swojego pokolenia, by opracował jego remont i odbudowę. Samo stowarzyszenie zapoczątkowali mój pradziadek Władysław Lubomirski i jego wuj, Jan Tadeusz Lubomirski (ojciec księcia regenta). Dzisiaj do Zjednoczenia należy cała rodzina i aktywnie działamy, aby przywrócić zamek do prawowitych właścicieli. Sprawa toczy się już wiele lat i mimo że Zjednoczenie Rodowe Lubomirskich jest wpisane nawet do ksiąg wieczystych, to przez niechęć urzędników jej końca nie widać. Szczególnie zależy nam na tym, by odzyskać rodzinną spuściznę, bo pragniemy otworzyć tam muzeum ze zbiorami gromadzonymi przez Lubomirskich od pokoleń. Wierzymy, że skorzystaliby na tym wszyscy, a w szczególności mieszkańcy Wiśnicza i okolic.

Jan Lubomirski-Lanckoroński – prezes Grupy Landeskrone i Fundacji Książąt Lubomirskich, biznesmen, filantrop, czynnie wspiera polską historię, kulturę i sztukę. Członek rady Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie i Muzeum Łazienki Królewskie FOT. M. LASYK/REPORTER

Obroty koła historii rozrzuciły Lubomirskich po świecie. Gdzie żyją dziś potomkowie rodowych gałęzi? Czym się zajmują? Utrzymują ze sobą relacje?

Faktycznie członków mojej rodziny można spotkać w wielu krajach. W XVII stuleciu doszło do podziału rodu na cztery główne linie. Od Aleksandra Michała, syna Stanisława, wywodzi się linia wiśnicka, od Stanisława Herakliusza – łańcucka, od Hieronima Augustyna – rzeszowska, od Jerzego Dominika – janowiecka. Potomkowie Aleksandra Michała, syna Jerzego Sebastiana, dzielą się na dwie linie – dubrowieńską (zwaną również marszałkowską) i równieńską. Ja oraz moi najbliżsi kuzyni, Aleksander Lubomirski i Stanisław Jan Lubomirski, pochodzimy właśnie z linii marszałkowskiej. Mimo że obaj mieszkają na stałe w Szwajcarii, staramy się regularnie widywać, szczególnie podczas takich okazji jak chrzty i śluby. Obaj moi kuzyni bardzo aktywnie działają społecznie, wspierając historię rodu. Sam Aleksander jest niezwykle zaangażowany w rozwój polskiej muzyki i wspiera młodych artystów z Polski.

Natomiast mój kuzyn z linii równieńskiej, Alexi Lubomirski, jest jednym z najlepiej rozpoznawalnych fotografów na świecie. Ostatnio miał zaszczyt być autorem sesji zaręczynowej księcia Harry'ego i jego przyszłej żony, Meghan Markle.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak pokonać smoka

PATRONAT DO RZECZY

Popularni bohaterowie książek dla najmłodszych, młodych i nieco starszych, ale wciąż uciekających w świat marzeń i fantazji, byli bohaterami spotkań „Jesieni z Kulturą" organizowanych przez wydawnictwa Zysk i S-ka oraz Nowa Baśń w stolicy Wielkopolski

Przez wszystkie weekendy września wiodące na polskim rynku wydawnictwa – Zysk i S-ka oraz Nowa Baśń – organizowały, pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy", spotkania z literaturą i autorami książek. W spotkaniach uczestniczył też prezes wydawnictwa Tadeusz Zysk. Tym razem kontakty czytelników i autorów różniły się od standardowych promocji książek: zamiast oficjalnych paneli, odczytów, wykładów literatów postawiono na bezpośredni kontakt pisarzy z poznaniakami. To oznacza, że każdy odwiedzający organizowane w różnych dzielnicach miasta festyny mógł przysiąść „w kąciku" z ulubionym autorem, zapytać np. o kulisy powstawania książki, o dalsze losy bohaterów, wreszcie czy bohaterowie inspirowani są prawdziwymi postaciami.

– Pytania o kontynuacje opowieści, zwłaszcza opowieści kryminalnych, padały bardzo często. Czytelnicy chcieli wiedzieć, czy bohater, z którym czytelnik niekiedy się utożsamiał, miejsca znane z codziennych przechadzek po Poznaniu, pewne kody kulturowe i historyczne, które rozpoznawał w czytanych książkach, jeszcze w nich powrócą – mówił nam Tadeusz Zysk, prezes wydawnictwa Zysk i S-ka.

Specjalne miejsce na spotkaniach „Jesieni z Kulturą" poświęcono najmłodszym czytelnikom, którzy chętnie sięgali po rozdawane na nich kolorowe książeczki. Młodzi czytelnicy mogli zapytać np. Weronikę Kurosz, autorkę popularnych wśród najmłodszych czytelników książek, m.in. „Faro ze Słonecznej Zatoki" i „Jak walczyłem ze smokiem", o dalsze losy sympatycznego flaminga albo czy smoki istnieją naprawdę i jak je pokonać. Z kolei Jakub Skworz zabrał młodych czytelników, za sprawą książki „Adaś Mickiewicz. Łobuz i mistrz", w czasy Polski i Litwy pod zaborami, tak by mogli śledzić dzieciństwo i dojrzewanie polskiego wieszcza, poznając zarazem nasze narodowe zmagania z rusyfikacją. Nieco starszych i tych całkiem już dorosłych czytelników w świat demonów, upiorów i strachów zabrał autor opowiadań grozy Łukasz Radecki.

W połowie października, w ramach „Jesieni z Kulturą", zorganizowano także dwie debaty z udziałem Tadeusza Zyska, prezesa wydawnictwa, poświęcone powstaniu wielkopolskiemu i jego znaczeniu dla odbudowy Rzeczypospolitej.

©℗ *(ww)*

eprasa.pl a64665f984

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Arbuzowe pola na zawsze

★★★★☆☆
REŻ. JANUSZ KONDRATIUK
„JAK PIES Z KOTEM"
POLSKA 2018

wyst. Robert Więckiewicz, Olgierd Łukaszewicz, Bożena Stachura

O ciężkich sprawach najlepiej opowiadać lekko. Janusz, spełniony reżyser filmowy, chciałby wreszcie pouzywać życia: podróżować, spędzać więcej czasu z żoną i dziećmi, kontemplować naturę (po to sprawił sobie dom za miastem). W tym stanie ducha dopada go wiadomość o udarze starszego brata, z którym kiedyś zajadle konkurował, a potem zupełnie stracił z nim kontakt. Małżonka Andrzejem się nie zajmie, gdyż jest odklejoną od realiów artystką, a w dodatku ma problem alkoholowy. Zaciskając zęby, Janusz zabiera marnotrawnego brata do siebie.

Część mózgu, odpowiedzialna za emocje, ocalała, więc pacjent – typowy samiec alfa – jest nieznośny. Jeszcze w szpitalu, kiedy się ocknie, zażąda owoców morza na obiad. Zmieniając mu pieluchę, młodszy brat zastanawia się, czy to choroba, czy charakter. Walczy z pokusą, by oddać Andrzeja do hospicjum i w ten sposób wyrównać rachunki z obmierzłym typem, który całe życie był egoistą. Bądźmy szczerzy, ilu z nas wytrwałoby w roli dobrego samarytanina, miesiącami cierpliwie pielęgnując kogoś, kto w przypływie dobrego humoru wyzywałby opiekuna od przyziemnych wyrobników, siebie uważając za geniusza z bożej łaski? Janusz optymizm czerpie tylko z nadziei, że gorzej już być nie może.

„Jak pies z kotem" to film zadziwiająco optymistyczny. Nawet przy założeniu, że fabuła o umieraniu bliskich wcale ckliwa być nie musi (udowodniła to chociażby Kinga Dębska, popełniając komediodramat „Moje córki krowy"). Obie produkcje są de facto autobiograficzne, bohaterowie nowszej z nich są doskonale znani, nie tylko w branży filmowej. To Andrzej i Janusz Kondratiuk, których twórczość ma wielu zajadłych fanów (patrz: „kino kultowe"), ale zwykli zjadacze chleba mają duże problemy z ich odróżnieniem. Andrzej umarł całkiem niedawno, w tym samym domu, który widzimy na ekranie. Po wylewie żył jeszcze 10 lat. Iga Cembrzyńska rzeczywiście przeszła załamanie psychiczne. Wyświechtany zwrot, że scenariusz napisało życie, jest więc w tym przypadku jak najbardziej na miejscu.

Dbałość o dobry nastrój widza ma swoją cenę. Kondratiuk oszczędził nam fizjologicznych szczegółów cierpienia i umierania. Obsada jest ciut za młoda. Olgierd Łukaszewicz nie potrafi być naprawdę wredny, nawet na łożu boleści wygląda bosko. W Gdyni dostał nagrodę, na którą bardziej zasłużyli Aleksandra Konieczna i Robert Więckiewicz.

Przy wszystkich różnicach obaj bracia wierzyli w sztukę filmową. Janusz ma w pogardzie młodych, dla których kino jest tylko zbiorem sztuczek. Woli trenować wyobraźnię, wspominając pola arbuzów, oglądane w dzieciństwie wspólnie z Andrzejem. ©℗

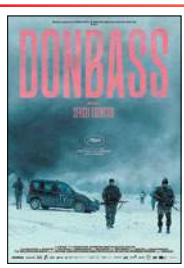

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DONBAS"

Kraina przemocy i absurdu, społeczeństwo, które rozpada się pod naciskiem propagandy i rozsypuje pod butem uzbrojonych watażków, przerażający cyrk, piekło albo może piekło przystrojone w cyrkowe dekoracje. Nowy film twórcy „Szczęście ty moje" to szalony, przerażający obraz Donbasu (czy, jak twierdzą Rosjanie, Noworosiji) przyrównywany przez zachodnich recenzentów do słynnego „Undergroundu" Emira Kusturicy. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Donbas", reż. Siergiej Łoźnica, wyst. Valeriu Andriutã, Natalya Buzko, Evgeny Chistyakov, Niemcy/Francja/Ukraina 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Pierwszy człowiek", reż. Damien Chazelle, USA 2018***
- ***„Zwyczajna przysługa", reż. Paul Feig, USA 2018***
- ***„Climax", reż. Gaspar Noé, Francja 2018***
- ***„53 wojny", reż. Ewa Bukowska, Polska 2017***

eprasa.pl a64665f984

Pasożyty atakują!

Ludzkość mimo wszystko nie zasługuje, by skończyć na talerzach wygłodzonych kosmitów. Wytwórnia Sony w zmowie z komiksowym imperium Marvela wyhodowała nową mackę, zdolną spenetrować portfele nastolatków (a raczej ich rodziców). Kim jest Venom? Amatorom komiksów nie trzeba go przedstawiać. Wypączkował z komiksów o Spidermanie, zwykle był antagonistą, rzadziej sojusznikiem pogromcy nowojorskich zbrodniarzy. Filmowcy przetransferowali go do San Francisco, przy okazji tworząc nową biografię.

W wersji filmowej nosicielem żarłocznego pasożyta (pardon, symbionta) od początku jest Eddie Brock. Niegdyś szalejący, obecnie upadły, reporter telewizyjny ma powody, by nie cierpieć dr. Drake'a, upozowanego na Elona Muska wizjonera, który sądząc, że już wkrótce Ziemia będzie planetą nie do życia, przedsięwziął zgoła obłędny plan…

Jak głosi stugębna plotka, do kin trafił materiał wykastrowany z bluzgów i co brutalniejszych scen. Są i inne niedociągnięcia. Tytułowy bohater zbyt długo każe na siebie czekać. Filmowcy mogli też znaleźć Eddiemu ciekawszego przeciwnika i mniej landrynkową narzeczoną. Potencjalnie mroczna opowieść rączo zmierza w stronę komedii w stylu braci Marx. Film ratuje Tom Hardy, który wcale nie musi zgrywać superbohatera, by kamera go pokochała. Taki aktor to skarb. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. RUBEN FLEISCHER
„VENOM"
USA 2018

wyst. Tom Hardy, Michelle Williams, Riz Ahmed

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK ZNISZCZYĆ PÓŁ WSZECHŚWIATA

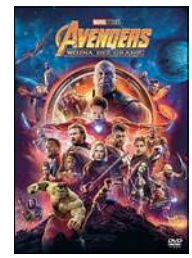

★★★★☆☆

REŻ. ANTHONY RUSSO, JOE RUSSO
„AVENGERS: WOJNA BEZ GRANIC"
USA 2018, GALAPAGOS

wyst. Robert Downey Jr., Chris Hemsworth, Mark Ruffalo

Jeden z najdroższych filmów w dziejach (niemal 400 mln dol.) to przede wszystkim spektakularne zwieńczenie 18 poprzednich kinowych produkcji według komiksów Marvela. W „Wojnie bez granic" zbiegają się wątki, spotykają bohaterowie, których dotąd widzieliśmy w osobnych produkcjach i z dala od siebie, a całość kończy się częściową apokalipsą. Kosmiczny złoczyńca Thanos realizuje swój plan przetrzebienia wszechświata dla jego dobra. Co oznacza dla jakże licznych bohaterów Marvela nowy początek (dla niektórych – definitywny koniec). Kto na dobre pożegna się z widzami, kto otrzyma drugą szansę, tego dowiemy się wiosną przyszłego roku, kiedy do kin trafi ciąg dalszy. Dla widza dziś ważne są dwie informacje. Miłośnicy filmów o komiksowych herosach w trykotach otrzymali danie, z którego będą bardzo zadowoleni, choć to najmroczniejszy dotąd obraz z Marvel Cinematic Universe. Pozostali odkryją, że to rozrywka mocno hermetyczna, choć czasem naprawdę zabawna.

UCIECZKA Z WYSPY DINOZAURÓW

★★★☆☆☆

REŻ. J.A. BAYONA
„JURRASIC WORLD: UPADŁE KRÓLESTWO"
USA 2018, FILMOSTRADA

wyst. Chris Pratt, Bryce Dallas Howard, Rafe Spall

Trzy lata po wydarzeniach z filmu „Jurrasic World" wyspa dinozaurów okazuje się czynnym wulkanem. Co robić: ratować niebezpieczne zwierzęta czy pozwolić im zginąć? Zdaniem naukowców i polityków to drugie: natura sama naprawi błąd, jakim było wskrzeszenie dinozaurów. Z tą decyzją nie zgadzają się protestujący na ulicach aktywiści („Save Our Dinos!" – to jedno z ich haseł) oraz pewien bogacz, który potajemnie organizuje ekspedycję ratunkową. Opowieść zaczyna się obiecująco, ale robi się nieznośnie głupiutka i przewidywalna, kiedy skręca w stronę spiskowego thrillera o niedobrych kapitalistach i handlarzach bronią. Miłą niespodzianką dla fanów oryginalnej serii jest powrót Jeffa Goldbluma (dwie drobne, acz istotne sceny). Za reżyserię odpowiada J.A. Bayona, twórca „Sierocińca" i „Siedmiu minut po północy", który sprawił się z gracją, na jaką nie zasługiwał słaby scenariusz. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED ODYSSEY" ★★★★★☆

Po bardzo udanym odświeżeniu serii „Assassin's Creed Origins" o starożytnym Egipcie przyszła pora na starożytną Grecję. Już na pierwszy rzut oka „Odyssey" powtarza i poprawia najmocniejsze strony poprzedniczki. Mamy zatem oszałamiającą graficznie Helladę, dużą swobodę w wykonywaniu zadań, wiarygodnie nakreślonych bohaterów gry, usprawniony system walki oraz tonę broni białej, łuków i zbroi. Po raz pierwszy można również grać postacią kobiecą, co urozmaica grę. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/SWITCH*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl a64665f984

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Lustro Conrada

Dlaczego wciąż jeszcze warto czytać „Tajnego agenta" Josepha Conrada, 112 lat po jego pierwodruku na łamach marnego amerykańskiego tygodnika, którego nazwy nie ma potrzeby tu przypominać? Bo w „Tajnym agencie" – powiada autor najnowszego przekładu na polski tej powieści, Maciej Świerkocki – „przegląda się nasza dzisiejszość. Oraz żałośnie ułomna natura ludzka, która mimo że sama zdaje się niepoprawna, ciągle chce zmieniać świat i uczynić go bardziej gościnnym miejscem do życia, chociaż zazwyczaj zabiera się do tego zbożnego dzieła, nie przebierając w środkach. Quod erat demonstrandum w »Tajnym agencie«, powieści dla Conrada wyjątkowej nie przede wszystkim dlatego, że pisarz prawie wcale nie korzysta w niej ze swej biografii i osobistych doświadczeń, lecz dlatego, że nie znajdziemy tu śladu afirmacji dla zepsutego świata, w którym prawo i bezprawie to tylko posunięcia i kontrposunięcia w obowiązującej wszystkie strony konfliktu grze fałszu i pozorów".

Była już najwyższa pora na nowe tłumaczenie „Tajnego agenta", powieści chyba, po „Jądrze ciemności", najważniejszej w dorobku Conrada. W obiegu czytelniczym funkcjonowały bowiem dotąd archaiczny przekład Anieli Zagórskiej pospołu z tłumaczeniem Agnieszki Glinczanki, od której śmierci też minęło kilkadziesiąt lat.

Przypomnijmy, o czym traktuje „Tajny agent", znany także z adaptacji filmowej z roku 1996, gdzie w obrazie wyreżyserowanym przez Christophera Hamptona zagrali Bob Hoskins, Gérard Depardieu i Robin Williams. Otóż, opowiada on o zamachu bombowym na Królewskie Obserwatorium Astronomiczne w Greenwich (rzeczywiście doszło do takiego w 1894 r.), dokonanym przez niejakiego Verloca, prowokatora, donosiciela i stanowczo nie najmądrzejszego anarchistę.

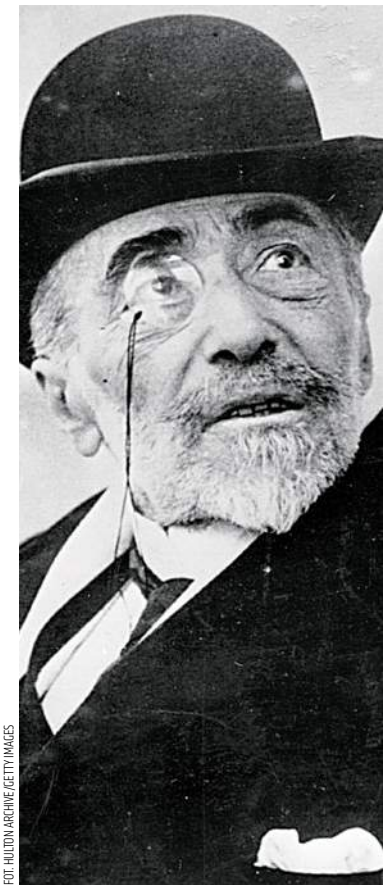

FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

To jego właśnie poucza Vladimir, sekretarz „ambasady pewnego wielkiego kraju", któremu bez większej obawy o pomyłkę moglibyśmy przydać nazwisko Putin: „Aby zamach bombowy miał dzisiaj jakiś wpływ na opinię publiczną, musi wykraczać poza intencje mścicielskie czy terrorystyczne. Musi stanowić akt czysto destrukcyjny. Powinien siać zniszczenie i tylko zniszczenie, i nie może dawać nawet najmniejszych powodów do podejrzeń, że kryje się za nimi jakiś inny cel. Wy, anarchiści, musicie wyraźnie zasugerować, że jesteście bezwzględnie zdecydowani zmieść z powierzchni ziemi całą strukturę społeczną. Ale jak wbić tę przerażająco absurdalną koncepcję do głowy burżuazji w taki sposób, iżby nie mogło być mowy o nieporozumieniu. Oto jest pytanie".

Realizacja zlecenia pozostawia wiele do życzenia. Miało obyć się bez ofiar, tymczasem giną ludzie. I ujawnia się splot polityki oraz propagandy, świata przestępczego i policji, a eksponowany tu najbardziej rewolucjonizm ukazuje swą zatrważającą, prawdziwą twarz. Dla działalności anarchistycznej usprawiedliwienie może być tylko jedno: że oto chce się zmienić istniejący porządek społeczny – na lepszy i bardziej sprawiedliwy. Tylko kto ma tego dokonać? Ludzie tak okrutni i głupi jak ci, których poznajemy?

Ciekawe, że w nędznym panopticum postaci przedstawionych przez Conrada w „Tajnym agencie" jedyną osobą, którą „darzy milczącym, lecz niekłamanym szacunkiem, jest najradykalniejszy i najbardziej bezkompromisowy z wywrotowców, Profesor, marzący o bezwzględnej anihilacji społecznej, o zniszczeniu naprawdę wszystkiego po to, by zamiast przeprowadzać bez końca niezmiennie chybione reformy lub rewolucje, na gruzach starego porządku zbudować zupełnie nowy, autorytarny, silny, z ducha nietzscheański system. Szacunek, czy więcej, podziw nie wykluczają jednak ani konceptualnej powściągliwości, ani metafizycznych obaw wobec tego typu propozycji – gdyż chorobliwie ambitny Profesor, po trosze alter ego czy »ciemny brat« autora, to zarazem postać, której Conrad chyba najbardziej się boi, podobnie jak »złej wolności«, potocznego synonimu anarchii". ©℗

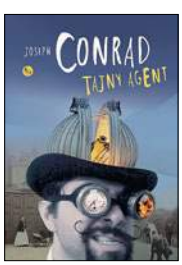

★★★★★★

JOSEPH CONRAD „TAJNY AGENT" PRZEŁ. MACIEJ ŚWIERKOCKI, OFFICYNA 2018

eprasa.pl a64665f984

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

O dziwnej niepodległości

Wyjaśnić bardzo wiele, wyjaśniając niewiele – to paradoks związany z niewielką, ale bardzo pożyteczną książką Eduarda Mendozy „Co z tą Katalonią?". Lubiany i czytany także w Polsce autor (twórca m.in. sympatycznego cyklu o damskim fryzjerze detektywie) łączy swym życiorysem i twórczością Hiszpanię i Katalonię, a esej, który właśnie się ukazał, to jego głos w sprawie sporu o niepodległość regionu.

Za cel postawił sobie uporządkowanie informacji i rozwianie mgły propagandy. I sporo w jego pracy informacji mocno niepoprawnych. Generał Franco nie był faszystą – pisze wprost – potajemnie wręcz faszyzm zwalczał, ale inna sprawa, że jako człowiek cyniczny i bez poglądów, kiedy potrzebował pomocy Niemiec i Włoch, to ją wykorzystał. Katalonii nie prześladował dlatego, że nienawidził Katalończyków, tylko dlatego, że zwalczał wszelkie przejawy sprzeciwu, autonomizm czy separatyzm we wszystkich regionach Hiszpanii. To istotne stwierdzenie, gdyż zwolennicy niepodległości Katalonii często sugerują, że byłaby ona odpowiedzią na szczególne prześladowania ze strony frankistowskiego reżimu.

Pięknie rekonstruując przyczyny katalońskiej odrębności i rozumiejąc jej fenomen, jednocześnie Mendoza nie szczędzi ziomkom gorzkich słów, wytykając im, że nie pojmują, jak bardzo separatyzm kataloński jest w innych (także specyficznych) regionach Hiszpanii traktowany jako żądanie nieuzasadnionych przywilejów. Fascynujący, choć zbyt krótki, jest fragment, w którym opisuje pewien szczególny typ ojkofobii katalońskich buntowników, którzy nie tyle chcą być Katalończykami, ile nie chcą być Hiszpanami, ale już bycie np. Francuzem, Włochem albo Niemcem by im nie przeszkadzało.

Wyjaśnia więc mnóstwo, ale gdy przychodzi do odpowiedzi na pytanie, skąd właściwie nagłe przyspieszenie wypadków w ostatnich latach, rozkłada bezradnie ręce. „Czy były to precyzyjnie zaplanowane działania, czy szalona improwizacja, a może połączenie jednego i drugiego". Tym bardziej warto dalej szukać odpowiedzi i tym bardziej cała kwestia wygląda podejrzanie.

Mendoza nie wygląda poza Hiszpanię, a przecież są siły, którym zależy na rozsadzeniu Unii Europejskiej od środka przez potęgowanie kłopotów jej największych krajów. Może uwzględnić trzeba Rosję? A kogo jeszcze? Szersze i bardziej dociekliwe prace z pewnością prędzej czy później się pojawią. Niezależnie od tego, kto zostanie ich autorem, uwzględnić będzie musiał głos Eduarda Mendozy. ©℗

★★★★☆☆
EDUARDO MENDOZA
„CO Z TĄ KATALONIĄ?"
POST FACTUM
2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Temat stary jak show-biznes: sława, zwłaszcza zbyt szybko zdobyta, nie uszczęśliwia. Wśród bohaterek pouczających opowieści gwiazdy dawne (Marilyn Monroe, Grace Kelly) i obecne (Angelina Jolie, Meryl Streep).

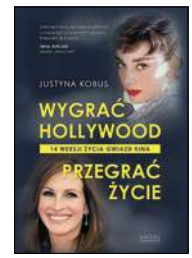

JUSTYNA KOBUS
„WYGRAĆ HOLLYWOOD, PRZEGRAĆ ŻYCIE"
ZYSK I S-KA

Ich małżeństwo dobiega końca, to zdążyli sobie powiedzieć. Potem on znika w dziwnych okolicznościach, a ona próbuje go odnaleźć. Zawieszona między prozą środka a thrillerem opowieść o tym, jak dalece potrafimy się sami oszukiwać.

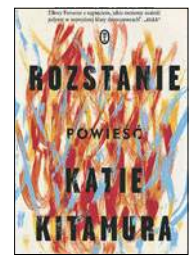

KATIE KITAMURA
„ROZSTANIE"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Od marzeń filozofów do snów dyktatorów. Niedoszłe projekty czasem zadziwiają, czasem bawią (tak jak koncepcja gigantycznego „Słonia Triumfalnego"). Szkoda, że zabrakło miejsca na obrotowy pałac z Leninem, wymarzony przez Stalina.

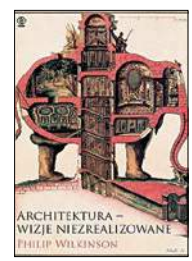

PHILIP WILKINSON
„ARCHITEKTURA – WIZJE NIEZREALIZOWANE"
REBIS

Wzorowy przykład atrakcyjnej polityki historycznej prowadzonej za pomocą popkultury. Trzyczęściowa komiksowa epopeja (edycja zbiorcza) o żydowskich żołnierzach walczących od Włoch do Palestyny o powstanie państwa Izrael.

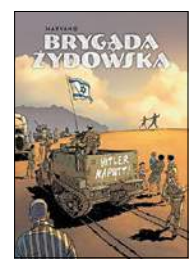

MARVANO
„BRYGADA ŻYDOWSKA"
EGMONT

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
2. ***Remigiusz Mróz „Kontratyp" (Czwarta Strona) – ósmy tom serii o komisarz Joannie Chyłce (wkrótce serial TVN, w roli głównej: Magdalena Cielecka).***
3. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.***
4. ***Anja Rubik „Sexed.pl" (W.A.B.) – modelka Anja Rubik „łamie tabu" w 18 rozmowach o seksie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.***
5. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***

(Najchętniej kupowane książki we wrześniu 2018 r. w księgarni internetowej TaniaKsiazka.pl)

eprasa.pl a64665f984

Muzyczna rekonstrukcja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie po to ludzkość wynalazła samochód, żeby przemieszczać się konnymi zaprzęgami; nie po to w domach stoją lodówki, żeby wpuszczać jedzenie do zimnej wody w studni; nie po to mamy w mieszkaniach WC, żeby... Nie po to wreszcie powstał wspaniale brzmiący fortepian, żeby nadal słuchać klawesynu. No, może nie do końca. Są wynalazki, które na dobre wyparły stare rozwiązania, ale w muzyce tak to nie działa. Chociaż pod koniec XVIII w. klawesyn prawie zupełnie został wyparty przez fortepian, to zbyt dużymi zgłoskami zapisał się w historii muzyki, by zniknąć zupełnie.

Klawesyn wciąż sprawdza się jako instrument tła, odzywający się czasem, nienarzucająco. Kiedy gra w pojedynkę – brzmi archaicznie, dla mnie na dłuższą metę denerwująco; nietrudno jest mi zatem zrozumieć, dlaczego ludzkość postawiła na fortepian. Dzieła takie jak album „Johannes de Lublin Tablature: Keyboard Music from Renaissance Poland" traktuję jako rekonstrukcję, którą trudno oceniać przez pryzmat współczesnych standardów i gustów.

Szczególnie wtedy, gdy światowej sławy szwajcarska klawesynistka Corina Marti odczytuje „Tabulaturę Jana z Lublina" – rękopis uznawany za najcenniejszy zabytek muzyczny XVI-wiecznej Polski. Powstająca przez ponad 10 lat (1537–1548) księga zawiera zapis ponad 230 utworów, ponad 250 przykładów muzycznych i dwie rozprawy teoretyczne. Corina Marti, będąc w Warszawie, natrafiła w jednej z księgarń na wydanie „tabulatury". – Zafascynowała mnie idea „polskiej" muzyki, choć repertuar w tym zbiorze okazał się bardzo międzynarodowy. Zaintrygowała mnie też nazwa „Lublin" w tytule – mówi artystka. W 2012 r. w bibliotece w Bazylei klawesynistka znalazła kopię tabulatury i zaczęła przegrywać zawarte w niej utwory. W 2015 r. zdecydowała o nagraniu całej płyty poświęconej Janowi z Lublina. – Ta muzyka, która jest wielkim skarbem, absolutnie mnie zachwyciła! – mówi artystka. W lipcu br. płyta trafiła na rynek. Corina Marti do tego skarbu podeszła z odpowiednim nabożeństwem, używając dokładnej repliki renesansowego klawesynu. Znakomita rekonstrukcja. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Za wcześnie, za mroczno

Po 23 latach mamy wznowienie debiutanckiego albumu warszawskiego Kobonga, którego pierwsze wydanie kosztuje dziś na Allegro 1000 zł. W 1995 r. recenzje były entuzjastyczne, tyle że publiczność nie podzieliła zachwytu krytyków.

Grupę założyli nieżyjący już Robert Sadowski (eks-Houk) oraz wokalista i basista Bogdan Kondracki (obecnie jeden z najbardziej wziętych producentów muzycznych). Grupa wpisywała się w światowy trend zespołów numetalowych, ale w odróżnieniu od krajowych epigonów kierunku stworzyła własne unikatowe brzmienie. To była metalowa ściana dźwięku oparta na jazgoczących riffach gitar Sadowskiego i Macieja Miechowicza oraz piorunującym basie Kondrackiego. Niewesołe teksty perkusisty Wojciecha Szymańskiego przydawały całości dodatkowego apokaliptycznego „uroku".

Zrekonstruowane przez Adama Toczkę nagrania brzmią fantastycznie, dzięki czemu płyta wciąż robi wrażenie, choć nie jest już tak nowatorska jak w momencie wydania. Dodatkowym bonusem jest krążek z zapisem niezłego koncertu w klubie Remont z 1994 r. Mimo wszystko to wciąż propozycja tylko dla obłąkanych. ©℗

★★★★★★

KOBONG
„KOBONG"
UNIVERSAL

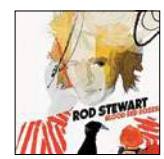

★★★★★★

ROD STEWART
„BLOOD RED ROSES"
REPUBLIC

Druga „osobista" płyta Roda oparta na jego autobiografii. Wokalista składa hołd zmarłemu przyjacielowi, rodzicom, dawnej grupie czy Miastu Grzechu – Las Vegas. Muzycznie przewidywalnie – od bluesa przez folk do disco. Za to głos wciąż wspaniały.

★★★★★★

THE EARS
„WIELKA PŁYTA"
THE EARS

Szczecinianie wspominają życie w mieście z wielkiej płyty. Poprockowe piosenki zostały niekonwencjonalnie zaaranżowane na zespół pseudojazzowy. Aktorka, Marta Uszko, szuka jeszcze własnego głosu, ale emocjonalnie jest zaangażowana. Rokują. ©℗

eprasa.pl a64665f984

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | RENATA **PRZEMYK** | IZABELA **TROJANOWSKA**
ŁUKASZ **DRAPAŁA** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI** | MAREK **PIEKARCZYK** | SŁAWOMIR **UNIATOWSKI**
JAKUB **WOCIAL** | MATEUSZ **ZIÓŁKO** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **ORKIESTRA SINFONIA VIVA** POD DYREKCJĄ JANA **STOKŁOSY**

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG LOTOS

PARTNERZY

Poczta Polska LOTTO Fundacja XX. Czartoryskich PZU FUNDACJA

PATRONAT MEDIALNY

wprost Do Rzeczy

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

eprasa.pl a64665f984

polemika DO RZECZY

Piotr Semka

Cieszę się, że mój „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru" przyczynił się do dyskusji i zakreślania ideowych linii granicznych

Zawsze trzeba coś wybierać

Czas skorzystać z przywileju podsumowania dyskusji. Dziękując Kamili Baranowskiej i Piotrowi Gockowi za ciekawe rozwinięcie moich tez – siłą rzeczy, z braku miejsca – skupię się na głosach moich polemistów.

Pierwszy odpowiedział mi na swojej stronie Klub Jagielloński, piórami Piotra Trudnowskiego i Krzysztofa Mazura. „Świat nie kręci się wokół Kaczyńskiego" – tak „jagiellończycy" nazwali swoją polemikę.

Słyszę to od wielu miesięcy. „Istnieje świat poza wojną Kaczyńskiego z Tuskiem". Takie opinie słyszałem już w 2010 r. Czy są trafne? Problem w tym, że są prawdziwe i nieprawdziwe zarazem. Prawdziwe, bo winny istnieć miejsca publicystyczne, gdzie można dyskutować o najlepszych rozwiązaniach dla Polski w oderwaniu od pola aktualnej walki dwóch największych obozów politycznych w Polsce. Nieprawdziwe, bo demonstracyjne ignorowanie tego sporu, sugerowanie, że jest on ustawką na użytek mediów i naiwnych wyborców, jest po prostu nieprawdziwe.

POŚCIG ZA NIEPRAWOMYŚLNYMI?

Omawiając naszą polemikę, Grzegorz Sroczyński w rozmowie z Krzysztofem Mazurem w Radiu TOK FM zasugerował, że mój tekst miał być „przywołaniem Klubu Jagiellońskiego do porządku". Wygodna formuła… Totalna bzdura, za pomocą której Sroczyński buduje analogie: „Mnie pokarało szefostwo Agory, a was prześladuje Semka. Taki już nasz los – nieprawomyślnych". Semka w roli pałkarza na zlecenie Nowogrodzkiej ścigający wolnomyślicieli.

Otóż nie. Trudnowski i Mazur nie mają racji, sprowadzając spór do krajowego podwórka. Wojna z PiS to nie jest jedynie wendeta Platformy, lecz także

eprasa.pl a64665f984

polemika DO RZECZY

KONSERWATYZM ZMIANY KONTRA KONSERWATYZM UMIARU OPINIE

Czy cudzymi rękami?

Polemika o konserwatyzmie w „Do Rzeczy":

- Piotr Semka „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru" – „DRz" 36/2018 z 3 września 2018 r.
- Łukasz Warzecha „Rewolucja w państwie" – „DRz" 38/2018 z 17 września 2018 r.
- Kamila Baranowska „Ludzie chcieli zmiany" – „DRz" 39/2018 z 24 września 2018 r.
- Stefan Sękowski „Mentalna samodzielność niepisowskiej prawicy" – „DRz" 40/2018 z 1 października 2018 r.

73

FOT. TRAX

spór, który wpisuje się w konflikt na skalę europejską. Element szerszego procesu, który od paru lat dzieli Amerykę i Unię Europejską.

Dobra zmiana spotyka się z taką samą kontrakcją jak polityka Trumpa czy rewolucja Orbána. Ten ostatni przykład warto podkreślić, bo część prawicowych publicystów, krytycznych wobec PiS długo stawiała lidera Fideszu jako elastycznego gracza w kontraście do nieporadnych PiS-owców. Czas pokazał, że niezdolność Komisji Europejskiej do zaakceptowania reform w Warszawie i Budapeszcie jest taka sama.

Obóz liberalno-lewicowy tak samo ostro walczy z sędzią Brettem Kavanaughem, jak bardzo nie zgadza się na zakończenie kadencji prezes Małgorzaty Gersdorf, choć w obu przypadkach używa różnych narzędzi. I tam, i tu gra toczy się o zachowanie przewagi zwolenników obozu liberalnego w sądownictwie jako gwarancji ciągłej polityki „postępu" i pozostawania u władzy jedynie lewicy na przemian z liberałami, niekiedy lekko konserwatywnymi. Niedawno „The New York Times" ogłosił, że istnieje grupa urzędników Białego Domu, która uważa, że ma prawo pilnować, by wybrany demokratycznie prezydent w jak najmniejszym stopniu był w stanie zmienić politykę USA. Ten list to bardzo szczera deklaracja – istnieje pewien liberalny ład i żadna wygrana wyborcza nie ma go prawa zmienić. Taki jest najprostszy sens deklaracji konspiratorów w Białym Domu. Oczywiście autorzy takich deklaracji tłumaczą swój rokosz sytuacją nadzwyczajną, patologiami psychiki Trumpa czy jego antydemokratycznymi skłonnościami. Jednak to tylko konwenans. „Liberalni konspiratorzy" szczerze uważają, że mają niepodlegające ograniczeniu kartki wyborczej prawo do pilnowania kierunku rozwoju polityki państwa. Jeśli wyborcy głosują zgodnie z ich poglądami, to dobrze. Jeśli jednak zadecydują o zmianie – to „mądrzy" winni najpierw próbować opanować sytuację protestami, a gdy to nie pomaga – odmówić lojalności „nieswojemu" państwu. To wywoływać musi reakcje państwa i zapewnia kontestatorom status ofiar reżimu. W warunkach europejskich zwolennicy opcji liberalno-lewicowej mają jeszcze łatwiej. Niemal w każdej sytuacji ich sojusznikami są organy Unii Europejskiej czerpiące zazwyczaj wiedzę z mediów. A strażnikami liberalnego euroładu są sędziowie, szefowie stowarzyszeń prawniczych, dziennikarze liberalnych mediów i aktywiści części NGO-sów.

Wszyscy oni uznają, że zmiany mogą iść tylko w jednym kierunku – progresywnym. Gdy ktoś chce cofnąć postępową logikę zmian – następuje polityczna wojna.

W swoim tekście napisałem zbyt ogólnikowo o zmianach, których nie przeprowadzono po wyjściu z PRL. Dało to okazję Łukaszowi Warzesze do publicystycznej kontry. „Teraz nie żyjemy w latach 90., ale kończymy trzecią dekadę III RP. Mamy państwo, które – czy to się komuś podoba, czy nie – okrzepło. Rewolucja kojarzy się zaś z brakiem namysłu, niesprawiedliwością, stosowaniem drastycznych i populistycznych podziałów, brakiem szacunku dla instytucji".

Problem w tym, że przez te trzy dekady powstało państwo zapewniające np. w sądownictwie dominację ludzi tylko z pewnego spektrum sceny politycznej. Premiowało to osoby z aparatu PRL, które docierały się z wyznawcami liberalizmu i lewicy z opozycji lat 80. Pod sztandarem „standardów europejskich". Tej dominacji nie da się zmniejszyć bez konfliktu. Wiara w to, że sędziowie dawnego SN siądą do stołu i zgodzą się na zmiany, była dość naiwna. A może nawet i poszliby na taki kompromis, gdyby nie politycy PO mówiący im od trzech lat: „Wytrzymajcie, a Bruksela was obroni".

Mój zarzut wobec konserwatystów umiaru brzmi: bardzo często nie chcecie zauważać uniwersalizmu tego konfliktu. Świat nie kręci się wokół lidera PiS, tak jak nie kreci się wokół Orbána, Salviniego czy nawet Trumpa – ale istota sporu jest we wszystkich tych przypadkach zaskakująco podobna.

KTO MA ŁATWIEJ?

Kolejna kwestia sporna. Ktoś, kto popiera logikę zmian, ten za każdym razem musi się tłumaczyć z każdego głupiego pomysłu ekipy PiS. Atakuje go każdy dziennikarz z lewej strony w radiowym czy telewizyjnym studiu.

Kto te zmiany odrzuca jako za mało prawicowe i zbyt powierzchowne, jest w dużo łatwiejszej sytuacji. Występuje w roli rzecznika konserwatyzmu jutra. Może kreować się na pierwszy zwiastun republikańskiej prawicy. Czegoś, co jeszcze nie powstawało, ale na pewno przyjdzie. Zwiastuna heglowskiej triady: Platforma – teza, PiS – antyteza, konserwatyści umiaru – synteza.

Oczywiście dystansowanie się od tego, co jest, bywa różne. Większe lub mniejsze. Autorzy Klubu Jagiellońskiego piszą np.: „Aleksander Hall nigdy nie był bohaterem z naszej bajki. Nasza ocena przemian dużo bliższa jest Kaczyńskiemu. My także uważamy, że brak mocnego odcięcia się od PRL był jednym z błędów założycielskich III RP. Więcej, ciągle bliska nam jest

eprasa.pl a64665f984

idea budowy IV RP, choć to pogląd dziś mało popularny także na prawicy. Droga do tego celu prowadzi przez zmianę obowiązujących dotąd reguł gry: wzmocnienie instytucji, stworzenie »mózgu państwa«, walkę z klientelizmem, większą transparentność życia publicznego, lepszą jakość procesu legislacyjnego, stworzenie mechanizmów dających obywatelom realną możliwość wpływania na decyzje państwowe, przeciwdziałanie pęknięciu na „dwa narody", podniesienie jakości administracji publicznej i dyplomacji".

Brzmi nieźle. Z wieloma tezami zgadzam się w pełni. Tylko jak działać przeciwko pęknięciu na dwa narody w warunkach tak ostrej konfrontacji? Owszem, nie dolewać oliwy do ognia. Owszem, ważyć słowa. Owszem, zawsze zadawać sobie pytanie, jak samemu by się reagowało, gdyby to polityczny adwersarz był u władzy i wprowadzał jakieś nowe przepisy. Jednak uznawać, że „spór toczy się o nic", mądre ani trafne nie jest.

Powtarzanie, jak powinna być robiona polityka, bez zastanawiania się, jak to praktycznie zrobić, i bez refleksji nad tym, czy po PiS nie przyjdą znacznie gorsi, nie jest oznaką realizmu

Refleksja nad sposobami wyjścia z ostrych podziałów narodów i państw (nie zawsze to to samo) przykuwa od wieków uwagę ludzi zatroskanych o dobro publiczne różnych krajów... Stare podziały zazwyczaj mogą unieważnić tylko dwie rzeczy. Albo nowy kataklizm (tak PRL pogodził piłsudczyków z endekami), albo politycy nowej generacji, którzy mają talent do łączenia ludzi ponad podziałami. W Niemczech taką rolę odegrał w latach 70. Helmut Schmidt z SPD, który zaimponował prawicy twardą ręką w zwalczaniu terroryzmu grupy Baader-Meinhof. Po prawej stronie był to Helmut Kohl z CDU, który wiedział, że trzeba zjednoczyć Niemcy za wszelką cenę. Schmidt wykasował spory z epoki Willy'ego Brandta, a Kohl wyprowadził chadecję ze sporów z lewicą z epoki Adenauera. Jednak tacy liderzy pojawiają się rzadko. W Polsce – jak dotąd – ich nie widać. A Komisja Europejska pod wodzą Junckera i Timmermansa nie łagodzi sporu.

ZAWSZE BĘDZIE TAK KOMFORTOWO?

Trudnowski i Mazur w swojej polemice piszą: „Jeśli mamy stosować Pana nomenklaturę, to możemy przekornie uznać, że to my jesteśmy Konserwatystami Zmiany. Do obozu Konserwatyzmu Umiaru zaliczylibyśmy z kolei tych licznych publicystów »obozu PiS«, którym zdają się nie przeszkadzać słabości III RP, bo od 2015 r. świetnie służą one »naszym«". O wiele ostrzej stawia sprawę Stefan Sękowski z „Nowej Konfederacji": „W dyskusji […] doszliśmy do miejsca, w którym należy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy spór między zwolennikami dobrej zmiany a jej »prawicowymi« krytykami jest w istocie sporem w rodzinie. I odpowiada: jedni i drudzy nie należą wcale do jednej rodziny".

No cóż. Głośne trzaśnięcie drzwiami. „Niczego od was nie chcemy, niczego nie potrzebujemy". Przypomnę jednak dość trywialne okoliczności. Snują Panowie marzenia o lepszej prawicy, gdy rządzi PiS, który nie dopuszcza do zmian obyczajowych i pełnego serwilizmu wobec możnych Unii. Jednak lewica i feministki już deklarują, że odsunięcie PiS od władzy trzeba wykorzystać do bardzo gwałtownego przesunięcia wajchy w sporach cywilizacyjnych. Może więc bardziej doceniajcie ten czas, gdy rządzi rozczarowujący (także i mnie) PiS. Potem może być znacznie więcej powodów do narzekań na wejście ideologii do życia politycznego.

Publicysta „Sieci" Piotr Skwieciński – człowiek daleki od ortodoksji w obozie dobrej zmiany – wgłębił się niedawno w tezy politologa Michała Strzeleckiego na łamach weekendowej „Gazety Wyborczej". Strzelecki – „młody gniewny" lewicowej politologii – głosi, że brak progresywnej ideologizacji szkół po 1989 r. doprowadził do klerykalizacji młodych i w rezultacie do dojścia do władzy PiS.

Skwieciński pisze: „Na ów przekaz chciałbym zwrócić uwagę nielicznemu, ale intelektualnie istotnemu gronu ludzi prawicy, którym z PiS-em nie po drodze. Nie po drodze z przyczyn, które rozumiem. Co więcej – w politycznej praktyce obecnych władz bywają rzeczy, które i mnie niepokoją. Czy jednak frondujący prawicowi intelektualiści uświadamiają sobie, że utrata władzy przez partię Kaczyńskiego oznaczałaby najprawdopodobniej poddanie Polaków wściekłej kampanii systematycznego prania mózgów, realizowanego z pozycji tymże intelektualistom wstrętnej? Można powiedzieć, że to szantaż moralny. Szantaż moralny można, oczywiście, odrzucać. Ale cechą dojrzałości powinno być zdawanie sobie sprawy z konsekwencji własnych decyzji".

POLITYKA JAK ROBIENIE KIEŁBASY

W swoim tekście porównałem różnice w kreowaniu polityki do pisania za pomocą dość wyrazistej metafory. Czym innym jest pisanie miłosnych wierszy, a czym innym „poderwanie dziewczyny". W odpowiedzi dowiedziałem się, że publicyści tacy jak ja mają najwidoczniej jakiś kompleks wobec polityków.

Nic z tych rzeczy. Po prostu zauważam problemy, przed jakimi stają liderzy partii, szczególnie przy tak ostrym poziomie konfliktu w Polsce i w Europie. Publicyści powinni robić swoje, a politycy swoje. Nigdy nie chciałem – ani na chwilę – zamienić się rolami z partyjnymi aparatczykami. Jednak powtarzanie, jak powinna być robiona polityka, bez zastanawiania się, jak to praktycznie zrobić, i bez refleksji nad tym, czy po PiS nie przyjdą znacznie gorsi, nie jest oznaką realizmu.

Nie życzę wam źle, koledzy z Klubu Jagiellońskiego i Nowej Konfederacji, ale kpiąc z plemion partyjnych żyjących w bańkach informacyjnych – niekiedy nie zauważacie, że wam też zdarza się zamykać w bańkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest podsumowaniem polemiki o konserwatyzmie. Dotychczas na łamach „Do Rzeczy":

- **Piotr Semka** „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru" – „DRz" 36/2018 z 3 września 2018 r.
- **Łukasz Warzecha** „Rewolucja a państwo" – „DRz" 38/2018 z 17 września 2018 r.
- **Kamila Baranowska** „Ludzie chcieli zmiany" – „DRz" 39/2018 z 24 września 2018 r.
- **Stefan Sękowski** „Mentalna samodzielność niepisowskiej prawicy" – „DRz" 40/2018 z 1 października 2018 r.
- **Piotr Gociek** „Wspólnym wysiłkiem czy cudzymi rękami?" – „DRz" 41/2018 z 8 października 2018 r.

eprasa.pl a64665f984

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wrażenia z podróży

Podróże jednak kształcą. Przynajmniej wtedy, gdy podróżuje się z właściwym człowiekiem. W krótkim wypadzie do Kazachstanu i Kirgistanu towarzyszył mi kolega objuczony brytyjskimi i amerykańskimi gazetami. O dziwo, ktoś jeszcze czyta drukowane dzienniki.

Ale też w tych anglojęzycznych gazetach nadal jest co czytać. Grubaśne, ciężkie, wielogrzbietowe. Dziesiątki stron druku, a z tego wiele naprawdę dopracowanych materiałów i stosunkowo mało pseudoinformacyjnych tekstów w rodzaju: ci są głupi, a ci są fajni.

W weekendowym wydaniu „Timesa" naszą uwagę przykuł duży artykuł o TripAdvisorze. Jeśli ktoś nie wie, to taka aplikacja, która podpowiada rozmaite atrakcje turystyczne oraz bary, hotele itp. Są one – teoretycznie – opisywane i recenzowane przez samych podróżujących, a zatem aplikacja owa wykorzystuje siłę dziennikarstwa obywatelskiego – tego, co to miało być solą i największą wartością Internetu. TripAdvisor to obecnie potęga – nie tylko przez swój ogromy zasięg, ale i finansowa. Wartość akcji tej firmy to ok. 9 mld dol.

Tymczasem z ustaleń dziennikarzy „Timesa" wynika, że 9 z każdych 10 recenzji opublikowanych na TripAdvisorze to teksty opłacone. Czyli zaledwie jeden tekścik na 10 przedstawia autentyczne wrażenia realnie istniejącego turysty. Cała reszta recenzji powstała natomiast na zamówienie. Warto o tym pamiętać na wakacjach, gdy będziemy decydować o tym, w której knajpie przepić ciężko zarobione pieniądze.

Co ciekawe, w ten sposób powstają nie tylko teksty zachwalające jakiś hotel czy restaurację. Ludzie z „Timesa" w ramach dziennikarskiego śledztwa rozkręcili własny biznes internetowy, polegający na preparowaniu i publikowaniu w sieci oszczerczych ataków na temat rozmaitych przybytków branży turystycznej. Okazało się, że mieli bardzo wielu klientów. Oraz dużą konkurencję.

Tekst z angielskiej gazety prowadzi nie tylko do wykasowania TripAdvisora ze smartfona (ja jakoś na szczęście nie ufałem nigdy tej aplikacji), lecz także do smutnych przemyśleń. Internet jest przestrzenią manipulacji nie tylko w sferze polityki, co zresztą stosunkowo najłatwiej przejrzeć i na co jesteśmy jakoś tam przygotowani. „Fake newsy", fejkowe opinie czy fejkowi autorzy mogą na nas czyhać w absolutnie każdym zakamarku Internetu, niezależnie od tego, czy oburzamy się fikcyjnymi wypowiedziami posła Tarczyńskiego, szukamy agencji towarzyskiej z Mulatkami, czy chcemy się dowiedzieć, jak działa na innych przepisany nam właśnie przez lekarza środek na nadciśnienie.

Cóż… Nie bez przyczyny słowem, które za sprawą Internetu zrobiło karierę, nie jest „dziennikarstwo obywatelskie", tylko „fejk". Grzęźniemy w fejkowym świecie, który – co najgorsze – coraz trudniej odróżnić od prawdziwego. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Siła manipulacji

Jedna z ciekawszych zagadek zawartych w „Nowym Testamencie" dotyczy psychologii tłumu. Jak to się stało, że lud Jerozolimy, mając możliwość wyboru miedzy ułaskawieniem ewidentnego złoczyńcy Barabasza a Jezusa z Nazaretu – o którym sam prokurator Piłat mówił, iż „Nie znajduje winy w tym człowieku" – przez aklamację wybrał Barabasza. Postępowanie kapłanów można zrozumieć – walczyli z konkurencją nowej wiary, dla Rzymian mógł się wydawać buntownikiem kwestionującym władzę cessarza, ale co kierowało ludem Jerozolimy?

To prawda – byli podzieleni. Nawet gdy w latach 60. wybuchło powstanie przeciw Rzymowi, cztery główne frakcje zaciekle walczyły ze sobą, nie zmienia to jednak faktu zdecydowania o śmierci niewinnego człowieka. Wytłumaczenie jest jedno – mieszkańcy Jerozolimy zostali zmanipulowani. Propaganda szeptana przedstawiła Jezusa jako tego, który zawiódł ich nadzieje, nie chciał stanąć na czele walki z Rzymem ani czynić cudów na żądanie.

Historia pełna jest czynów pozornie irracjonalnych, jeśli nie uwzględni się rozmaitych tajnych dźwigni czy ukrytych mechanizmów. Przejdźmy do nowszych czasów. Jakie poparcie powinna mieć partia, która dopuściła, że stołeczne miasto wydrenowano z 20 mld zł, a przy okazji skrzywdzono ok. 90 tys. ludzi, z których wielu zostało bez dachu nad głową? A przecież ciągle trzyma się mocno.

Czyżby jej konkurent był uznawany za „większe zło"? A może nikogo nie obchodzą lepsze zarządzanie, ambitniejsze perspektywy, więcej sprawiedliwości, tylko żeby było, tak jak było? Łaska ludu na pstrym koniu jeździ – swym ulubieńcom wznosi posągi, których postumenty służą potem często jako szafot. Nic się nie dzieje samo z siebie. Ludzie rzadko drobiazgowo kalkulują, ważą racje, wysłuchują argumentów „za" i „przeciw". Częściej kierują się emocjami, fobiami, nastrojem chwili. Wygrywa ten, kto potrafi na tym grać. Oczywiście lepiej, jeśli ten opowiada się po jasnej stronie mocy, a nie wspiera klakierów w interesie współczesnych Barabaszów. ©℗

eprasa.pl a64665f984

Z Bogdanem Rzońcą, posłem PiS, przewodniczącym Sejmowej Komisji Infrastruktury
rozmawia Łukasz Zboralski

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Robimy drogową rewolucję

ŁUKASZ ZBORALSKI: W ubiegłym tygodniu Komisja Infrastruktury zajęła się powoływanym przez rząd Funduszem Dróg Samorządowych, z którego mają płynąć pieniądze na drogi lokalne – do 2028 r. ma to być w sumie 36 mld zł. Taki fundusz jest potrzebny w Polsce?

BOGDAN RZOŃCA: To jest niezwykle potrzebne. Podkreślę, że Fundusz Dróg Samorządowych nie jest potrzebny wójtom, burmistrzom i starostom, tylko ludziom, którzy mieszkają przy złych drogach, chodzą do szkoły czy do pracy trasami bez chodników. To wszystko wpływa na samopoczucie tych ludzi, na jakość ich życia. Przecież w niektórych miejscowościach dzieci muszą chodzić do szkoły rowami!

Tę sytuację chcemy naprawić. Dlatego komisja przyjęła i pozytywnie zaopiniowała projekt ustawy tworzący Fundusz Dróg Samorządowych. Na najbliższym posiedzeniu Sejmu będę w imieniu komisji miał przyjemność powiedzieć, że wnosi ona o przyjęcie tej ustawy.

Do tej pory samorządy przecież też dostawały pieniądze na budowę i remonty dróg...

Tak, do tej pory samorządy składały wnioski o dofinansowanie tych zadań w różnych rozproszonych programach. No i do tej pory nie do końca to działało, ponieważ brakowało pieniędzy. Można powiedzieć, że średnio połowa wnioskujących samorządów nie dostawała środków. A jeśli ustawa o Funduszu Dróg Samorządowych zostanie przyjęta, to praktycznie wszystkie dobrze wypełnione i spełniające kryteria wnioski będą pozytywnie rozpatrywane, ponieważ tylko w przyszłym roku na drogi samorządowe będzie aż 6 mld zł!

Będziemy więc wychodzić z tej wstydliwej sytuacji, z powodu której na drogach lokalnych dochodzi do mnóstwa wypadków drogowych. Wiele z tych wypadków – w mojej opinii – jest spowodowana złym stanem drogi albo drogą wąską, bez chodników.

A to ma wymiar nie tylko ludzkich tragedii, lecz także finansowy. Przypomnę, że z szacunków wykonanych dla

eprasa.pl a64665f984

roku 2015 wynikało, że rocznie przez wypadki w Polsce tracimy jako kraj ok. 40 mld zł. To koszty leczenia ludzi po wypadkach, renty, rehabilitacje, śmiertelne wypadki i straty materialne, takie jak m.in. zniszczone samochody. Niestety pod względem bezpieczeństwa jesteśmy jeszcze w UE daleko od tych najlepszych krajów. Fundusz Dróg Samorządowych pomoże nam to zmienić, aby pomóc ludziom bezpieczniej docierać do celów. Dlatego jest tak potrzebny. To absolutna rewolucja i zaspokojenie podstawowych potrzeb, a nie – jak nam się zarzuca – element kampanii wyborczej. Trzeba ten nabrzmiały od lat problem zacząć po prostu rozwiązywać.

To dobrze, że będzie więcej pieniędzy na samorządowe drogi. A jeśli już pan dotknął tematu bezpieczeństwa, to pod tym względem szykuje nam się znów zły rok – wszystko wskazuje na to, że nie będzie żadnego postępu w ograniczaniu liczby wypadków, rannych i zabitych na drogach. Nie było żadnych ważnych decyzji, ta sfera została zaniedbana...

Statystyki są rzeczywiście niekorzystne, ale właśnie m.in. dlatego, że wójtowie, burmistrzowie i starostowie nie mieli pieniędzy na lokalne drogi. A taki chodnik przy drodze zwiększa bezpieczeństwo gigantycznie.

Zobaczymy, jak ten rok rzeczywiście się zakończy, ale dowodzi to jednego – nie wolno nam oszczędzać środków, które powinny być przeznaczane na bezpieczeństwo na polskich drogach. Musimy więc budować lepszą infrastrukturę, a do tego poprawiać świadomość ludzi m.in. poprzez dobre audycje, programy w mediach czy spoty pokazujące dramaty ludzi, ale i nieodpowiedzialne zachowania kierowców. Ostatnio na Słowacji polscy kierowcy skompromitowali nas publicznie, bawiąc się na drodze i doprowadzając do wypadku.

Trzeba też myśleć o dobrej diagnostyce pojazdów, czyli o tym, by samochody poruszające się po drogach były bezpieczne. Bywa przecież tak, że w jakichś warsztatach wciąż składa się jeden samochód z trzech innych...

No mamy nawet taką ustawę, która miała zakończyć fikcję przeglądów na stacjach diagnostycznych. I leży od prawie dwóch lat nieprzyjęta...

Z tego, co wiem, myślę, że jeszcze w tym roku rząd przedłoży ustawę poprawiającą kwestie stacji kontroli pojazdów. Ona m.in. wzmocni nadzór starostów nad stacjami. Nie da się wszystkiego zrobić naraz. Te sprawy są jednak przygotowywane, tak jak np. ustawa dotycząca transportu publicznego. Bardzo wielu Polaków jest dziś tego transportu pozbawionych, bo przewoźnikom się tam nie opłaca jeździć. Są w kraju ludzie wykluczeni komunikacyjnie. To trzeba zmienić. Chcemy, żeby koncesje na przewóz osób dostawali ci, którzy też zabezpieczą połączenia z miejscowościami, do których dziś transport nie dociera. To stanie się jeszcze w tej kadencji.

Często jednak pozostajemy w sferze propozycji. Będą środki na drogi dla samorządów – a nie wprowadzamy do prawa obowiązku budowania najbezpieczniejszych przejść dla pieszych. Resort infrastruktury publikuje jedynie dobre rady w tej kwestii.

Najlepsze byłyby bezkolizyjne skrzyżowania i takie przejścia, gdzie nie ma pojazdów, ale to niemożliwe. Więc z jednej strony trzeba budować świadomość pieszych, a z drugiej idziemy w tym kierunku, żeby zmuszać kierowców do wielkiej ostrożności. Nie zwalniamy pieszych z odpowiedzialności, ale musimy sprawić, by to kierowcy czuli się w tej sytuacji bardziej odpowiedzialni. Jest wiele do zrobienia w tej sprawie.

Każdy rząd obawia się zaostrzania kar na drogach. Dlaczego jednak nie korzystamy nawet z bardziej miękkich rozwiązań – takich jak powiązanie niektórych wykroczeń na drogach z OC czy wyznaczenie okresu, w którym kierowcy muszą używać opon zimowych?

Myślę, że każdy odpowiedzialny kierowca powinien zadbać przecież także o swoje własne bezpieczeństwo. To powinno być uregulowane – nie wiem, czy dojdziemy do tego przy okazji sprawy badań technicznych pojazdów, ale uważam, że kierowca powinien mieć w odpowiednim momencie informację, że opony należy zmienić. Dodam też jednak, że zdrowego rozsądku nic nie zastąpi. Uważam, że najlepsza jest promocja dobrych rozwiązań i zachowań.

Z dużych przedsięwzięć infrastrukturalnych jest jeszcze jedno drogowe – droga Via Carpatia. Dlaczego rząd tak mocno stawia na budowę tej trasy?

To bardzo potrzebna inwestycja. Pierwsza deklaracja łańcucka, którą zainicjował śp. prezydent Lech Kaczyński, była pomysłem genialnym. Jeszcze kilkanaście lat temu o tej koncepcji się mówiło, potem milczano. I od trzech lat polski rząd na różnych forach w Europie mówi o Via Carpatia i jest ogromne zainteresowanie tym projektem. Ta droga, umownie rzecz ujmując, prowadząca od Salonik w Grecji do Kłajpedy na Litwie, jest dziś w orbicie zainteresowania Turcji, która złożyła deklarację poparcia dla tej drogi. Interesują się tą trasą też kraje skandynawskie. Następuje przeorientowanie kanałów komunikacyjnych. Do tej pory budowano je w orientacji wschód-zachód, a teraz dzięki Via Carpatia mówimy o połączeniu północ-południe, czyli Bałkanów ze Skandynawią.

Dlatego budowa Via Carpatia, czyli jak mówi minister Adamczyk – „drogi życia" – naprawdę zasługuje na wielką troskę. I z tego, co słyszę i wiem, to w Unii Europejskiej dużo się o tej trasie dyskutuje. Kto wie, czy wcześniej, niż zakładaliśmy, nie uzyskamy dla tego projektu ważnego wsparcia. Europejska komisarz ds. transportu Violeta Bulc chętnie mówi o Via Carpatia. Jestem przekonany, że to świetny projekt.

A polski odcinek tej trasy od Barlinka na granicy ze Słowacją do granicy z Litwą będzie gotowy w 2025–2026 r. I my w Polsce mamy zapewnione finansowanie dla całej tej drogi. Rząd PiS właśnie dlatego zwiększył Krajowy Fundusz Drogowy.

Proszę zauważyć, że przy tym europejskim szlaku mieszka ok. 100 mln ludzi. To jest ważne, że północ i południe Europy mogą zacząć inaczej funkcjonować. A jeszcze Białoruś też jest zainteresowana i chce, by odnoga tej trasy prowadziła do granicy z tym krajem. Ukraina też chce być do tego szlaku podłączona.

Ten projekt da też jednocześnie szansę wschodniej Polsce, która przez wiele historycznych zaszłości jest regionem słabiej rozwiniętym. Siła robocza wciąż jest tam tańsza, mieszka wielu ludzi i miejsca do inwestycji jest mnóstwo. A najciekawiej będzie w Rzeszowie, bo na Podkarpaciu Via Carpatia przetnie się z autostradą A4, czyli będzie to jeden z kluczowych węzłów drogowych w Europie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bogdan Rzońca
– poseł PiS, przewodniczący Sejmowej Komisji Infrastruktury.

eprasa.pl a64665f984

SPISKOWCY

[PANEUROPEJSKIE PODZIEMIE REBELIANCKIE DOBY ROMANTYZMU]

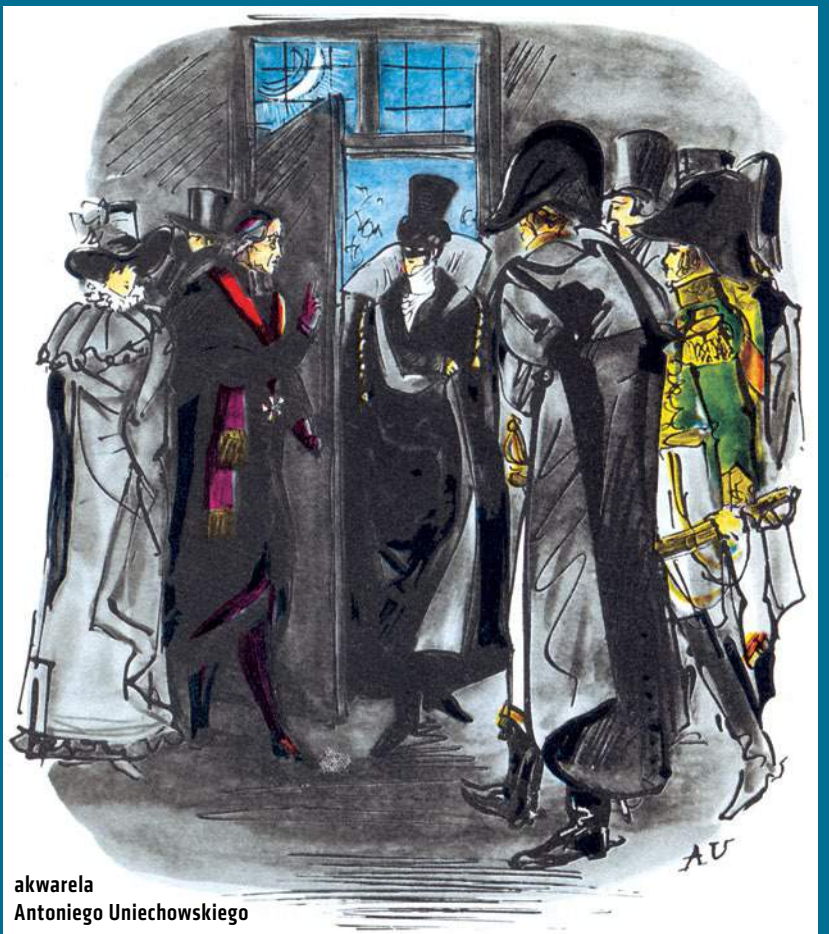

akwarela
Antoniego Uniechowskiego

James H. Billington: *„Karbonariusze byli pierwszą bojową konspiracją, która wznieciła szerokie rebelianckie wrzenie w nowożytnej Europie. Ich buntownicza, rewolucyjna działalność zostawiła po sobie niegasnącego ducha spisków, który pchał narody europejskie – Polaków, Włochów i in. – do zrywania kajdan siłą”* (2012).

eprasa.pl a64665f984

Waldemar Łysiak

Gdy tuż za progiem tego roku warszawska podstawówka im. Giuseppe Garibaldiego (bohatera narodowego Włoch, twórcy zjednoczenia Italii) oznajmiła, że zmienia patrona (na Jana Bytnara, *„Rudego"*, który był jej absolwentem) — całe Włochy się wściekły, włoski rząd i włoski ambasador *„wystosowali"* itd., słowem: stosunki polsko–włoskie stały się równie rozognione jak polsko–żydowskie w tym samym czasie. Notoryczny spiskowiec Garibaldi miał za młodu związki z tajnym sprzysię-

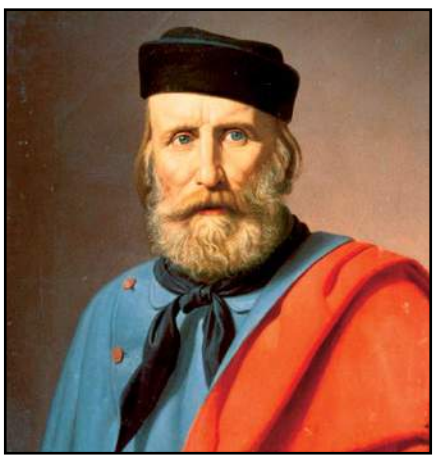

żeniem karbonariuszów, lecz jeśli to zbyt słaby pretekst dla eseju o węglarzach, dodam jeszcze dwie okrągłe rocznice:

Równo 200 lat temu, w październiku roku 1818, miały miejsce dwa wydarzenia zdawałoby się nie powiązane ze sobą i nie mające większego politycznego znaczenia, a jednak ściśle korelacyjne i wielce istotne dla ówczesnej Europy doby preRomantyzmu/Romantyzmu: paryscy radykalni studenci o orientacji karbonarskiej utworzyli na bazie rytów wolnomularskich konspiracyjne stowarzyszenie pod iluminacką nazwą „Przyjaciele Prawdy", zaś z Wielkopolski wyruszył ku Zachodowi pułkownik Onufry Radoński, pragnąc dołączyć do spisku karbonariuszy i wspomóc *„insurekcję węglarską"*. Już półtora roku później wybuchło tam (Neapol) pierwsze karbonarskie duże powstanie (Radoński wziął w nim udział i chciał sprowadzić legion rodaków), a następnie Europa zapłonęła buntami, których

Walczący karbonariusz (mal. E. Delacroix)

sprężynę stanowili karbonariusze alias węglarze. Nim przejdziemy do wstrząsów politycznych — zapoznajmy się z główną europejską organizacją spiskowo–terrorystyczną pierwszej połowy XIX wieku, przez kilka dekad spędzającą sen z oczu tajnym i jawnym policjom reżimów Świętego Przymierza:

KARBONARUSZE CZYLI WĘGLARZE

Nazwa wzięła się od włoskiego słowa *„carbonaro"* (węglarz), praktycznie zaś od włoskich wypalaczy węgla drzewnego (*„carbonari"*), którzy w swych leśnych szałasach udzielali schronienia politycznym zbiegom (francuscy spiskowcy tego nurtu również zwali go węglarsko: *„carbonarisme"* alias *„charbonnerie"*). Zanim jednak karbonariusze stali się *„bractwem leśnym"* (tak ich czasami zwano), byli bractwem górskim, we Włoszech bowiem chronili się w masywie Abruzzów, we Francji natomiast blisko granicy szwajcarskiej, w górach Jury. Przypisywano im czerpanie w tej mierze z dawnych tradycji szkockich (członkowie szkockich klanów uciekali podczas wojen do leśnych ostępów i parali się tam wypalaniem węgla) oraz austriackich (czmychający przed opresją habsburską kryli się wewnątrz górskich masywów Schwarzwaldu — Czarnego Lasu).

Zalążki tego spiskowego bractwa, które się później rozrosło setkami komórek tudzież wpływami na całą Europę, od Atlantyku do Uralu (vide rosyjscy dekabryści), powstały w Neapolu u schyłku XVIII wieku (1798), kiedy stacjonowali tam Francuzi dowodzeni przez generała Championneta (mieli to być wówczas *„lazzaroni"* — szumowiny miejskie nękające *„okupantów"*), lecz jako formacja poważniejsza dopiero u schyłku pierwszej dekady wieku XIX, czyli wówczas, gdy Neapolem rządził król Francuz, szwagier cesarza Napoleona, marszałek Joachim Murat. Murat nie wyczuł, że stowarzyszenie knuje przeciwko niemu, brał je za organizację szerzącą kulturę, darzył sympatią i nawet wspomagał, lecz kiedy się zorientował, że niektórzy członkowie utrzymują tajne związki z przeciwnikami Bonapartych, Burbonami — wszczął represje. I tak się zaczęło. *„Carbonari"* zeszli do podziemia, kryli się po lasach i górach, a jednocześnie pęcznieli (A.D. 1815 *„La Carbonaria"* miała we Włoszech 30 tys. członków, zaś pięć lat później grubo ponad pół miliona, niektórzy historycy mówią o milionie) i zmieniali cel walki, bo zrazili się do Burbonów (niżej rozwinę ten temat, w czwartym rozdziale). Pierwsze klęski (choćby rozstrzelanie Capobianco, ich pierwszego wodza) nie złamały ich. Również pierwsze sukcesy policji działającej według credo: *„Gdy zbiera się czterech spiskowców — dwaj z nich to nasi ludzie"* (prowokatorem wewnątrz okazał się były szef policji, Maghella) — nie zgruchotały im skrzydeł.

Murat w stroju monarszym (mal. F. Gérard)

eprasa.pl a64665f984

Nabór do tajnej organizacji nikogo nie dyskryminował, karbonariuszami stawali się prości rzemieślnicy i arystokraci, starczyło, że wyznawali te same idee wolnościowe. Burbon Ferdynand I, który przy wsparciu Austriaków despotycznie władał od roku 1815 Królestwem Obojga Sycylii (Sycylia i Neapol), tłumił te dążenia nie tylko z ultratyrańską brutalnością, lecz i z wielce pomysłowym sprytem, jego policja bowiem założyła (1816) swoisty *„szwadron śmierci"* — stowarzyszenie kotlarzy (*„calderari"*) zwalczające węglarzy. Efekt był jednak odwrotny od zamierzonego — im mocniej przykręcał śrubę Canosa (minister policji Ferdynanda), tym łatwiej szedł karbonariuszom werbunek: do konspiracji wstępowali ochotniczo przedstawiciele wszystkich klas, branż i grup społecznych, nawet artyści i księża. Robił się z tego podziemny ruch masowy, na dużą skalę, szybko pozawłoską, paneuropejską. Swoje wewnętrzne reguły zaczerpnął z wolnomularstwa (notabene: węglarstwo i wolnomularstwo przenikały się częściowo w niektórych krajach, zwłaszcza we Francji i zwłaszcza w pierwszym okresie, gdy *„La Carbonaria"* szukała oparcia ze strony już istniejących tajnych struktur i wypracowywała dopiero własne kierunki rozwoju).

KONSPIRACYJNA CEREMONIALNOŚĆ

Zaadaptowany przez węglarzy *„ryt masoński"* obejmował szereg wolnomularskich rytuałów, kodów (sekretna frazeologia), obrządków, przysiąg, stopni hierarchicznych (czyli stopni wtajemniczenia), itp. Przejęli od masońskich bractw system lożowy swoich struktur, chociaż nadali mu własną terminologię. Ich loże nazywały się: *„vendita"* (sklep, targ, jarmark), w skrócie: *„venta"*, ponieważ pierwotnie spotykali się dla kamuflażu pośród kupującej gawiedzi, udając klientów, wtapiając. Loża najwyższa, wodzowska, nosiła miano: Alta Vendita/Alta Venta. W przeciwieństwie jednak do wolnomularzy — węglarze bardziej dbali o sekretność swych związków, byli bowiem czynnymi spiskowcami–rewolucjonistami, musieli tedy stosować reguły gry prawdziwie konspiratorskie. Mowy nie było o gromadnych spotkaniach (ich pierwszy przywódca, Capobianco, wpadł dlatego, że jako namiętny mówca lubił się popisywać przed szerokim audytorium — to dało im lekcję konspiracyjnej intymności). Każdy węglarz znał tylko kilku–kilkunastu towarzyszy z własnej *„chałupy"* lub *„szałasu"* (*„baracca"*), czyli ze swojej lokalnej komórki węglarskiej (zespół komórek danej prowincji zwano *„Republiką"*; w Polsce, gdzie komórka zwała się *„porębą"*, zespół zwał się *„Rzecząpospolitą"*). Nazwiskami posługiwano się niechętnie — używano zwrotu: *„dobry kuzynie"* (polscy karbonariusze mówili do siebie: *„krewniaku"*). Podczas przyjmowania adeptów starsi *„dobrzy kuzyni"* (*„buoni cugini"* włoscy, *„bons cousins"* francuscy, *„buenos primos"* hiszpańscy, itd.) urządzali im przesłuchanie, zadając rytualne pytania, na które trzeba było udzielić rytualnej odpowiedzi:

— Jak się nazywasz?
— Emilio.
— Skąd pochodzisz?
— Z ciemności.
— Kto cię wyzwoli?
— Ogień.

Następnie odbierano od nowicjuszy potrójną przysięgę: ślepego posłuszeństwa, wiecznej tajemnicy i walki z tyranami. W kryptojęzyku karbonariuszy tyrani nosili miano *„wilków"*, czego źródłem były początki karbonariuszowskiej konspiracji, albowiem leśni węglarze, u których chroniły się pierwsze grupy spiskowców, wypędzali wilcze watahy poza las. Stąd główne hasło wszystkich węglarzy Europy brzmiało: *„Oczyścić las z wilków!"*. Każdy nowicjusz nosił przy sobie kawałek drewna, pałając nadzieją, że przemieni się on w *„węgiel wyższej rangi"* na czterostopniowej drabinie hierarchicznej od *„ucznia"* do *„wielkiego mistrza"*.

Markiz Lafayette (mal. J.-D. Court)

W początkach lat 20-ych wieku XIX centrum *„La Carbonarii"* zaczęło się przenosić z Włoch do Francji i europejską stolicą węglarstwa został Paryż, gdzie mason Dugied i saintsimonista Bazard uczynili sprzysiężenie bardzo sprężystym. Węglarstwo francuskie (któremu szefował markiz Lafayette, sławny rewolucjonista–antyjakobinista, weteran walk o niepodległość USA i były dowódca Gwardii Narodowej) uprościło rytuały inicjacyjne oraz ceremoniały karbonaryzmu, ułatwiając spiskowcom nabór. Przyjmowano całe rzesze radykałów (również sporo żaków i żołnierzy), grupując ich w dwudziestoosobowych *„ventach"* najniższego stopnia. Każda taka *„venta"* delegowała swego przedstawiciela

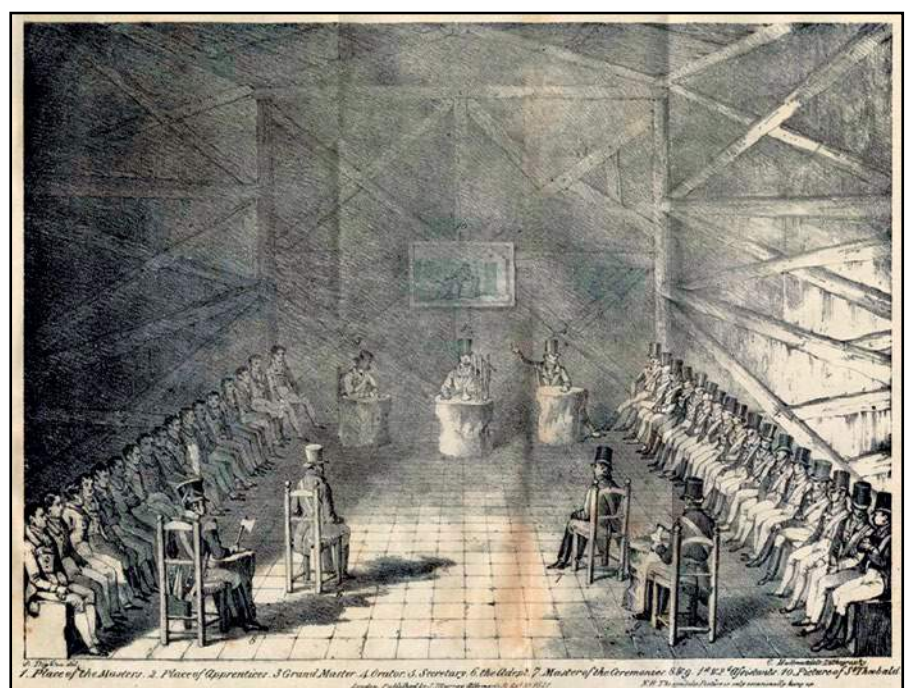

„Venta" czyli konspiracyjne zebranie karbonariuszy (angielski sztych z roku 1821)

eprasa.pl a64665f984

do *„venty centralnej”*, deputowani z *„vent centralnych”* gromadzili się w *„vencie wyższej”*, a wybrańcy *„vent wyższych”* w najwyższej (*„supreme”*). Ten czterostopniowy lożowy system miał wśród wojskowych karbonariuszy odpowiednik terminologiczny wzięty ze starożytności rzymskiej: *„centuria”*, *„manipuł”*, *„kohorta”*, *„legion”*. Nazwy *„vent”* były pompatyczne („Przyjaciele Prawdy”, „Zwycięska”, „Szczera”, „Sukces”, itp.), a na biurkach szefów *„vent”* (czyli *„mistrzów”*) zawsze stała drewniana miniatura drabiny (symbol wspinania się człowieka ku doskonałości) i leżały *„fasces”* (starorzymskie pęki rózeg symbolizujące karbonariuszom *„zjednoczenie członków czcigodnego zakonu”*).

Schadzka węglarskich przywódców (rys. A. Uniechowski)

WYPĘDZANIE WILKÓW Z LASU

Podczas węglarskich ceremonii inicjacyjnych, gdy karbonariusze witali się rytualnym gestem obu rąk (opuszczone pionowo ramiona i zaciśnięte pięści), głównym elementem retorycznym (formuły) i wizualnym (scenografia) był ogień. Dekorowano loże żółtymi płomieniami, a Wielki Mistrz, rozpoczynając posiedzenie, siedem razy uderzał toporem w *„płonące”* (pomalowane żółtymi płomieniami) drzewo. Ten ogień symbolizował walkę rewolucyjną przeciwko zastanemu porządkowi świata. Więc chociaż — jak pisze James H. Billington (**„Płonące umysły. Źródła wiary rewolucyjnej”**, 2012) — *„tajność stanowiła istotę życia karbonariuszy”* (tak silną, że według niektórych badaczy karbonaryzm był kolebką mafii sycylijskiej), czasami musiano się ujawniać w stu procentach, wychodząc na ulicę lub na pole z karabinem i z węglarskim trójkolorowym (czarno–czerwono–niebieskim) sztandarem do otwartego boju. Cele tej walki bywały różne:

Generalnie *„La Carbonaria”*/*„La Charbonnerie”* to byli radykałowie żądający antydespotycznej demokracji, wolności, konstytucji, parlamentaryzmu, słowem republikanizmu zamiast monarchizmu, zwłaszcza satrapicznego. Cała ta ich *„antyreakcyjność”* przyniosła im później w rozmaitych encyklopedycznych definicjach miano lewicowców, jednak problem ten jest złożony, przynajmniej dlatego, że zrazu węglarstwo było stowarzyszeniem chrześcijańskim, demonstrując silny klerykalizm swymi rytuałami i symboliką. Jedno z głównych karbonarskich haseł brzmiało: *„Zemsta Jagnięcia uciskanego* [vel duszonego] *przez Wilka”*, przy czym Jagnię symbolizowało tu Chrystusa, a ryty inicjacyjne węglarzy posługiwały się m.in. koroną cierniową Chrystusa (podczas awansu na drugi stopień wtajemniczenia) tudzież symboliką Golgoty oraz drogi Jezusa między Herodem, Piłatem i Kajfaszem. Czwarty stopień wtajemniczenia (pasowanie na Wielkiego Mistrza) obejmował m.in. przytroczenie do krzyża i stygmatyzację Chrystusową. Prawda wygląda tak, że już od 1816 roku część węglarzy radykalizowała się coraz bardziej lewicowo, według modelu *„od klerykalizmu do radykalizmu”* (nawet skrajnego, postjakobińskiego, o czym świadczy rola, jaką grał przez pewien czas we francuskim węglarstwie głośny wówczas potomek Michała Anioła, geniusza Renesansu — Filippo Michele Buonarroti, twardy jakobin, propagator *„komunizmu utopijnego”*), a część bazowała dalej na chrześcijańskich wartościach. Ten drugi odłam był mniejszy, zaś ten pierwszy był różnorodny, miał wiele odcieni pomiędzy ekstremalnymi lewakami a zwolennikami *„liberalnego konstytucjonalizmu”*.

Pierwsze zbrojne wystąpienie rewolucyjne węglarzy — atak karbonariusza Maceraty i jego ludzi na włości Państwa Kościelnego (25 lipca 1817) — było właściwie ruchawką a nie insurekcją i zostało błyskawicznie stłumione. Dużo silniejsze powstanie wzniecili trzy lata później (2 lipca 1820) w Neapolu pod dowództwem Guglielmo Pepego, nie bez ciężkich ofiar (800 buntowników rozstrzelano), ale i nie bez sukcesu, gdyż zmusili króla Ferdynanda do nadania krajowi liberalnej konstytucji. Tego samego roku rozpętali

Przysięga karbonariusza wcielanego do konspiracji węglarskiej (sztych z epoki)

eprasa.pl a64665f984

potężną rewoltę karbonariusze hiszpańscy (trwała trzy lata: 1820–1823). Kolejne powstania węglarskie eksplodowały na terenie Piemontu (1821), Królestwa Obojga Sycylii (1828), Państwa Kościelnego (1829), wreszcie Modeny i Parmy (1831). Tłumione były przy pomocy austriackich wojsk, zaś papieże (Pius VII 1821, Leon XII 1825) okładali anatemami węglarstwo. Te klątwy nie przeszkodziły karbonariuszom w przygotowaniu Rewolucji Belgijskiej nad Skaldą i Mozą (1830), Rewolucji Lipcowej nad Sekwaną (1830), a nad Wisłą Powstania Listopadowego (takoż 1830). Również bunt rosyjskich dekabrystów (1825) miał ewidentne inspiracje węglarskie. Billington: *„Młodzi Rosjanie byli bliscy karbonariuszom"*; Leon Baumgarten: *„Paweł Pestel nadał ich związkowi strukturę organizacyjną wzorowaną na włoskich stowarzyszeniach karbonariuszy i nakreślił rewolucyjny plan o radykalnym charakterze"* (1952). Nie tylko włoskich — specjalna carska komisja śledcza ustaliła (1826), że dekabryści oparli swą organizację na strukturze pięciu *„ventes"* francuskich karbonariuszy. Uwięziony dekabrysta Jakubowicz napisał z celi do cara Mikołaja I: *„Karbonariusze i w ogóle wszyscy rozgoryczeni nie biorą się z niczego, tylko z niesprawiedliwości i ucisku władz"*.

OD ANTYBONAPARTYZMU DO BONAPARTYZMU

Młodzież karbonariuszowska, stanowiąca ciągle, rok po roku, główną siłę tej konspiracji, jej zawadiacki motor, ewoluowała od antybonapartyzmu do bonapartyzmu. Neapol, pierwotna kolebka węglarstwa, stanowi tu symptomatyczny przykład. Napoleończyk Murat, rządzący Neapolem i Sycylią, rozzłościł węglarzy, dlatego poparli jego wroga, Burbona Ferdynanda, ale ten, dorwawszy się do tronu, okazał się despotą, przy którym napoleonidzi byli liberałami. Znaczącą rolę odegrało też legendarne *„Sto Dni"* Bonapartego, kiedy to cesarz (po ucieczce z Elby i kolejnym przejęciu władzy nad Francją przy aplauzie tłumów rozradowanych wypędzeniem Burbona Ludwika XVIII) wszczął szeroko zakrojone reformy w duchu *„liberalnego konstytucjonalizmu"*, mającego rzesze fanów wśród węglarstwa. Waterloo przerwało ten proces, a wiedeński kongres mocarstw ustanowił (1815) reakcyjną Europę tzw. Świętego Przymierza, czyli paneuropejski zamordyzm. Byron, bóg Romantyzmu, określił tę Europę jako *„martwą glebę, kupę gnoju tyranii"*. Dokładnie to samo zdanie miała *„La Carbonaria"*.

Kolejne rewolucyjne pokolenia węglarzy kształtował właśnie Romantyzm, dla którego Napoleon był półbogiem. Wszyscy wielcy poeci romantyczni, od Byrona, Mickiewicza i Słowackiego, po Puszkina, Goethego i Petöfiego, uwielbiali cesarza. Byron szeptał o nim czule: *„mój bohater"*, Goethe wzdychał: *„mój cesarz"*, Puszkin wołał: *„chwała mu!"*. Również wielcy prozaicy ery Romantyzmu klęczeli przed Napoleonem. Stendhal, całe lata związany z karbonariuszami tak blisko, że policja austriacka ścigała go bez ustanku (w 1821 Austriacy chcieli go powiesić za węglarstwo), wyznał u schyłku życia: *„Jedynym człowiekiem, jakiego szanowałem, był Napoleon"*. Balzac zawsze twierdził, że cesarz to *„człowiek, który był najpiękniejszą władzą jaką znamy"*. Później, w XX wieku, znakomity pisarz amerykański, John Updike, powie: *„Cały ów prąd musiał czekać aż zjawi się promieniująca osobowość Napoleona i zawładnie ludzką wyobraźnią"* (1997).

Wyobraźnią karbonariuszy odczuwających rewolucyjną gorączkę zawładnęła zwłaszcza legenda młodego Napoleona, gdy jeszcze nie był cesarzem, lecz bohaterskim generałem Republiki Francuskiej, gromiącym Austriaków na włoskim teatrze wojny. Bitwa pod Marengo (genialny manewr Korsykanina) przyprawiała ich o radosne drżenie, a obraz Grosa **„Bonaparte na moście pod Arcole"** (1797), ukazujący generała osobiście prowadzącego szturm przeciwko działom austriackim ze sztandarem w ręku — stał się ikoną młodzieży węglarskiej. Jako cesarz też pasował do ich ideologii, promował bowiem równość wszystkich ludzi, także nędzarzy, wobec prawa (Andrzej Kijowski: *„Prosty lud pojął, że dzięki obecności Cesarza jest innym ludem. Miał go potem za to nie kochać?"*). Billington: *„Światopogląd romantyczny został ukształtowany przez czar Napoleona, a także przez poczucie więzi wśród buntowniczych stowarzyszeń pokroju karbonariuszy. Cesarz, który obudził ich wielkie nadzieje, zwłaszcza podczas końcówki swych rządów, stał się idolem tego pokolenia, tych młodych studentów, rzemieślników, prawników, urzędników i żołnierzy, którzy nie zaakceptowali restauracji Burbonów (...) Napoleon nie był dla nich typem ojca, raczej kimś w rodzaju idealizowanego starszego brata, nawołującego do zwalczania władzy patriarchalnej"* (2012).

„Bonaparte na moście pod Arcole" (mal. A.-J. Gros, 1797)

Walczyli przez piętnaście lat od chwili upadku cesarza (1815–1830), wzniecając po całej Europie — od Grecji do Hiszpanii — liczne bunty, z których jedynie francuski Lipiec 1830 przyniósł iluzoryczny zysk, tylko na chwilę zresztą. Przed śmiercią Napoleona pragnęli go uwolnić i przywrócić mu koronę, a gdy zmarł (1821) — walczyli o intronizację jego syna, księcia Reichstadtu, jako Napoleona II. Główną rebelię zmierzającą do tego wzniecił baron Berton, generał–bonapartysta, roku 1822, zdobywając z krzyczącymi: *„ — Niech żyje Napoleon II!"* karbonariuszami („Kawalerami Wolności") miasta Thouars i Saumur, lecz zostało to krwawo zduszone przez władze (Bertona zgilotynowano). Po roku 1830 bilans wynosił zero — wszędzie klęska — co Alfred de Musset tak skomentował swą sławną **„Spowiedzią dziecięcia wieku"** (1836): *„Wtedy na ruinach świata siadła zatroskana młodzież. Wszystkie te dzieci, które przez piętnaście lat marzyły po Napoleońsku, ogarnęły teraz myślą świat. Widziały ziemię i niebo, ulice i drogi — wszystko było puste..."*.

POLSKIE WĘGLARSTWO

Pierwsze lata czwartej dekady wieku XIX to ostatnie podrygi karbonariuszy — ich *„łabędzi śpiew"*. Buonarroti reformuje tę konspirację, tworząc (1832) Demokratyczne Węglarstwo Powszechne kierowane przez paryski Najwyższy Namiot, i planuje *„rewolucję powszechną"* na rok 1833 (bez skutku), a w kolejnym roku (1834) włoski *„weteran zakonu karbonarów"*, prawnik i publicysta Giuseppe Mazzini (przesiedział za węglarstwo trochę czasu w habsburskim więzieniu) szturmuje militarnie Sabaudię i szwaj-

eprasa.pl a64665f984

Alfred Rethel, „Śmierć na barykadzie rebeliantów" (sztych z pierwszej poł. XIX wieku)

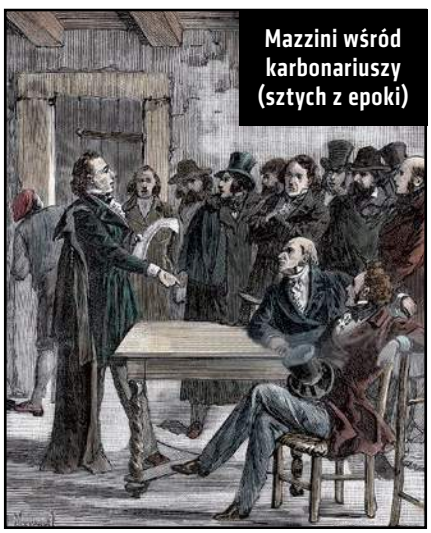

Mazzini wśród karbonariuszy (sztych z epoki)

Filippo Buonarroti (sztych z epoki)

carskie miasto Savoy, bez powodzenia. Obaj byli otoczeni Polakami. Ekspedycję sabaudzką Mazziniego wspierał m.in. głośny nasz *„wichrzyciel"* Szymon Konarski z grupką kompanów (wszyscy byli uczestnikami Powstania Listopadowego), a Buonarroti wysyłał emisariuszy do Polski już w 1822 roku. Przyjrzyjmy się tedy polskim węglarzom:

Szymon Konarski (sztych z epoki)

Pierwsze wzmianki o polskich karbonariuszach pochodzą z roku 1815, czyli roku Waterloo. Dzięki notatkom barona Mouniera, dyrektora francuskiej policji za Restauracji, wiemy, że podczas tajnego zjazdu *„karbonarskich emisariuszów"* w Londynie A.D. 1815 Polskę reprezentował *„Stanislaski"* (Stanisławski), zaś Litwę *„pułkownik Ellen"*. Wybitny historyk–napoleonista Szymon Askenazy przypuszcza (1908), że uczestnikiem tego zjazdu był też Wołyniak Jerzy Zenowicz, notoryczny konspirator, oficer napoleoński, szałaputa i bufon (*„Nader ruchliwy emigrant, maczający palce w najrozmaitszych na Zachodzie robotach spiskowych, człowiek niepewny, co najmniej gaduła i wartogłów"*). Nikt inny, tylko właśnie oficerowie napoleońscy przynieśli do Polski idee oraz zarodki węglarstwa gdy padło imperium Bonapartego.

Pierwsze studenckie związki konspiracyjne o charakterze lożowym (masonopochodnym) rodziły się wśród Polaków tuż za progiem Królestwa Kongresowego, exemplum stowarzyszenie Panta Koine (1816), czy grupy wileńskie (Filomaci, Filareci, Promieniści), wreszcie warszawskie, ewidentnie węglarskie sprzysiężenie Wolni Polacy alias Związek Wolnych Polaków (1820). Rok 1820 był znaczący wskutek wielu względów. Wincenty Niemojowski przetłumaczył wówczas z francuskiego **„Katechizm węglarzy włoskich"**, dodając wstęp o trzech wilkach, które rozszarpały węglarzowi Matkę, co odczytywano jako aluzję do trzech zaborców, którzy podzielili Rzeczpospolitą. Notabene przysięga stricte węglarskiego Towarzystwa Patriotycznego (TP), które Walerian Łukasiński założył (1821) gdy gen. Umiński i płk Prądzyński zmusili go (1820) do rozwiązania Wolnomularstwa Narodowego, mówiła o tej samej *„Matce"*: *„Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny, i ręczę słowem honoru, że użyję wszelkich sił moich dla wskrzeszenia mojej nieszczęśliwej lecz lubej Matki, że poświęcę dla Jej wolności i niepodległości nie tylko mój majątek, ale nawet życie"*. Również w roku 1820 sąsiad i powinowaty Niemojowskiego, były napoleończyk Onufry Radoński (za Księstwa Warszawskiego major *„złotych huzarów"*), przybył do Neapolu i walczył tam dzielnie u boku karbonariuszy (powstanie 1820–1821), planując ściągnięcie dla wsparcia neapolitańskiej insurekcji kilku tysięcy polskich legionistów dowodzonych przez generała Chłopickiego.

Węglarze wzięli udział w licznych drobnych konspiracjach, które przygotowały grunt pod Powstanie Listopadowe, a gdy ono upadło — mrowie uciekinierów stworzyło Wielką Emigrację francuską, z dwoma silnymi, liczącymi łącznie około 400 członków, ogniskami węglarskimi: paryskim i besançońskim (to drugie organizowało Hufiec Święty do dalszych walk). Czołowy emigracyjny karbonariusz, Tadeusz Krępowiecki, szalony awanturnik i lewak (zresztą karbonarski weteran, uprawiający węglarstwo już kilkanaście lat wcześniej), otrzymał od centralnego francuskiego kierownictwa węglarzy polecenie zorganizowania

eprasa.pl a64665f984

Namiotu Narodowego Polski, co też uczynił w styczniu 1833 roku i stanął na jego czele. Ale bez większych skutków praktycznych, bo lata 30–e wieku XIX były już schyłkiem każdego — i zachodniego, i polskiego — węglarstwa.

OSTATNIE PODRYGI

Co do czwartej dekady XIX stulecia piszący o węglarzach historycy rodzimi nie są zgodni. Przedwojenni, jak Marian Kukiel czy Edward Chwalewik, mówią o szerokiej działalności karbonarów (o licznych *„wentach"* w Kaliszu, Sieradzu, Wilnie, itd.), powojennym zdarza się (vide Władysław Zalewski) kwestionować to. Prawda tu akurat leży pośrodku. Chwalewik zresztą przyznaje, że trochę wcześniej — w trzeciej dekadzie — było dużo lepiej, bo oparte na radykalnych wzorach węglarskich Towarzystwo Patriotyczne mocno rozwinęło skrzydła: *„Dziesięciu członków tworzyło gminę, gminy łączyły się w obwód, a obwody w prowincję. Porozumiewali się ze sobą tylko naczelnicy, czyli mistrzowie gmin, obwodów i prowincji. Prowincji było 7: wojsko, Królestwo Kongresowe, Poznańskie z Kaliskiem, Litwa, Wołyń, Rzplita Krakowska i Galicja. W 1827 na samej Litwie i Rusi liczono 5 tys. gmin węglarskich z Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, lecz nagłe areszty położyły temu kres, wywołując popłoch wśród polskich karbonariuszów. Prowincjonalne gminy jednak ocalały i stały się kadrami dla powstania roku 1830"* (1903).

Józef Zaliwski (sztych z epoki)

Lekarze i biolodzy wiedzą, że każdy organizm doznaje tuż przed śmiercią krótkiego gwałtownego wzmożenia. Dla polskiego węglarstwa to były lata 1833–1834. W marcu 1833 roku karbonariusz Józef Zaliwski (weteran Powstania Listopadowego, członek TP, organizator konspiracji „Zemsta Ludu") zaatakował ze swym oddziałem partyzanckim Królestwo Kongresowe, lecz Rosjanie szybko (już po miesiącu) wypchnęli do Galicji tych węglarskich harcowników. Tam właśnie towarzysz Zaliwskiego, oficer Karol Borkowski, założył Związek Węglarzy Polskich o umiarkowanym programie społecznym (tworzył wszędzie gdzie mógł komórki zwane „Przyjaciółmi Ludu") i radykalnym politycznym (planował wielką insurekcję narodowowyzwoleńczą, mającą wybuchnąć jednocześnie w trzech zaborach), ale już następnego roku (1834) cała ta akcja została spacyfikowana aresztowaniami. Podobnie kończyły wówczas

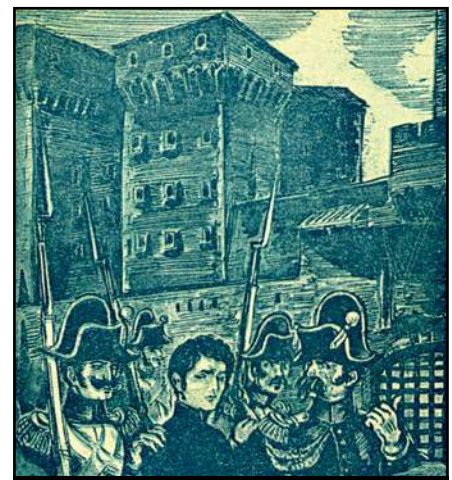

Aresztowanie karbonariusza (rys. A. Uniechowski)

sprzysiężenia węglarskie we wszystkich *„prowincjach"* (lwowskiej i in.), czyli dokładnie według formuły indagacyjnej, jaką Borkowski aplikował wstępującym do jego sprzysiężenia nowicjuszom: *„ — Pamiętaj, że my są karbonary, ludzie wyklęci za pracę dla naszej ojczyzny i dla dobra ludu, skazani za to na miecz, kopalnię i szubienicę!"*.

* * * * *

W piątej dekadzie XIX wieku prawdziwe (radykalne, bojowe) węglarstwo już niknęło, jakby odchodząc za zgasłym Romantyzmem. Epigonami byli utopijni lewacy (komuniści, socjaliści, itp.), których dziełem stała się buntownicza europejska Wiosna Ludów roku 1848. Po latach karbonariusz Franciszek Wiesiołowski wspominał z nostalgią: *„Jakikolwiek sąd nas spotka w historii, jakkolwiek skutek działań naszych ówczesnych, działań — przyznać należy — niedojrzałych i niewytrawnych, nie odpowiedział oczekiwaniu, jedno cośmy osiągnęli i czego nikt nam, karbonariuszom polskim, wydrzeć nie zdoła, jest to, że miłość ojczyzny, dotąd zawartą wyłącznie w stanie szlacheckim, rozszerzyliśmy na inne oświecone klasy narodu"* (1861). Przez co rozumiał tworzącą się już (z oficerów, artystów, biuralistów, itd.) klasę inteligencji. ©℗

Aresztowana grupa karbonariuszy prowadzonych do więzienia (włoski malunek z XIX w.)

eprasa.pl a64665f984

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Potęga unii

Wreszcie! Znakomity, poczytny brytyjski historyk napisał rzetelną i wciągającą monografię unii polsko-litewskiej. Jest to o tyle ważne, że do tej pory anglosaski świat naukowy traktował dzieje Rzeczypospolitej Obojga Narodów po macoszemu. Pisząc wprost – niewiele go one obchodziły. Był to dla brytyjskich i amerykańskich badaczy temat egzotyczny.

Anglosaskie spojrzenie na unię w dużej mierze ukształtowały narracje wrogie temu wielkiemu projektowi – czyli niemiecka i rosyjska. Związek Korony i Litwy przedstawiały one jako archaiczny, dziwaczny twór rodem z mroków średniowiecza. Jako chorego człowieka Europy, który musiał zniknąć z mapy.

W zachodniej literaturze często można było również przeczytać, że Unia była przejawem „polskiego imperializmu". Narzędziem do narzucenia polskiej hegemonii narodom Europy Wschodniej.

Profesor Robert Frost obala te mity. Dowodzi, że unia była niezwykle trwałym, stabilnym tworem, który – mimo rozmaitych wewnętrznych napięć – przetrwał kilkaset lat. Nie miała również nic wspólnego z „polskim imperializmem". „Inne narodowości – pisze Frost – zamieszkujące państwo polsko-litewskie odegrały równie wielką rolę w ukształtowaniu się unii jak Polacy".

Największą zaletą książki Frosta są jej obiektywizm i bezstronność. Jak wiadomo, w XX w. na ziemiach stanowiących niegdyś wielonarodową Rzeczpospolitą powstały małe, nacjonalistyczne państwa plemienne – Litwa, Polska, Białoruś i Ukraina. Historycy z tych krajów toczą ze sobą namiętne spory i piszą historię unii ze swojej perspektywy. Brytyjski badacz – co oczywiste – jest podobnej przywary pozbawiony.

„Pisanie historii czyjegoś kraju jest zawsze zniechęcającym zadaniem dla cudzoziemca – pisze Frost. – Czasami historyk może się poczuć jak człowiek, który na przyjęciu miesza się do kłótni dwóch innych gości tylko po to, aby usłyszeć, że powinien pilnować własnego nosa. Ta książka została napisana przez kogoś, kto nie zamierzał pilnować własnego nosa".

Całe szczęście! ©℗

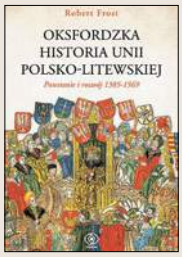

★★★★★★

ROBERT FROST
„OKSFORDZKA HISTORIA UNII POLSKO-LITEWSKIEJ. POWSTANIE I ROZWÓJ 1385–1569"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Maluch – duma PRL

Socjalistyczna gospodarka była kompletnie niewydolna, zatem podstawowym problemem nie był brak pieniędzy, ale niedobory towarów na rynku. W efekcie rozwinął się system przedpłat, talonów czy wręcz losowań, który miał umożliwić zakup deficytowych produktów. Przy okazji propagowano też w specyficzny sposób ekologię, w latach 80. można było nabyć radzieckie golarki marki Charków (fatalnej zresztą jakości) wyłącznie po przedstawieniu zaświadczenia o oddaniu określonej ilości makulatury w punkcie skupu. Jeszcze ciekawiej było z samochodami osobowymi rodzimej produkcji, których zakup graniczył z prawdziwym cudem. Aby stać się dumnym posiadaczem małego fiata czy znacznie bardziej prestiżowego fiata 125p, ewentualnie poloneza, należało nie tylko oszczędzać pieniądze na tzw. książeczce samochodowej, lecz także czekać na wyniki losowań.

15 X 1981 r. z taśm montażowych zjechał milionowy egzemplarz malucha

Szczęśliwcy, których książeczki zostały wylosowane, musieli pilnie uzupełnić wkład na samochód (z reguły kompletnie się zapożyczając u rodziny i znajomych), po czym mogli opuścić fabrykę wymarzonym pojazdem. Inną drogą zdobycia upragnionego auta był system talonów. Przydzielały je poszczególne ministerstwa, co uprawniało do zakupu samochodu poza kolejnością po jego detalicznej cenie. Oczywiście otrzymywali je w pierwszej kolejności krewni, znajomi i ulubieńcy poszczególnych prominentów, a także znani aktorzy, piłkarze (z reguły początkujący) czy też wyróżniający się pracownicy.

Chociaż samochód był bardzo ciasny, hałaśliwy i awaryjny, to zmotoryzował jednak Polskę. A jego posiadacze nie ograniczali się do krajowych dróg. Niebawem maluchy na polskich numerach można było spotkać na szosach Europy. Inna sprawa, że rodzinny wyjazd na wczasy trudno uznać za komfortowy, jeden z moich znajomych do dzisiaj wspomina ze zgrozą wyjazd fiatem 126p z rodzicami i bratem na wczasy do Bułgarii…

Popyt był tak ogromny, że osiem lat po rozpoczęciu produkcji (15 X 1981 r.) z taśm montażowych zjechał milionowy egzemplarz malucha. Wciąż nie było go jednak w wolnej sprzedaży i używany, trzy–czteroletni pojazd był na giełdzie samochodowej znacznie droższy niż całkiem nowy z fabryki.

W tej sytuacji szczęśliwiec, który załatwił sobie talon, czym prędzej sprzedawał poprzednie auto i często zostawały mu jeszcze pieniądze na kolorowy telewizor. Oczywiście sowieckiej produkcji, o wyblakłych kolorach, emitujący wysokie promieniowanie i wyposażony w kineskop grożący eksplozją nawet przy wyłączonym odbiorniku… ©℗

eprasa.pl a64665f984

Paweł Witaszek

Profesor Norman Davies historię Polski zna słabo. Nie nadaje się do tego, by uczyć Polaków o ich przeszłości

Historia ze skazą

eprasa.pl a64665f984

FOT. ŁUKASZ GŁOWALA/FORUM

W listopadzie 2015 r. otrzymałem od kończącego wówczas swoją biznesową karierę prezesa Banku Zachodniego WBK album Normana Daviesa poświęcony armii Andersa. Księga odleżała swoje, czekając w kolejce na lekturę, i dopiero ostatnio uważnie ją przeczytałem.

Davies od lat cieszy się uznaniem jako przyjaciel Polaków i znawca historii. Ponad 40 lat temu obronił doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, jest doktorem honoris causa kilku polskich uniwersytetów, profesorem Polskiej Akademii Umiejętności. Jest też autorem kilku książek, których tematyka dotyczy polskiej historii.

Tak też jest w przypadku „Szlaku nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty”. Narracja i albumowy charakter wydawnictwa powodują, że książkę należałoby zaliczyć raczej do grupy podróżniczych niż historycznych, jednak ujawnia się w niej pewna wizja najnowszej historii Polski, a gawędziarstwo Daviesa wiele osób traktuje jako wykład historyczny.

Profesor Samsonowicz, na uroczystości nadania Daviesowi doktoratu honoris causa przez Uniwersytet Warszawski, nazwał go burzycielem utartych schematów i pojęć. Tymczasem wszystko to, co dotyczy niezwykle istotnych dla klęski Polski w II wojnie światowej relacji brytyjsko-polskich, opisywane jest przez Daviesa właśnie w ramach utartych schematów, powtarzania nieprawd i fałszywych ocen. Jednocześnie sporo mamy błędów i przekręceń pokazujących, że autor jest na bakier ze znajomością podstawowych wydarzeń i ich zależności.

Tło polityczne sytuacji Polski w latach 1941–1942 opisuje na zasadzie anegdotycznej – który z polityków brytyjskich i amerykańskich na ile się upił w czasie spotkań ze Stalinem (s. 158–159), nie próbując wniknąć w cele i metody polityki Anglosasów. W ten sposób nie dowiadujemy się niczego o okolicznościach sojuszu brytyjsko-sowieckiego z 26 maja 1942 r. i jego sprzeczności z wcześniejszym układem sojuszniczym z Polską. Wiemy jednak, ile toastów wzniósł na Kremlu Wendell Willkie (Davies podaje kilkukrotnie nazwisko tego republikańskiego kandydata w wyborach prezydenckich 1940 r. z błędem literowym) albo jak Churchilla bolała głowa po wielogodzinnym spotkaniu ze Stalinem.

CIEMNA MAGIA

Z książki przebija zadziwiający infantylizm. Davies tworzy wrażenie, jakby polityka międzynarodowa była jakąś ciemną magią, a jednocześnie jej poznanie i zrozumienie nie miało żadnego wpływu na losy ludzi oraz narodów. Na przykład po dosyć trafnym opisaniu nieuczciwego stosunku Roosevelta do Polski podsumowuje: „Na szczęście lub nie, Anders i jego ludzie nic o tym nie wiedzieli”. Zdecydowanie na nieszczęście – polityką polską w czasie wojny kierowali głównie ludzie, którzy nie potrafili albo wręcz nie chcieli poznać uwarunkowań międzynarodowych, karmili się złudzeniami i te złudzenia brutalnie propagowali. W konsekwencji wojsko („Anders i jego ludzie”), zamiast realizować cele polityczne państwa polskiego, walczyło i ginęło za obcą sprawę.

Relacjonując sprzyjające Sowietom wypowiedzi brytyjskich polityków po ataku 17 września, wśród powodów takiego stanowiska podaje brak znajomości tajnego protokołu paktu Ribbentrop-Mołotow. Akurat Brytyjczycy znali jego treść, ale nie podzielili się tą wiedzą z Polakami w obawie, że może to zmienić ich gotowość przeciwstawienia się niemieckim żądaniom.

„Atak Hitlera na Związek Sowiecki wywrócił do góry nogami wszystkie założenia przyjęte w poprzednich dwóch latach”. To wytłuszczony wstęp do drugiego rozdziału książki. Niczego nie wywrócił. Polityka brytyjska była nastawiona co najmniej od klęski Francji na wciągnięcie Rosji sowieckiej do wojny przeciwko Niemcom. Już wcześniej wysyłano sygnały, że Wielka Brytania nie popiera przedwojennej granicy Polski z Sowietami. Wyrazem tych dążeń, ale jednocześnie serwilizmu Sikorskiego wobec Brytyjczyków (zapewne też niezwykłej naiwności) był szybko wycofany memoriał tegoż w sprawie utworzenia armii polskiej w ZSRS, napisany rok przed atakiem Hitlera na Rosję. Zamiast usłyszeć od Daviesa, jak Churchill manipulował Sikorskim, dowiadujemy się, że: „Cenił bardzo Polaków, szczególnie wobec odważnej postawy polskich lotników w bitwie o Anglię, i szanował polskiego premiera i Naczelnego Wodza, generała Sikorskiego”. To bajki dla grzecznych dzieci, a nie opisywanie historii.

Konsekwencją ataku Niemiec na Sowiety było zawarcie układu Sikorski-Majski. Wśród Polaków nie było różnicy zdań co do tego, że Polska powinna przywrócić stosunki z Sowietami. Różnice dotyczyły tego, czy należy ulegać brytyjskiej presji na zawarcie układu bez potwierdzenia

eprasa.pl a64665f984

żywotnych interesów Polski i czy należy domagać się od Brytyjczyków realizacji zobowiązań traktatu sojuszniczego. Sikorski zaakceptował tekst, który w sprawie granic Polski był niejasny, a w świetle sowieckich deklaracji był bardzo oczywisty – nie stworzył prawnej bariery dla roszczeń Sowietów do połowy terytorium państwa polskiego. Skutkiem tego prezydent nie wydał kontrasygnaty układu, co czyniło go niekonstytucyjnym, a trzech ministrów (w tym minister spraw zagranicznych) na znak protestu podało się do dymisji. Zadaniem historyka jest takie sytuacje opisywać i zrozumiale wyjaśniać. Tymczasem przy tego typu sytuacjach dominuje u nas nurt podkreślania kłótliwości („gdzie dwóch Polaków, tam trzy poglądy”) zamiast rzetelnego zreferowania. Davies zajmuje tu stanowisko „pośrednie” – dowiadujemy się, że toczono zażarte dyskusje, ale nie do końca wiadomo, jakie były stanowiska dyskutantów. „Sikorski musiał podjąć decyzję równie niewygodną jak Churchill” – ale nie dowiadujemy się, dlaczego musiał, nie mamy też porównania „niewygód” Sikorskiego i Churchilla. W końcu Sikorski decyduje się podpisać układ „i wyciągnąć z tej sytuacji jak najwięcej korzyści”. A więc różnica zdań polegała na tym, że jego oponenci nie chcieli wyciągać korzyści?

NORMAN DAVIES
„SZLAK NADZIEI”
ROSIKON PRESS

WYBIELANIE BRYTYJCZYKÓW

W ogóle z tekstu Daviesa przebija chęć wybielenia Churchilla i polityki Wielkiej Brytanii w stosunku do Polski. Na przykład w związku z konferencją w Teheranie pisze: „Nie jest prawdą, że Churchill i Stalin porozumieli się w sprawie granicy polsko-sowieckiej” (s. 218). Churchill, owszem, miał chyba świadomość zobowiązań, które zaciągnęła wobec Polski Wielka Brytania w układzie sojuszniczym i tajnym protokole do niego, i stąd różne tańce-łamańce, żeby maskować istotę swojego działania. A tą istotą było m.in. przekonanie, że przedwojenne granice Polski na wschodzie były niesprawiedliwe, a Rosja zasługuje na granice bezpieczne. Przede wszystkim zaś, że Rosji trzeba czymś zapłacić za udział w wojnie przeciwko Niemcom, na co jeszcze na początku 1939 r. zwracał uwagę Władysław Studnicki, krytykując wiązanie się z Brytyjczykami. Twierdzenie Daviesa, nawet jeżeli ma cechy formalnie poprawnego, to w istocie swojej zamazuje cel i sposób działania Churchilla.

W związku z tym, gdy dochodzimy do Jałty, to spotykamy się z komentarzem: „Churchill już się nie liczył w tej rozgrywce i nie mógł skutecznie bronić interesów polskiego sprzymierzeńca”(s. 497). Rzeczywiście pozycja Wielkiej Brytanii w Wielkiej Trójce była w tym momencie znacznie słabsza. Jednak przede wszystkim od dawien dawna „obrona interesów polskiego sprzymierzeńca” nie znajdowała się na liście priorytetów polityki Wielkiej Brytanii.

Kilka miesięcy wcześniej miało miejsce znamienne wydarzenie. Wielka Brytania wywarła presję na prezydenta Rzeczypospolitej, żeby zwolnił z funkcji naczelnego wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Czego dowiadujemy się o generale z ust Daviesa? „Generał Kazimierz Sosnkowski, świetny oficer i człowiek zasad, ale pozbawiony talentu dyplomatycznego, który miał Sikorski” (s. 377). Dlaczego musiał rozstać się ze swoim stanowiskiem? „Naczelny Wódz otwarcie wyraził gniew z powodu niezbyt przekonującego poparcia Wielkiej Brytanii dla Rządu RP na Uchodźstwie”(s. 486–487). To znowu trele-morele ukrywające istotę zagadnienia. Przede wszystkim to Stalin od ponad roku domagał się wyeliminowania z polskiego rządu „faszystów” i zwolenników Hitlera. Jakim kluczem w ustalaniu who is who się kierował, to jego słodka tajemnica – na liście przeznaczonych do „odstrzału” znajdowali się także późniejsi współpracownicy „reżimu warszawskiego”. Jednak gen. Sosnkowski, jako zwolennik twardej antysowieckiej linii, został dobrze zidentyfikowany. Kiedy przy okazji piątej rocznicy 1 września, a jednocześnie w obliczu powoli dogorywającej samotnej walki Warszawy przypomniał, że Polska weszła do wojny m.in. dlatego, że otrzymała brytyjskie „gwarancje”, Foreign Office państwa „udzielającego gościny” polskiemu rządowi „wpłynął” na prezydenta RP, żeby usunął ze stanowiska generała. I tu też Davies mija się z prawdą, pisząc, że Brytyjczycy wpłynęli na Sosnkowskiego, podczas gdy wpłynęli (skądinąd ciekawe byłoby dokładne wyjaśnienie jakimi środkami) na prezydenta. I zero refleksji nad tym szczególnym rodzajem gościnności.

Wypada skonstatować zasadniczy fakt – cele wojenne Polski nie pokrywały się z celami wojennymi Wielkiej Brytanii.

Zaraz po Jałcie opisuje Davies rozterki w 2. Korpusie Polskim i samego Andersa (s. 500). Nie zauważa jednak odłamu opinii domagającego się wystąpienia bardziej radykalnego niż próba czy też groźba wycofania polskiego wojska z linii frontu, którego przedstawicielem był gen. Nikodem Sulik. A w relacji rozmowy Andersa z Churchillem pomija najbardziej znamienny fragment, kiedy ten ostatni mówi, że nie potrzebuje już polskich dywizji. Mimo faktycznie bagatelnej w zestawieniu z armiami alianckimi liczby polskich żołnierzy nie była to prawda – w opinii anglosaskich dowódców frontu włoskiego 2. Korpus był niezbędny do jego utrzymania.

Kończą się działania wojenne i Davies zauważa: „Na ironię zakrawa fakt, że 2. Korpus Polski osiągnął swój największy stan liczebny w momencie, gdy nie miał już właściwie racji bytu” (s. 514). To znowu perspektywa brytyjska, a nie polska. Racją bytu polskiego wojska nie było bowiem dopomożenie Wielkiej Brytanii w pokonaniu Hitlera, tylko obrona całości i niepodległości Rzeczypospolitej. Ten cel nie został w maju 1945 r. zrealizowany. Polska poświęciła swoją armię we wrześniu 1939 r. na ołtarzu sojuszu z Francją i Anglią. Później mozolnie, bez dostępu do „rekruta” znajdującego się na terenie okupowanego kraju oraz w miarę bardzo skromnych środków finansowych odbudowała siły zbrojne. Siły zbrojne, których rolą nie było tylko wygenerowanie sympatii – bardziej społeczeństw niż rządów krajów alianckich – lecz także walka o cele swojego państwa. Kontynuacja walki i nadzieje na zwycięstwo wiązały się najpierw z przewidywanym konfliktem anglosasko-sowieckim. Jednak były też koncepcje łagodniejsze. Na przykład blokowanie rozformowania polskich oddziałów do momentu obiecanych w Jałcie, a później odwlekanych wolnych wyborów w kraju. W ten sposób próbowano naciskać na Brytyjczyków, aby upominali się u Stalina o to, co z nim sami ustalili. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo Churchill w Jałcie dbał jedynie o zachowanie resztek pozorów, że robi coś dla swojego najstarszego sojusznika.

BRAK PERSPEKTYWY

Można zrozumieć, że Daviesowi trudno jest pisać o takich sprawach. Zostają więc wątki martyrologiczne – swoją drogą ich opisanie należy policzyć mu na duży plus. Na wielu kartach książki

eprasa.pl a64665f984

możemy poznać dramatyczne przeżycia Polaków, którzy w wyniku deportacji znaleźli się na daleko położonych terenach Kraju Rad. Jednak wszystko to gubi się przez brak pokazania perspektywy i sensu walki Armii Polskiej na Wschodzie czy później 2. Korpusu Polskiego. Nawet tytuł „Szlak nadziei" jest tu znamienny – odnosi się wrażenie, że chodzi o nadzieję na ucieczkę z sowieckiego piekła. A to tylko część historii żołnierzy gen. Andersa.

Kwintesencją problemów Daviesa z pokazaniem szerszego tła polityki międzynarodowej są bzdury, które pisze w związku z udziałem PSZ w londyńskiej defiladzie 8 czerwca 1946 r.: „Prawda była zapewne bardziej prozaiczna. Jakiś mało rozgarnięty urzędnik wysłał oficjalne zaproszenie do rządu w Warszawie, a nie do Rządu RP na Uchodźstwie". Otóż urzędnicy brytyjscy wysyłali korespondencję tam, gdzie kazał im brytyjski rząd. Rząd ten od 6 lipca 1945 r. uznawał za rząd Rzeczypospolitej Polskiej ciało urzędujące w Warszawie (Davies nieprecyzyjnie określa ten moment – s. 518). A politycy brytyjscy rzeczywiście nie byli zbyt rozgarnięci. Dobrą chwilę zajęło im zorientowanie się, że polskie wojsko składa przysięgę na wierność prezydentowi, który jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. Jak się już zorientowali, jaka jest rola prezydenta, powiadomili go stosownym dokumentem, że przestają uznawać jego zwierzchnictwo nad Polskimi Siłami Zbrojnymi. Rozpoczęły się długie dyskusje z Warszawą dotyczące przejęcia dowództwa nad PSZ. Jednym z kandydatów był znany z międzynarodowych wojaży, a przez to akceptowalny dla Brytyjczyków, generał Armii Czerwonej Karol Świerczewski. Tak naprawdę to polski opór sprawił, że to ani inne podobne rozwiązanie nie zostało wprowadzone w życie. Od Normana Daviesa nic się na ten temat nie dowiemy. Jeśli zaś chodzi o defiladę, to do ostatniej chwili w Londynie czekano na delegację „wojska polskiego" zwanego ludowym. Bo nie tylko wysłano do Warszawy zaproszenie, lecz także mozolnie ustalano szczegóły z „warszawską" delegacją. Czekano na nią dosłownie na płycie lotniska, ale mimo ustaleń delegacja nie przyleciała. Rząd polski w Londynie był zaś w tym czasie ledwo co tolerowany jako prywatne przedsięwzięcie i władze brytyjskie nie utrzymywały z nim kontaktów.

LUKI I BŁĘDY

Profesor Davies słabo opanował historię Polski. Nie nadaje się do tego, żeby uczyć Polaków ich własnej przeszłości. Ulega fobii antyendeckiej (tu akurat nie różni się szczególnie od dużej części historyków polskich). Pisze np.: „Według NKWD nikt nie mógł mówić, że jest narodowości polskiej, jeśli polski nie był jego językiem ojczystym i jeśli był innego wyznania niż rzymskokatolickie. W tym względzie NKWD zgadzało się z przedwojennymi polskimi nacjonalistami, którzy propagowali wątpliwą koncepcję Polaka-katolika i domagali się głośno »Polski dla Polaków«" (s. 258). Tutaj się Daviesowi wszystko miesza. Przedwojenni polscy nacjonaliści nie propagowali koncepcji takiej jak wyżej opisana („według NKWD"), a hasło: „Polska dla Polaków" nie oznaczało, że Polakiem nie może być osoba o pochodzeniu niepolskim i niekatolickim. Nieprawdziwie został też przedstawiony pogląd władz sowieckich. Jego istotą było to, że Sowieci żonglowali w miarę swoich potrzeb uznawaniem tego, kto jest, a kto nie obywatelem polskim. Najpierw, tuż po układzie, kiedy zwalniano z więzień i łagrów, wydawało się, że pojęciem tym obejmują wszystkich, którzy przed rokiem 1939 posiadali polskie obywatelstwo. Później, tuż przed wizytą Sikorskiego w Moskwie, ogłosili, że za obywateli polskich uznają jedynie osoby narodowości polskiej, na koniec (w styczniu 1943 r.) poinformowali, że wszystkie osoby, które w listopadzie 1939 r. „nabyły" obywatelstwo sowieckie na podstawie sowieckiej konstytucji oraz woli przedstawicieli ludu, są obywatelami sowieckimi. Polski obóz narodowy należał do najgłośniej protestującego odłamu polskiej opinii publicznej przeciwko takiemu podejściu, a dwaj jego przedstawiciele zostali aresztowani przez rząd gen. Sikorskiego za ujawnienie (opublikowanie) noty sowieckiej wyrażającej to ostatnie stanowisko.

Z tekstu Daviesa przebija chęć wybielenia Churchilla i polityki Wielkiej Brytanii w stosunku do Polski

Na tej samej stronie, a później jeszcze raz (s. 573) powtarza Davies bzdurę o rzekomych zarzutach narodowców przeciwko gen. Andersowi: „W 1960 roku wygrał w sądzie sprawę o pomówienie przeciwko narodowcom, którzy w swoim piśmie »Narodowiec« zarzucali mu, że nie jest Polakiem". Rzeczywiście proces taki miał miejsce, tyle że pismo „Narodowiec" nie miało wiele wspólnego ze Stronnictwem Narodowym, zarzuty wobec generała zostały przedstawione w liście do redakcji, a ich autorem był jeden z przywódców jednego z odłamów (promikołajczykowskiego) Stronnictwa Ludowego.

W latach 50. gen. Anders zidentyfikowany został jako jeden „z Grupy Trzech, którzy przeciwstawili się prezydenturze Augusta Zaleskiego". Generał był członkiem nie żadnej grupy, tylko Rady Trzech – ciała, które w wyniku zjednoczenia większości środowisk polskiej emigracji politycznej powołano w 1954 r. jako rodzaj zbiorowej prezydentury. Swoją drogą Stronnictwo Narodowe uczestniczyło w tym przedsięwzięciu.

Profesor Davies ma też problemy ze znajomością historii powszechnej. Już na samym początku, pisząc o I wojnie światowej, informuje, że ententę „w ostatnim etapie wojny wsparły Stany Zjednoczone i Włochy". Nie wiem, jaki jest stan wiedzy na brytyjskich uniwersytetach, ale ja już w szkole średniej wiedziałem, że Włochy przystąpiły do wojny w roku 1915. Dokładnie w dziesiątym miesiącu trwającej ponad cztery lata wojny, więc chyba nie „w ostatnim jej etapie".

Na stronie 55 zamieszczone jest zdjęcie: „Stalin podpisuje układ polsko-sowiecki w Moskwie, 14 sierpnia 1941". Na zdjęciu widać generała Sikorskiego. W tym dniu została zawarta umowa wojskowa, którą w imieniu Polski podpisywał gen. Szyszko-Bohusz. Zdjęcie natomiast ilustruje podpisanie deklaracji polsko-sowieckiej 3 grudnia tegoż roku. 14 sierpnia Sikorskiego nie było w Moskwie, ale profesor chyba nie jest tego świadom, bo dalej (s. 95) pisze o pierwszym pobycie Sikorskiego w Rosji: „Znalazł się znowu w Rosji na początku grudnia 1941".

Podobnych błędów, chronologicznych i faktograficznych, można w książce odnaleźć jeszcze sporo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

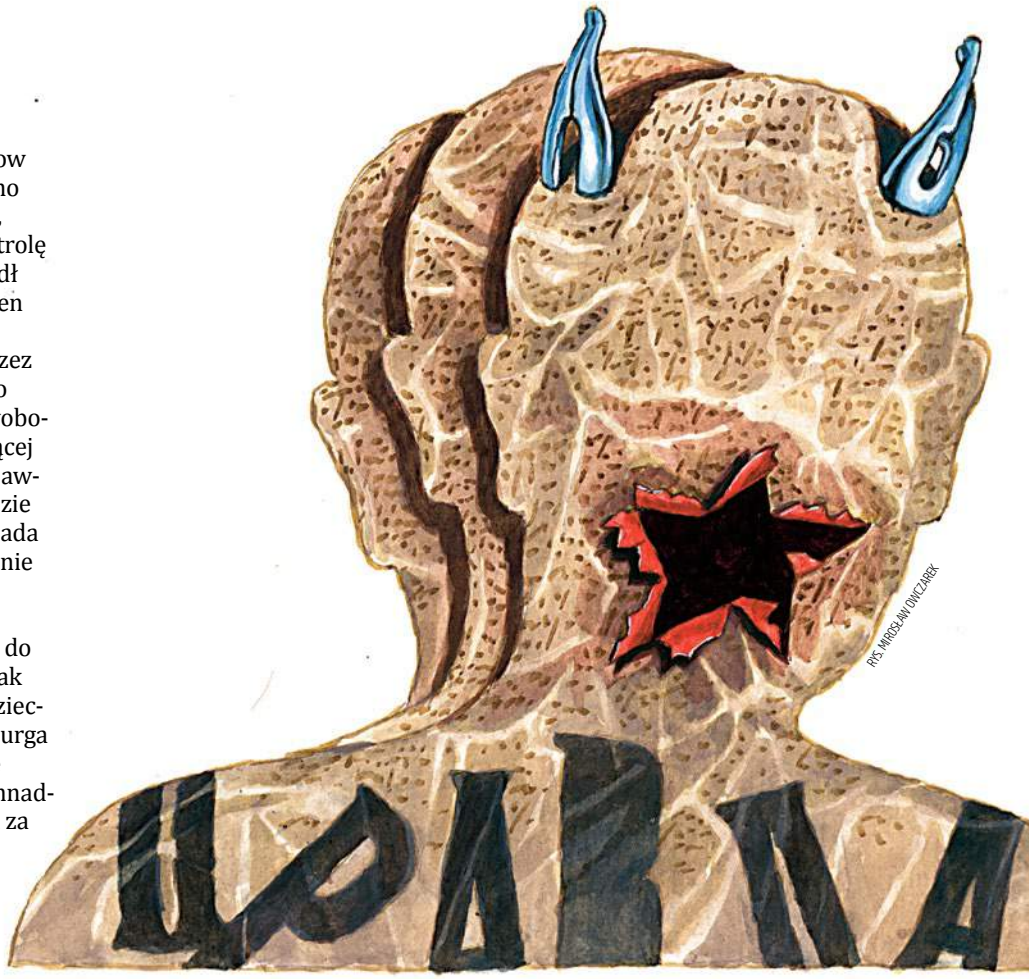

RYS. MIROSŁAW OKCZAREK

Jak złupić konfidenta

Gabriel Michalik

U progu jesieni rosyjskie środowisko płatnych donosicieli zyskało powody do świętowania. Po latach starań o ustanowienie siatki płac dla szpiclów MSW wspólnie z ministerstwem sprawiedliwości wydało odpowiedni akt. Zdaje się jednak, że zainteresowani obejdą się smakiem, a śmietankę spiją funkcjonariusze organów ścigania i wyspecjalizowane agencje donosicielskie, należące do moskiewskich oligarchów

Jewgienij Władymirowicz Płotnikow z Jekaterynburga wysmażył pismo adresowane do Roskomnadzoru, urzędu odpowiadającego za kontrolę treści w Internecie. Po tym, jak skradł dostęp do Wi-Fi sąsiada, ustalił, że ten ostatni zagląda na zakazane strony o charakterze antypaństwowym. Przez pomyłkę wysłał jednak donos nie do Roskomnadzoru, lecz do Roskomswobody, organizacji pozarządowej walczącej o wolność w Internecie. Ta z kolei ujawniła treść pisma wraz z aneksem, gdzie Płotnikow domaga się ukarania sąsiada konfiskatą mieszkania, które następnie należałoby przekazać delatorowi.

Po publikacji donosu Płotnikow żądał wypędzenia Roskomswobody do imperialistycznej Ameryki, gdzie – jak wyjaśnił – jest miejsce takich zdradzieckich organizacji. Gdy pół Jekaterynburga i dwie trzecie Czelabińska pękało ze śmiechu nad Płotnikowem i Roskomnadzorem, instytucja ta w końcu uznała za konieczne zająć w sprawie stanowisko. Płotnikowowi podziękowano za czujność i postawę obywatelską, ale jednocześnie oznajmiono, że brak jest podstaw prawnych, aby spełnić jego postulat dotyczący poprawy warunków mieszkaniowych.

* * *

Mniej więcej w tym czasie, gdy obywatel Płotnikow prowadził swoją przegraną walkę o mieszkanie sąsiada, prezydent Federacji Rosyjskiej postanowił pochylić się nad nie dość zabezpieczonym w przepisach dobrostanem konfidentów. Pierwszym krokiem było nakazanie zaliczania do stażu emerytalnego czynności z zakresu płatnego donosicielstwa, co zainteresowane kręgi przyjęły z satysfakcją, traktując stanowisko głowy państwa jako akt przywracania sprawiedliwości dziejowej, nadwerężonej rozpanoszeniem się w Rosji rozmaitej maści piątej kolumny, zwanej obecnie, z racji jej rozmiarów: nanokolumną. Zwieńczeniem drogi do odrodzenia i rozkwitu tradycji donosicielskich stało się wreszcie rozporządzenie MSW i Ministerstwa Sprawiedliwości wydane w ostatnich dniach sierpnia bieżącego roku.

* * *

„Niepokoi mnie obecna sytuacja społeczna, a szczególnie zachowanie

eprasa.pl a64665f984

obywatelki Dongak Ojumy Sedipołowny. Aktywność Dongak w sieciach społecznościowych źle wpływa na niektórych bezmyślnych ludzi, a ciągłe posty inkryminowanej o wspaniałym życiu w Europie przyczyniają się do faktycznego obniżenia poziomu życia w ojczystej Republice" – donos tej treści trafił latem do MSW Republiki Tuwy.

Ojumę Dongak, pełnomocniczkę sztabu Kseni Sobczak w ostatnich wyborach prezydenckich, zatrzymano. Zgodnie z maksymą przypisywaną nieodżałowanej pamięci Andriejowi Januariewiczowi Wyszyńskiemu, gdy znaleziono człowieka, znalazł się i paragraf. Dochodzenie otworzyło bowiem przed śledczymi prawdziwy róg obfitości, gdy chodzi o zarzuty. Jak ustalono, Dongak nie tylko złośliwie obniżała poziom życia znanej na cały świat z alikwotowego śpiewu gardłowego Tuwy, lecz także propagowała faszyzm! W jednym z jej postów internetowych znaleziono nawet link do wywiadu z byłą członkinią Związku Niemieckich Dziewcząt, zatytułowanego „Pamiętam mój zachwyt Hitlerem". I choć wywiad opowiada o zaczadzeniu nazizmem, a przeszło 90-letnia obecnie Niemka odnosi się krytycznie do swoich dawnych poglądów, odsiadka Ojumy Dongak z każdym dniem nabiera coraz bardziej realnych kształtów.

* * *

Są dwa zasadnicze powody, dla których najwłaściwszym miejscem pracy współczesnego Pawki Morozowa jest Internet. Po pierwsze, resztki niezależnej debaty publicznej zostały w Rosji zepchnięte do serwisów społecznościowych. Zsumowane czytelnictwo, słuchalność i oglądalność tradycyjnych mediów, nie tyle nawet opozycyjnych, ile mniej więcej od Kremla niezależnych – telewizji Dożdż, Radia Echo Moskwy i „Nowej Gazety" – nie przekraczają poziomu kilku procent. Redakcje znajdują się właściwie stale w sytuacji zagrożenia likwidacją, ich wpływ zaś na debatę publiczną ogranicza się w zasadzie do funkcjonującego wokół tych mediów rezerwatu demokratycznego, którego istnienie jest władzy na rękę, choćby w charakterze listka figowego czy wentylu bezpieczeństwa. W niedostatku mediów, gdzie głosi się treści, z którymi mogłyby się utożsamiać osoby nie do końca zadowolone ze światłych rządów Putina – realizowanych przez wolne od chciwości, pozbawione niskich odruchów, głęboko humanistyczne, kryształowo uczciwe, patriotyczne i demokratyczne kadry partii Jedinaja Rossija – blogi, wideoblogi, Facebook i jego rosyjski analog, serwis VKontaktie, stały się najważniejszymi niszami dla nieprawomyślnych.

Drugi powód jest równie banalny. Tak ujmuje go opozycyjny publicysta Matwiej Ganapolski: „Donosić na zdjęcia, reposty i lajki jest o wiele wygodniej, niż donosić na przykład na zabójcę czy skorumpowanego urzędnika. Z nim zresztą trzeba by się było pewnie podzielić honorarium za donos. Tymczasem donosząc na internetowych ekstremistów, siedzisz sobie w domu, zajadasz lody albo szaszłyk, patrzysz w komputer i donosisz. I po mordzie nikt nie da".

Warto przy tym wyjaśnić, że przejawem ekstremizmu może być w obecnej Rosji w zasadzie wszystko – zarówno wezwanie do budowy w Tatarstanie kalifatu, jak i wyrażenie poglądu, że mer niewielkiego miasta bierze zbyt obfite łapówki. Dla śledczych taka np. Dongak jest

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie oraz badanie biomechaniczne postawy lub stóp
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 14.10 - 20.12.2018 r.
W ofercie również POBYTY WYPOCZYNKOWE

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl a64665f984

zresztą łatwiejsza w obsłudze. Terrorystę trzeba wyśledzić, człowiek się napoci, zmęczy, nie wiadomo, czy nie spotkają go jakieś nieprzyjemności. Tymczasem w przypadku Dongak i setek jej podobnych wystarczy udać się do mieszkania czy biura, zabrać leżące na wierzchu komputery i już można sprawie nadawać bieg. Służbom rośnie wykrywalność, a naród zyskuje poczucie bezpieczeństwa. Rozmaitego typu „gęgacze", zdemoralizowani latami względnej wolności przekonań, nie tylko się nie ukrywają, lecz także wskutek zaskoczenia gotowi są podawać na tacy kolejne dowody swoich zbrodni.

* * *

W serwisie społecznościowym VKontaktie 38-letni Andriej Szaszerin z Barnaułu zamieścił rysunek przedstawiający sakrament spowiedzi. Pokuta nakazana przez duchownego to trzykrotne wypowiedzenie czarnoksięskiej formuły: „Krym nasz!". W wyniku donosu przeciwko Szaszerinowi skierowano akt oskarżenia o działalność ekstremistyczną. Tytułem uwertury do ewentualnego wyroku skazującego (mężczyźnie grozi do sześciu lat kolonii karnej) Szaszerina skierowano na trzy miesiące do szpitala psychiatrycznego, oficjalnie celem sporządzenia odpowiedniej ekspertyzy. Podsądnemu nie pomogło to, że przedstawił zaświadczenia od moskiewskich autorytetów medycznych, jakoby był w pełni zdrowy na umyśle. Psychuszka czeka.

* * *

Kwoty kuszą – za doniesienie na „ekstremistę" można dostać, w zależności od wagi sprawy, od 50 tys. do 10 mln rubli (w przeliczeniu, odpowiednio, od ok. 3 tys. do przeszło 0,5 mln zł).

Po pierwszej fali entuzjazmu przyszedł jednak czas na gorzką refleksję: konfidenci obawiają się oszustw i korupcji ze strony funkcjonariuszy organów ścigania, którym powierzono rozstrzyganie w drodze arbitralnych decyzji o wysokości poszczególnych wypłat. Internauta: „Czy nikt nie widzi, o co naprawdę w tym chodzi? Psy wymyśliły sobie nowy sposób zarabiania. Kapusie nie dostaną ani kopiejki. Jak udowodnisz, że to ty, a nie babcia funkcjonariusza pierwszy wykryłeś przestępstwo?".

Konstruując przepis będący wynikiem porozumienia pomiędzy MSW a ministerstwem sprawiedliwości, nie zadbano o pozory legalizmu. Nowe prawo krytykują więc nie tylko opozycjoniści, lecz także nawet członkowie Rady Praw Człowieka przy... Putinie. Aleksandr Brod, członek Rady, zwraca uwagę, że rozwiązanie może doprowadzić do skokowego wzrostu liczby sfabrykowanych zarzutów, nasila brak transparentności pracy służb, a oczywista korupcjogenność przepisów nie stała się przedmiotem choćby formalnej dyskusji.

W istocie jednak pieniądze za donosy mogą nie trafić ani do prywatnych donosicieli, ani do funkcjonariuszy. Oto bowiem w ślad za przyjętym przepisem mówi się o tworzeniu prywatnych firm specjalizujących się w wyłapywaniu „ekstremizmu". Przez niezależne media przewinął się opis działania jednej z nich, która siłami nielicznego personelu była w stanie w krótkim czasie wyprodukować 2 tys. donosów na osoby krytycznie nastawione do Cerkwi prawosławnej. Obok fabryk trolli, stanowiących prywatną własność najbliższych współpracowników Putina, m.in. prezydenckiego kucharza Jewgienija Prigożyna, mają powstać „fabryki donosicieli", a wtedy pieniądze wprost z kasy MSW powędrują na zagraniczne konta oligarchów. „Rozporządzenie jest napisane pod hurtowników. Prywatny donosiciel, choćby pracował dniem i nocą, guzik dostanie!" – emocjonuje się ktoś pod artykułem wychwalającym nowe prawo.

Uszami duszy już słychać gromkie głosy krytyki tęskniących wciąż za czasami sowieckimi rosyjskich komunistów, gdy prawo do donosów i płynących z nich korzyści miał każdy, nie zaś tylko chciwy kapitalista.

* * *

Liczba Dongaków i Szaszerinów wzrasta z dnia na dzień. Fala prześladowań przetacza się przez rosyjskie społeczeństwo. Wymiar indywidualnej represji bywa rozmaity – od grzywny poprzez utratę pracy aż do wieloletniego więzienia. Za kraty, choćby na kilka tygodni, trafiają już nie tylko regionalni działacze Memoriału, nie tylko sami opozycjoniści i ich bliscy, lecz także rosnące z każdym tygodniem rzesze nieszczęśników, którzy jeszcze nie zorientowali się, że historia się powtarza. Ponadto porównywanie obecnej sytuacji do czasów terroru stalinowskiego byłoby nadużyciem godzącym przede wszystkim w tragiczną pamięć o ofiarach. Odmienne są i skala represji, i ich motywy. Dzisiaj Kreml prześladuje nie tylko liderów opozycji, lecz także szarych ludzi, którzy mieli odwagę lub nieostrożność odezwać się nieco mniej czołobitnie o sukcesach reżimu. Poza tym cele kampanii są o wiele mniej idealistyczne niż w czasach stalinowskich. I rozmach jest mniejszy. Nie powtórzą się ambitne przedsięwzięcia w rodzaju kanału Wołga-Don zbudowanego przez anegdotczików, nie ma – per analogiam do wielkich budów stalinizmu – ni jednej, choćby średniej, budowy putinizmu.

Teraz idzie ledwie o pogrożenie palcem niepokornym, o ochronę przed krytyką przedstawicieli średniego i niższego szczebla aparatu władzy. Oni to bowiem, w liczbie kilku milionów, stanowią, obok resortów siłowych, najważniejszy i największy filar Kremla. I o ile po dość skutecznie deifikowanym przez propagandę Putinie i jego moskiewskiej drużynie wszelkie oskarżenia spływają jak po kaczce, o tyle plotki o nadużyciach i niedociągnięciach lokalnego mera czy deputowanego potrafią zatruć życie; budzą w urzędniku poczucie krzywdy i braku obrony przez reżim, któremu powierzyło się nie tylko swoje siły, lecz także losy. A na troskę o większe grupy Rosjan Kreml nie może sobie pozwolić.

* * *

„W końcu zrozumiałem, jak się wzbogacić. Zostanę informatorem MSW. Już zacząłem pisać doniesienie o bezprawnym przejęciu władzy, dokonanym przez grupę spiskowców urodzonych w Sankt Petersburgu" – dzieli się swoimi planami Wiktor Szenderowicz, satyryk, którego od 15 lat Kreml nie dopuszcza do mediów, słusznie wskazując, że jego żarty dawno już przestały być śmieszne.

Kwoty kuszą – za doniesienie na „ekstremistę" można dostać, w przeliczeniu, od ok. 3 tys. do przeszło 500 tys. zł

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Bułgarska dziennikarka Wiktoria Marinowa została uduszona. Przed śmiercią została pobita i brutalnie zgwałcona FOT. FILIP DVORSKI/AP/EAST NEWS

Dziennikarze na celowniku

Jacek Przybylski

Europą wstrząsają kolejne wiadomości o mordach na dziennikarzach, którzy krytykują rządzących, ujawniają korupcję lub sprawdzają, kto stoi za defraudacją unijnych funduszy

Nagie ciało 30-letniej Wiktorii Marinowej znaleziono w zaroślach nad Dunajem w bułgarskim mieście Ruse. Prezenterka i dziennikarka lokalnej telewizji TWN przed uduszeniem została pobita i brutalnie zgwałcona. Sprawca zabrał jej też przedmioty osobiste, choć jej samochodu już nie ukradł.

Nie wiadomo, czy śmierć 30-latki miała coś wspólnego z dziennikarskim śledztwem Wiktorii Marinowej. Wiadomo jednak, że przed śmiercią kobieta zajmowała się aferą korupcyjną związaną z defraudacją funduszy z Unii Europejskiej.

Wstępnie przyjęta przez bułgarskich śledczych teza, że kobieta została zgwałcona i zamordowana najprawdopodobniej przez pacjenta z pobliskiego szpitala psychiatrycznego, byłaby wyjątkowo wygodna dla władz Bułgarii – kraju, który jest uznawany za najbardziej skorumpowany w Unii Europejskiej i który w rankingu wolności mediów organizacji Dziennikarze bez Granic (RsF) w zeszłym roku zajmował ostatnie miejsce wśród państw UE. Szefowie największych frakcji w Parlamencie Europejskim domagają się więc od władz w Sofii wnikliwego śledztwa w sprawie tego zabójstwa. Pierwszy podejrzany – obywatel Rumunii z mołdawskim paszportem – został wypuszczony dzień po zatrzymaniu. Drugiego podejrzanego zatrzymano w Niemczech.

Według policji zbrodnia miała mieć podłoże seksualne i rabunkowe. Nie wszyscy w to jednak wierzą. Już wcześniej w Europie ginęli bowiem dziennikarze, którzy zdecydowali się zająć tematem defraudacji unijnych pieniędzy. W lutym niedaleko Bratysławy odnaleziono ciała 27-letniego dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Zanim para została zastrzelona, Kuciak ujawnił wiele afer finansowych, w które zamieszani byli zarówno biznesmeni, jak i politycy z pierwszych stron gazet. Przed śmiercią pracował zaś nad tekstem o powiązaniach między doradcami ówczesnego socjaldemokratycznego premiera Słowacji Roberta Fico z włoskimi mafiosami działającymi na wschodzie kraju. Przestępcy mieli zajmować się m.in. wyłudzaniem od Unii Europejskiej dotacji rolnych.

Pierwszy w historii Słowacji przypadek mordu na zlecenie, którego ofiarą padł dziennikarz, wywołał tak ogromne protesty społeczne, że Robert Fico – typowy komunista, który dziennikarzy piszących o skandalach korupcyjnych dotyczących jego administracji nazywał „brudnymi antysłowackimi prostytutkami" – w marcu musiał podać się do dymisji. W kwietniu prezydent Andrej Kiska wręczył więc no-

eprasa.pl a64665f984

minację na premiera Peterowi Pellegriniemu. Słowacy wymienili też komendanta policji, a także ministrów spraw wewnętrznych oraz sprawiedliwości. Niedokończony artykuł Kuciaka został pośmiertnie opublikowany. Wiele wymienionych w nim osób zostało później zatrzymanych przez policję, ale wszystkie zostały wypuszczone.

We wrześniu słowacka policja aresztowała cztery osoby. Według prokuratury zabójstwa dokonał były oficer policji Tomas S. Cyngiel, który za zlecenie miał zainkasować 70 tys. euro, czyli równowartość 300 tys. zł. Policjanci zatrzymali też kobietę, Alenę Z., która miała przekazać zabójcy zapłatę, kierowcę mordercy oraz pośrednika między mordercą a zleceniodawcami. Alena Z. pracowała jako tłumaczka dla słowackiego biznesmena Mariana Kočnera, w sprawie którego Kuciak prowadził dziennikarskie śledztwo. Przedsiębiorca nie został jednak – przynajmniej na razie – zatrzymany ani oskarżony o cokolwiek.

OSZUŚCI NA KAŻDYM KROKU

W październiku zeszłego roku Europą wstrząsnęło morderstwo maltańskiej dziennikarki śledczej, która opisywała przypadki korupcji wśród polityków i której teksty dotyczące przestępczych powiązań liderów rządzącej Partii Pracy zmusiły ówczesnego premiera do ogłoszenia nowych wyborów. Daphne Caruana Galiza kontynuowała swoje śledztwa. „Oszuści są już teraz gdzie tylko się spojrzy. Sytuacja jest beznadziejna" – to jej ostatni tweet. Ktoś podłożył w jej samochodzie potężny ładunek wybuchowy.

Premier Malty Joseph Muscat oświadczył wówczas, że „osobiście zaangażuje się" w śledztwo. Do kraju ściągnięto ekspertów z FBI, Europolu, a także funkcjonariuszy z Finlandii i Holandii. W grudniu w jednej z największych operacji policyjnych w historii kraju aresztowano 10 osób podejrzanych o udział w morderstwie. Najbliżsi zamordowanej dziennikarki wątpią jednak w to, że śledztwo doprowadzi do zleceniodawców zabójstwa i w rozmowie z mediami zwracają uwagę na to, że śledczy skupiają się na dowodach kryminalistycznych zamiast na analizie podejrzanych transakcji finansowych, które mogłyby dostarczyć najważniejszych dowodów.

Włoski prokurator Carmelo Zuccaro wierzy, że morderstwo reporterki mogło mieć związek nie tylko z defraudacją unijnych pieniędzy, lecz także ze szmuglowaniem paliwa, w które zamieszane były grupy przestępcze w Libii, na Malcie oraz we Włoszech, a także sycylijska mafia. Świadczyć ma o tym m.in. profesjonalny sposób dokonania zbrodni, który jest jednocześnie jasnym przesłaniem wobec innych dziennikarzy: Jeśli nie zostawicie swoich śledztw, czeka was ten sam los.

„Oszuści są już teraz gdzie tylko się spojrzy. Sytuacja jest beznadziejna" – to ostatni tweet maltańskiej dziennikarki. Ktoś podłożył w jej aucie potężny ładunek wybuchowy

Już dawno prawdy tej powinni się nauczyć reporterzy w Rosji. Szacuje się, że za rządów Władimira Putina mogło zostać zabitych nawet 160 dziennikarzy. Wciąż jednak nie brakuje tam odważnych, którzy idą śladami Anny Politkowskiej (zabitej z inspiracji Kremla w 2006 r.). Tamtejsi śledczy nawet nie próbują udawać, że zależy im na znalezieniu winnych. Maksim Borodin – reporter, który demaskował prawdę o rosyjskiej wojnie w Syrii, w tym o masakrze rosyjskich najemników z grupy Wagnera – w kwietniu wypadł z balkonu swojego mieszkania na czwartym piętrze w Jekaterynburgu na Uralu. Jego rewelacje były szkodliwe dla Kremla, który konsekwentnie przekonuje, że Rosjanie nie biorą udziału w żadnych walkach. Musiały też szczególnie zirytować samego Władimira Putina, który wówczas prowadził akurat kampanię przed wyborami prezydenckimi. Śmierć Borodina lokalne władze szybko zamiotły więc pod dywan, przekonując, że ponieważ drzwi do mieszkania dziennikarza były zamknięte, to nikt inny nie mógł do niego wejść ani z niego wyjść, co musiało oznaczać „samobójstwo" lub „nieszczęśliwy wypadek".

Leonid Wołkow, współpracownik Aleksieja Nawalnego, zasugerował na Facebooku, że Borodin miał problem alkoholowy i czuł się nikomu niepotrzebny. Rosyjscy rządowi cyngle byli na tyle pewni siebie, że w tym przypadku nie zostawili nawet „listu samobójczego". Władza działa jednak sprawnie: lokalny aktywista Wiaczesław Baszkow opowiedział mediom, że dzień przed śmiercią dziennikarza odebrał od niego telefon. Borodin miał powiedzieć, że jest otoczony przez funkcjonariuszy ze służb, na balkonie stoi człowiek z bronią, a na schodach są ludzie w kamuflażu i maskach. Prosił Baszkowa, aby znalazł mu dobrego prawnika. Po jakimś czasie zadzwonił zaś ponownie i skruszonym głosem stwierdził, że się pomylił, bo „najwyraźniej były to jakieś ćwiczenia". Baszkow opowiadał w mediach, że gdy zgłosił się z tym na komisariat, czuł, że nie jest mile widziany, a w pewnym momencie był wręcz zastraszany. Okoliczności śmierci Borodina nadal są zaś zagadką.

ZEMSTA KSIĘCIA?

Nadal nieznane są też losy saudyjskiego dziennikarza. 59-letni Dżamal Chaszodżdżi po przeprowadzonej przez księcia Muhammada ibn Salmana fali aresztowań wśród saudyjskich elit od kilkunastu miesięcy przebywał na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Miał powody, aby się bać. Doświadczony redaktor i niepokorny felietonista znany był m.in. z cyklu krytycznych artykułów wobec polityki prowadzonej przez saudyjską rodzinę królewską publikowanych na łamach dziennika „The Washington Post". Władze niezwykle konserwatywnego islamskiego królestwa rugał m.in. za brak wolności słowa, wojnę w Jemenie czy zastraszanie intelektualistów i duchownych, których ponad setka trafiła w zeszłym roku do saudyjskich więzień. Księcia Salmana określał mianem „zuchwałego i agresywnego" przywódcę, który „zachowuje się niczym Putin". Od 2017 r. otrzymywał z tego powodu pogróżki, mające zmusić go do milczenia.

2 października Chaszodżdżi wszedł na teren konsulatu Arabii Saudyjskiej w Stambule, aby załatwić formalności związane z zamiarem zawarcia małżeństwa z Turczynką Hatice Cengiz, a dokładniej odebrać dokumenty poświadczające jego wcześniejszy rozwód. Teoretycznie powinna to być tylko formalność. Wiedział jednak, że w jego przypadku może to być niebezpieczne. – W pewnym momencie powiedział: może lepiej, jeżeli nie pójdę. Bał się, że może stać się coś złego – wspomina narzeczona, która feralnego dnia czekała na swego ukochanego przed saudyjską placówką. Nie doczekała się. Gdy zapytała strażnika, gdzie jest publicysta, usłyszała, że w środku nikogo już nie ma. Zgodnie z instrukcją publicysty natychmiast powiadomiła więc wówczas tureckie władze.

eprasa.pl a64665f984

Zdaniem lokalnych policjantów dziennikarz został bestialsko zamordowany w saudyjskim konsulacie w tym mieście, a następnie w barbarzyński sposób poćwiartowany na kawałki i wywieziony poza teren placówki. „Wszystko zostało nagrane na wideo, aby udowodnić, że misja została zakończona sukcesem, a taśmę wywieziono z Turcji – zdradził jeden z informatorów Reutersa.

Turcy dysponują m.in. listą nazwisk 15 Saudów, którzy 2 października przylecieli do Stambułu. Pojawili się w konsulacie w tym samym czasie co zaginiony dziennikarz, a następnie odlecieli z Turcji. Według tureckich śledczych mogli być oni zamieszani w morderstwo polityczne. – Wierzymy, że było to morderstwo z premedytacją – oznajmił informator Reutersa. Detektywi w Stambule sądzą, że do saudyjskiej placówki sześcioma samochodami przyjechał oddział morderców, a ciało krytycznego wobec księcia publicysty zostało wywiezione z konsulatu w czarnym vanie.

W sprawę zaangażował się zarówno prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, który zażądał od Arabii Saudyjskiej oficjalnych wyjaśnień, co się stało z dziennikarzem, jak i szef brytyjskiej dyplomacji Jeremy Hunt, sekretarz stanu USA Mike Pompeo, a nawet prezydent Donald Trump. Przed konsulatem protestowali również sympatycy publicysty, w tym jemeńska dziennikarka i laureatka Pokojowej Nagrody Nobla Tawakkul Karman.

Przedstawiciele Saudów twierdzą, że dziennikarz zginął już po opuszczeniu konsulatu. Nie mają na to żadnych dowodów. Następca saudyjskiego tronu, książę Muhammad ibn Salman, oznajmił więc, że władze królestwa pozwolą tureckim śledczym przeszukać placówkę.

W dniu zamykania tego wydania „Do Rzeczy" nie wiemy, czy policji udało się natrafić na jakiś trop. Zwolennicy reżimu nawet nie próbują ukrywać, co się stało. „Może zechciałbyś przejść obok saudyjskiej ambasady? Chcą zamienić z tobą słówko" – napisał na Twitterze do innego dysydenta w Turcji książę Khalid bin Abdullah bin Faisal bin Turki al-Saud.

Chaszodżdżi nie jest też pierwszym wrogiem władców Arabii Saudyjskiej, który nagle zniknął. W 1979 r. jak kamień w wodę przepadł w Bejrucie Nassir al-Sa'id, prominentny opozycjonista, który od lat 50. XX w. sprzeciwiał się rodzinie królewskiej. Nie znalazł się do dziś. Słuch zaginął też o saudyjskich książętach, którzy otwarcie wzywali do reform w królestwie. Na liście zaginionych znajduje się m.in. książę Turki bin Bandar – który w 2015 r., po ucieczce z Arabii Saudyjskiej do Paryża, zaczął publikować na YouTube apele o przeprowadzenie reform w królestwie. Pod koniec tego roku zniknął bez śladu.

W 2003 r. z przedmieść Genewy Saudyjczycy uprowadzili również saudyjskiego księcia Sułtana bin Turki bin Abdula-Aziza. W szwajcarskim pałacu swego wuja miał być pobity przez zamaskowanych sprawców, a następnie naszprycowany narkotykami i przewieziony na lotnisko, skąd trafił do aresztu w Arabii Saudyjskiej. Międzynarodowe zainteresowanie porwaniem sprawiło, że władze w Rijadzie przyznały, iż książę został wezwany do kraju, aby rozwiązać problemy, o których wspominał w zagranicznych wywiadach. Sułtanowi pozwolono następnie zamienić więzienie na areszt domowy, a następnie pozwolono mu wrócić do Genewy, gdzie w roku 2016 założył w sądzie sprawę o porwanie przeciwko saudyjskiemu rządowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl a64665f984

Nobel w cieniu #MeToo

Teresa Stylińska

Coraz częściej kryteria przyznawania Nagrody Nobla nie mają nic wspólnego z ideą jej twórcy, za to mieszczą się w nurcie poprawności i nowych „religii"

Dezynwoltura Komitetu Noblowskiego z Oslo prowadzi do tego, że nagradzani są prorocy nowych nurtów ideologicznych, tacy jak walczący o klimat Al Gore, ludzie bez żadnych dokonań, czego sztandarowym przykładem (przyznał to nawet kiedyś jeden z członków komitetu) jest Barack Obama, albo też ci, którzy robią wprawdzie rzeczy pożyteczne, ale słabo pasujące do idei nagrody. Jej fundator chciał świata bez wojen – cel tyleż prosty do zdefiniowania, co trudny do osiągnięcia. Nagroda miała być dla tych, którzy cel ten przybliżali.

Czy tegoroczni laureaci te wymagania spełniają? W zasadzie tak. Działalność Nadii Murad, jazydki z Iraku, i Denisa Mukwegego, lekarza ginekologa z Konga, wiąże się wprost ze zwalczaniem spustoszenia, które niesie ze sobą wojna. Chodzi o gwałty, których ofiarą padają kobiety we wszystkich wojnach i konfliktach. Ona doświadczyła tego na własnej skórze, on od lat leczy skutki, jakie pozostawia gwałt na ciele i w psychice kobiet.

Do tego momentu wszystko jest w porządku. Problem w tym, że to, co Nobel mógłby zaakceptować, zostało fatalnie wypaczone przez obowiązkowe skojarzenia z akcją #MeToo. W ten sposób nagroda, która powinna piętnować gwałt jako już nie tylko uboczny skutek wojny, lecz także narzędzie jej prowadzenia, stała się nagrodą za zwalczanie przemocy. Każdej przemocy.

Nadia Murad jest ofiarą dżihadystów z ISIS. Zabili jej matkę i wielu członków jej rodziny, ją samą zaś uprowadzili i – jak za dawnych czasów – sprzedali w niewolę. Przez swych właścicieli-oprawców przez wiele miesięcy była gwałcona i maltretowana, podobnie jak setki innych jazydek – wyznawczyń religii, której dżihadyści nienawidzą, widząc w niej religię szatańską. Gdy udało się jej uciec i w końcu przedostać do Europy, zaangażowała się w akcję przeciwko okrucieństwom, których dopuszczają się fanatycy muzułmańscy.

Denis Mukwege takie rany leczy. W swej klinice w Bukavu we wschodnim Kongu operuje zgwałcone kobiety i, wraz z gronem współpracowników, stara się przywrócić je do normalnego życia. Mówi się o nim, że – jakkolwiek fatalnie to brzmi po polsku – „naprawia kobiety". Bo ich oprawcy zazwyczaj nie poprzestają na gwałcie. Narządy kobiece oblewają żrącymi substancjami bądź przestrzeliwują. W Kongu konflikty wewnętrzne trwają właściwie niezmiennie od dziesięcioleci, ale nie przypadkiem właśnie wschodnie rejony tego kraju są nazywane światową stolicą gwałtów.

Gwałty jak świat światem zawsze towarzyszyły wojnom. Stały się świadomie stosowaną bronią. Widać to było jak na dłoni np. podczas wojny w Bośni ćwierć wieku temu. Masowe gwałty na kobietach miały zastraszyć przeciwników, przerazić ich tak bardzo, by zechcieli opuścić zamieszkiwane przez siebie tereny (przypomnijmy, że wojna w Bośni i w ogóle na Bałkanach była konfliktem wielostronnym). W ten oto

eprasa.pl a64665f984

Nadia Murad została w tym roku (razem z Denisem Mukwegem) laureatką Nagrody Nobla

FOT. ANDREW HARNIK/AP/EAST NEWS

sposób gwałty, uznane zresztą za zbrodnie wojenne, stały się narzędziem torującym drogę czystkom etnicznym.

Tegoroczni laureaci Nagrody Pokojowej, uczulający świat na ten tak bardzo ludzki wymiar wojen, mają niezaprzeczalne zasługi. Wątpliwości wokół ich nagrodzenia nie dotyczą więc tego, co sami robią, ale otoczki, w jakiej Komitet Noblowski dokonał wyboru. Czy otrzymaliby bowiem nagrodę, gdyby w tle nie było akcji #MeToo i całego szumu medialnego wokół tzw. (właśnie tak zwanej – w tym kontekście takie zastrzeżenie jest uzasadnione) przemocy wobec kobiet? Doktor Mukwege podobno od paru już lat był w ścisłym gronie kandydatów, spośród których po kolejnych etapach preselekcji dokonywano ostatecznego wyboru. Jednak dopiero akcja #MeToo podziałała jak potężny katalizator.

5 PAŹDZIERNIKA

Zbieżność jest zresztą daleko idąca. Nazwiska tegorocznych laureatów ogłoszono w Oslo 5 października. Dokładnie rok wcześniej na łamach dziennika „The New York Times" ukazał się artykuł, który stał się zarzewiem ruchu #MeToo. Opisano w nim wyczyny Harveya Weinsteina, jednego z wielkich producentów filmowych, który swą pozycję miał wykorzystywać, by na kobietach z branży filmowej wymuszać usługi seksualne.

Nie ma oczywiście żadnych podstaw do stwierdzenia, że członkowie komitetu chcieli to jakoś uczcić, ale cień podejrzeń jednak pozostaje. Na domiar złego od dobrych paru tygodni rozdmuchiwano oskarżenia pod adresem Bretta Kavanaugha, kandydata na sędziego Sądu Najwyższego USA (dziś już po zaprzysiężeniu), i dla komitetu, który dokonuje wyboru laureata na przełomie września i października, oskarżenia, choć nieudowodnione, mogły stanowić pewną inspirację. Dobrze przecież, gdy Nagroda Nobla trafia w ton wydarzeń i problemów aktualnych, szczególnie takich, które wysoce sobie ceni poprawność polityczna.

W tym przypadku widać to jak na dłoni. Tym bardziej że akcja #MeToo zwekslowała zainteresowanie nagrodą na nowe tory, odwracając je od dwojga laureatów i kierując je po prostu ku przemocy. Okazało się, że wielu komentujących nagrodę koncentruje się nie na gwałtach wojennych ani na cierpieniach kobiet, które padły ich ofiarą, lecz na tym, co mieści się generalnie w określeniu „przemoc", zwłaszcza seksualna. Tak jakby nagrodzono nie dwoje ludzi, którzy przeciwstawiają się okrucieństwom wojny, lecz celebrytki obnażające swe przeżycia na widoku publicznym.

NADSZARPNIĘTA POWAGA

Cierpią na tym waga i powaga Nagrody Nobla, która ciągle, mimo licznych potknięć w decyzjach komitetu, jest najbardziej prestiżową nagrodą świata. Alfred Nobel z pewnością tego nie przewidywał. Gdyby wiedział, że pewnego dnia laur, którym mieli być uwieńczeni ci, którzy najwięcej zrobili dla sprawy pokoju na świecie, muśnie pośrednio skroń aktoreczek, celebrytów i całej gromady ludzi, którzy dla pokoju nigdy nie kiwnęli palcem, zapewne przewróciłby się w grobie.

W tym roku u bukmacherów (zakłady bukmacherskie to wprawdzie niedoskonałe, ale jednak podstawowe źródło oceniania szans kandydatów) na pierwszych miejscach byli politycy zaangażowani w próby zaprowadzenia pokoju na Półwyspie Koreańskim: Donald Trump oraz prezydenci obu państw koreańskich – Mun Dze In i Kim Dzong Un. Zbrodniarz z Północy do roli laureata Nagrody Pokojowej na pewno się nie nadaje, dwaj pozostali jednak jak najbardziej. Jednak czy komitet, który nagradzał sadzenie drzew czy walkę o klimat, mógłby postawić na Donalda Trumpa? Nawet papież Franciszek, szósty–siódmy na liście, nie zdołał się przebić, choć to, że mówi o zmianach klimatu, znacząco zwiększa jego szanse.

Jest jednak ktoś, kto trafnie wytypował laureatów. To Henrik Urdal, dyrektor PRIO – Instytutu Badań nad Pokojem w Oslo. Szef instytutu, zgodnie z tradycją, od paru lat sporządza swą własną listę faworytów. Trafność wyboru może świadczyć zarówno o istnieniu przecieków (dyrektor instytutu wspomaga komitet, ale sam w nim nie zasiada), jak i o wyczuciu oraz intuicji.

Już po ogłoszeniu werdyktu komitetu zajrzałam na stronę PRIO. A tam na pierwszym miejscu widnieje wyeksponowany fragment bloga „O Nagrodzie Pokojowej i ruchu #MeToo". Jeden z profesorów instytutu snuje w nim wymowne rozważania, nie owijając niczego w bawełnę i nie bawiąc się w żadne niuanse. „Pokojowa Nagroda Nobla – pisze – została przyznana akurat w czasie, gdy obchodzimy pierwszą rocznicę ruchu #MeToo [...]. Chociaż w żadnym razie nie jest ona nagrodą dla #MeToo, to ruch ten ma cechy zbieżne z walką przeciwko przemocy seksualnej w konfliktach". I dodaje, że wielką zasługą #MeToo jest przesunięcie uwagi z ofiar ku sprawcom – a sprawcami są „mężczyźni, męska kultura i organizacje, które umożliwiają molestowanie i nadużycia seksualne".

A zatem można zrównywać okaleczone, gwałcone, umęczone ofiary wojen, nie tylko w Kongu, Iraku czy Syrii, z kobietami, które bez oporów i w świetle kamer – im bardziej pikantnie, tym lepiej – opisują, co takiego robili z nimi możni i wpływowi mężczyźni. Wszystkiemu przecież, jak to ujęła pani profesor z Oslo, winna jest „męska kultura", źródło molestowania i wszelkich nieszczęść. Dlatego sprawcom należy się przynajmniej tyle samo uwagi, co ofiarom, a może nawet więcej. To podejście kuriozalne.

Uwagi profesor z PRIO coś jednak tłumaczą: dlaczego Nagroda Pokojowa tak bardzo traci prestiż. Instytut w jakiejś mierze stanowi zaplecze intelektualne komitetu noblowskiego, który prosi specjalistów o ocenę dorobku kandydatów. Jeśli oceny są utrzymane w podobnym tonie i duchu, czas przestać się temu dziwić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

FOT. FOTOLIA

SELFIE SAMOZAGŁADY

Pracownicy amerykańskiej Narodowej Biblioteki Medycznej prześledzili przypadki zgonów podczas wykonywania selfie – czyli zdjęć samemu sobie. Z ich podsumowania wynika, że w latach 2011–2017 podczas wykonywania selfie zginęło co najmniej 259 osób. Co najmniej – bo zdaniem badaczy wiele zgonów z tego powodu nie jest oficjalnie odnotowanych, jak np. śmiertelne wypadki spowodowane przez kierowców robiących sobie fotografie.

WŁOSKI SYSTEM

Przerost biurokracji pozwala na istnienie urzędniczych mafii – to rzecz oczywista. Okazuje się, że najbardziej rozrosło się to we Włoszech. Tamtejsza Konfederacja Rzemiosła oraz Małych i Średnich Firm opublikowała raport dotyczący wydatków i upoważnień oraz wniosków, które wymagane są w gminach, aby założyć różne rodzaje działalności gospodarczych. Nie jest lekko. Aby otworzyć bar, trzeba spełnić 71 wymagań i ponieść koszty administracyjne sięgające 14 tys. euro. A np. otwarcie zakładu fryzjerskiego musi poprzedzać spełnienie 65 warunków wymaganych przez 26 różnych urzędów – co kosztuje ponad 17 tys. euro. Najwięcej zabiegów wymaga otwarcie warsztatu samochodowego (18,5 tys. euro kosztów i w sumie blisko 90 różnych dokumentów, zgód i zaświadczeń).

KOMPUTER SZOWINISTA

Jest mocny argument dla tych, których mierzi odgórne zarządzanie odsetka kobiet (czy to na listach wyborczych, czy w składach zarządów firm). Okazało się, że algorytm gigantycznej firmy – Amazon – który pomagał w rekrutacji nowych pracowników, odrzucał kandydatury tych, którzy w CV mieli ujęte słowo „kobiecy". Okazało się, że modele wprowadzone do sztucznej inteligencji opierały się na życiorysach ludzi z firmy zebranych z 10 lat – a tak się składało, że większość stanowili mężczyźni. Algorytm „nauczył się" więc, że preferowani są kandydaci męscy. Zespół rekrutacyjny, który korzystał z komputerowego algorytmu, rozwiązano w 2017 r. Amazon odmawia komentowania tej sprawy.

„USZANKI" WAGI PAŃSTWOWEJ

Premier Dmitrij Miedwiediew podpisał niedawno rozporządzenie w sprawie zaopatrzenia rosyjskiej armii. Okazało się, że nowe wytyczne dotyczące umundurowania wymieniają „czapki" zamiast dotychczasowych „czapek uszanek". Zawrzało po tym nawet w dumie – wiceszef komisji obrony bronił prawa żołnierzy do „uszanek" i wskazywał, że w sprawie nakrycia głowy żołnierzy decyzje nie mogą być oparte wyłącznie na względach praktycznych i musi być też brany pod uwagę aspekt patriotyczno-wychowawczy. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wolności sumienia

Władze miejskie Werony w akcji „Werona za życiem" przegłosowały wniosek (21 przeciw 6) dotyczący wsparcia dla inicjatyw mających zapobiegać aborcji.

Po pierwsze, radnym chodziło o wsparcie dla fundacji pomagających finansowo tym kobietom, które mają zamiar usunąć ciążę z powodu braku pieniędzy. Po drugie, o rozpropagowanie i wsparcie dla akcji „Ukryta kołyska", która pozwala kobietom anonimowo urodzić dziecko i oddać je do adopcji, zamiast usunąć płód.

Wydawałoby się, że pod takimi inicjatywami śmiało mógłby się podpisać cały obóz postępu. Tymczasem radni lewicowej Partii Demokratycznej (PD) głosowali przeciw. Z jednym wyjątkiem. Przewodząca im Carla Padovani, która wywodzi się z lewicy katolickiej, wniosek wsparła.

Chociaż w Italii w głosowaniach nad kwestiami sumienia i etyki dyscyplina partyjna nie obowiązuje, rozpętało się piekło. Lewicowcy nie chcą już takiej przewodniczącej. Sekretarz generalny partii Maurizio Martina uznał, że pani Padovani popełniła gruby błąd, a przegłosowany wniosek godzi w niezbywalne prawo do aborcji, demokrację, wolność wyboru i „cofa nas do średniowiecza". Wielu działaczy PD, jak choćby były minister sprawiedliwości Andrea Orlando, domaga się wyrzucenia kobiety z partii, bo „sprzeniewierzyła się podstawowym lewicowym wartościom".

Tymczasem art. 2 kodeksu etycznego partii mówi: „Kobiety i mężczyźni z PD uważają pluralizm za skarb. Jako metodę poszukiwania wspólnego stanowiska wybierają demokratyczną wymianę poglądów". Znów wystarczyło tylko lekko podrapać i spod błyszczącego demokratycznego lakieru wyleźli bolszewik oraz zideologizowany zamordysta. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl a64665f984

OFERTA SPECJALNA. TYLKO TERAZ W PAKIECIE Z E-WYDANIEM

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Prenumerata półroczna tygodnika „Do Rzeczy” z zestawem prezentowym

pakiet 4 książek:
P. Gociek „Demokrator”,
R. Ziemkiewicz „Sanacja czy demokracja”
P. Lisicki „Epoka Antychrysta”
i „Luter. Ciemna strona rewolucji”
+ słuchawki + e-wydanie

+ e-wydanie

Cena: 139 zł
Oszczędność: 329 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a64665f984

FOT. FOTOLIA

Ile warta jest Polska

Maciej Pieczyński

Londyńscy analitycy wysoko wyceniają polską markę. Jesteśmy jednym z najbardziej przyjaznych krajów dla inwestorów zagranicznych. Coraz lepiej się też u nas żyje, gorzej jest z wolnością gospodarczą

Marka narodowa pod nazwą „Polska" warta jest 654 mld dol. Tym samym zajęła siódme miejsce wśród państw Unii Europejskiej oraz 23. miejsce na świecie w rankingu marek narodowych Nation Brands. Wyceny dokonała londyńska firma doradcza Brand Finance. Ranking sporządzany jest co roku na podstawie kilkudziesięciu zmiennych. Wartość konkretnej marki narodowej zależy w głównej mierze od czynników makroekonomicznych oraz od rozmiaru gospodarki. W mniejszym stopniu wpływ na wycenę mają bieżąca polityka czy działania promocyjne. „Dzięki pozytywnym prognozom gospodarczym Polska odnotowała czternastoprocentowy wzrost wartości marki narodowej, nieco powyżej średniego światowego poziomu wzrostu rzędu 12 proc., co pozwoliło na utrzymanie 23. pozycji w rankingu" – stwierdził w rozmowie z PAP Konrad Jagodziński z firmy Brand Finance.

JEST CORAZ LEPIEJ

Najcenniejszą marką na świecie, co nie dziwi, mogą się pochwalić Stany Zjednoczone. Wycenione zostały na 26 bln dol. Drugie miejsce zajęły Chiny. Państwo Środka warte jest o ponad połowę mniej niż USA – 12,6 bln dol. Podium zamykają Niemcy z wynikiem 5,1 bln. Na kolejnych pozycjach plasują się Wielka Brytania (3,7 bln) oraz Japonia (3,6 bln).

Polska gospodarka coraz skuteczniej podbija światowe rankingi. Grupa analityków „Financial Times" sporządziła niedawno listę krajów najbardziej sprzyjających zagranicznym inwestycjom. Łączna wartość inwestycji zagranicznych w naszym kraju za rok 2017 to 15 mld dol. To o 8 proc. więcej niż w roku poprzednim. Polska znalazła się tym samym na trzecim miejscu w Europie, ustępując jedynie niewiele Rosji (16 mld dol.) oraz Wielkiej Brytanii (przewaga lidera nad pozostałymi jest niekwestionowana – wartość inwestycji na Wyspach to aż 33 mld dol.). W rankingu wyprzedziliśmy za to Rumunię, Irlandię, Turcję, Holandię, Francję, Hiszpanię, a nawet Niemcy (wartość inwestycji – 13,7 mld dol.). W Polsce stworzono również najwięcej w całej Europie miejsc pracy w ramach bezpośrednich inwestycji zagranicznych typu greenfield, czyli takich, które są realizowane na terenie dotychczas niezabudowanym, pozbawionym infrastruktury, najczęściej wcześniej rolniczym, leśnym bądź też rekreacyjnym. Jesteśmy krajem wyjątkowo przyjaznym dla kapitału zagranicznego. Znaleźliśmy się na piątym w Europie miejscu pod względem liczby bezpośrednich inwestycji zagranicznych (BIZ), a więc takich, które zakładają międzynarodowy transfer kapitału w celu utworzenia w innym kraju podmiotu zależnego i sprawowania nad nim kontroli. Liczba BIZ w Polsce wzrosła o 24 proc. – do 338.

Jeśli wierzyć rankingom, to Polska jest coraz lepszym miejscem do życia. Pod tym względem naprawdę nie mamy powodów do pesymizmu. Amerykańska firma Boston Consulting Group co roku przeprowadza globalne badanie jakości życia SEDA. Z opublikowanego w lipcu raportu wynika, że zajmujemy 26. miejsce na świecie. Od 2009 r. awansowaliśmy aż o 10 pozycji. To najbardziej spektakularny wzrost jakości życia w rankingu. Żaden z notowanych w zestawieniu krajów nie może pochwalić się tak wyraźnym postępem. Pod względem dynamiki wzrostu jakości życia wyprzedziliśmy nawet Chiny, o których skokowo rosnącej potędze mówi się przecież od dawna. W czołówce stawki uplasowały się takie państwa jak Norwegia, Szwajcaria, Islandia, Dania, Szwecja i Luksemburg. W przeprowadzonym przez amerykańskich analityków badaniu uwzględniane są nie tylko wskaźniki ekonomiczne, lecz także takie czynniki jak jakość opieki zdrowotnej, równość

eprasa.pl a64665f984

społeczna, stan środowiska naturalnego, stan infrastruktury, edukacja. „Poprawiliśmy się" aż w 34 różnych kategoriach, branych pod uwagę przez autorów zestawienia. „Pozycję naszego kraju w rankingu budują postępy w rozwoju infrastruktury oraz poprawa sytuacji na rynku pracy, która przekłada się również na dochody Polaków. Tym, co przez lata wyróżniało Polskę na tle innych rosnących gospodarek, była zdolność do tego, żeby wzrost gospodarczy nie odbywał się kosztem środowiska naturalnego. Cały czas mamy jednak wiele do zrobienia, chciałbym za kilka lat widzieć Polskę w pierwszej dwudziestce rankingu" – mówił w rozmowie z „Rzeczpospolitą" Franciszek Hutten-Czapski, szef Boston Consulting Group w Polsce.

Pozytywnie polską gospodarkę ocenia również agencja ratingowa Moody's. Ocenę „A2" – szóstą najwyższą z przyznawanych przez agencję – otrzymaliśmy już w 2002 r. W maju 2016 r. została ona obniżona. Po roku analitycy powrócili do poprzedniej, wysokiej oceny. „Stabilna perspektywa ratingu Polski odzwierciedla pogląd Moody's, że ryzyka dla niego są zbilansowane. Wyraża również nasze oczekiwanie, że wzrost gospodarczy pozostanie solidny mimo wyzwań w otoczeniu instytucjonalnym. Ponadto daje wyraz naszemu oczekiwaniu, że deficyt pozostanie poniżej poziom 3 proc. PKB" – czytamy w komentarzu agencji.

NIEIDEALNIE

Są też jednak wskaźniki ekonomiczne, w których mamy wiele do poprawy. W rankingu wolności gospodarczej zajmujemy dalekie, 54. miejsce wśród 162 krajów świata. Tak wynika z zaprezentowanego przez Centrum im. Adama Smitha tegorocznego Raportu Wolności Gospodarczej Świata. W rankingu brane są pod uwagę takie dane jak rozmiar opodatkowania, państwo prawa, ochrona własności prywatnej, swoboda wymiany międzynarodowej. Długookresowy wzrost wolności gospodarczej w Polsce zakończył się w 2014 r. (byliśmy wówczas na 45. miejscu na świecie). W kolejnych latach wskaźnik ten spadał. „Na dokładną wycenę wpływu zmian polityczno-gospodarczych przeprowadzanych przez PiS i koalicjantów w roku 2018 na poziom polskiej wolności gospodarczej trzeba będzie poczekać do roku 2020, ale już dziś widać, że czeka nas kolejny spadek poziomu IWG i naszego miejsca w światowym rankingu" – oceniał prof. Andrzej Kondratowicz, ekspert Centrum im. Adama Smitha, w rozmowie z „Najwyższym Czasem". W tym roku znaleźliśmy się też na czwartym miejscu od końca w Europejskim Rankingu Innowacyjności.

Trudno zatem jednoznacznie ocenić jakość rozumianej szeroko „marki Polska". Niewątpliwie wielkie znaczenie ma fakt, że od niedawna jesteśmy uznawani oficjalnie za kraj rozwinięty. Ponadto jednak tylko jedna polska spółka została zaliczona do grona dużych spółek indeksów rynków rozwiniętych FTSE Russell – jest nią bank PKO BP. – Okazuje się, że polskie instytucje gospodarcze tak naprawdę nie funkcjonują. Większość firm albo zlikwidowaliśmy, albo sprzedaliśmy podmiotom zagranicznym. Tym samym spora część dochodów jest transferowana do krajów, z których pochodzi kapitał obcy. Przeżywamy zapaść demograficzną – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Cezary Mech, ekonomista, były wiceminister finansów, dając do zrozumienia, że wysoka pozycja w rankingach bezpośrednich inwestycji zagranicznych niekoniecznie musi stanowić o sile polskiej gospodarki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

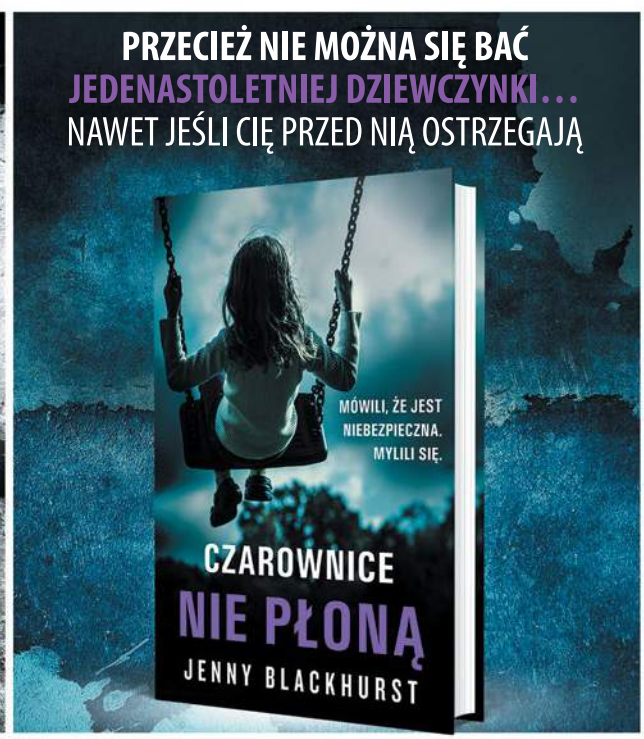

Wydawnictwo Albatros

Książki dostępne w KSIĘGARNIE Świat Książki i na swiatksiazki.pl

eprasa.pl a64665f984

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wszystko na prąd!

Rząd wyznacza coraz ambitniejsze cele w realizowaniu swego – nie ma co unikać tego słowa – rewolucyjnego planu uczynienia z Polski kraju do imentu elektromobilnego. W końcu chyba tylko takim – nie innym – mianem da się celnie scharakteryzować zamiar, by w ciągu 10 lat liczba jeżdżących po Polsce aut na prąd wzrosła z obecnych 2 tys. do miliona. Tym bardziej że w pierwszym kwartale tego roku w Niemczech zarejestrowano ponad 17,5 tys. „elektryków", a w poddanej rygorom, było nie było rządowego, programu elektromobilności Polsce jedynie… 340.

W ramach wyznaczania owych nowych celów wkrótce po polskich miastach mają jeździć już nie tylko elektryczne autobusy, lecz także elektryczne śmieciarki i wszelkiego innego rodzaju pojazdy sprzątające, choć nie bardzo wiadomo, skąd je wziąć. Rząd wprowadził przepisy, z których wynika, że firma, która nie będzie w ten sposób – i to co najmniej w 10 proc. – „zelektryfikowana", od 2020 r., a więc już całkiem niedługo, nie będzie mogła wygrać przetargu na sprzątanie miast.

W realizowanie rządowego planu, czyli zakup aut na prąd, włączają się też, rzecz jasna, instytucje publiczne, płacąc za nie – bo inaczej się przecież „elektryka" kupić nie da – jak za zboże. Centrum Obsługi Administracji Rządowej ogłosiło przetarg na zakup samochodów elektrycznych i hybrydowych, które trafią do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Energii i Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Kilka aut na prąd zamierza kupić Kancelaria Prezydenta. Aż 15 sztuk elektrycznych bmw i3 zafundowały sobie Lasy Państwowe. Z kolei znajdująca się – jak powszechnie wiadomo – w rewelacyjnej sytuacji finansowej TVP zdecydowała, że do 2020 r. kupi aż 120 aut elektrycznych.

To jedynie dopiero przedsmak tego, co nas czeka i za co – jako podatnicy – będziemy musieli słono zapłacić. Otóż z przyjętej w tym roku ustawy o elektromobilności wynika, że do 2020 r. aż 10 proc. floty wszystkich centralnych organów administracji oraz niektórych samorządowych powinny stanowić samochody na prąd. A w 2025 r. takich aut ma być już połowa!

I wszystko to można byłoby pewnie jakoś znieść, tak jak każdą ekstrawagancję, fanaberię władzy, gdyby nie wciąż koszmarnie wysokie ceny aut na prąd, ich wciąż relatywnie małe zasięgi, no i oczywiście, gdyby nie strach, że w konsekwencji będziemy potrzebować dużo więcej prądu – a ten nie dość, że produkuje się u nas głównie z „brudnego" węgla i rząd w tej akurat sprawie nie ma żadnej „czystej" propozycji, to jeszcze w dodatku z węgla w coraz większej części sprowadzanego z Rosji, bo polscy górnicy-arystokraci nie są go w stanie w potrzebnej ilości i cenie wydobyć. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Nieefektywna edukacja

Cztery lata przedszkola, osiem podstawówki, cztery liceum i pięć do magisterki to 21 lat edukacji, żeby być gotowym do podjęcia samodzielnego życia, uzbrojonym w wyższe wykształcenie. Gdy porównam moją szkołę podstawową, średnią i studia jakieś 30–40 lat temu i szkoły oraz uczelnie moich dzieci, to nie widzę znaczącej różnicy. Mechanizmy uczenia pozostały takie same: posłuchać nauczyciela na lekcji lub wykładzie, odrobić pracę domową, zdać test lub egzamin w celu sprawdzenia, czy opanowałem materiał.

Magister trafi na rynek pracy w wieku 21 lat, trzy lata wcześniej

Ile z tego faktycznie pozostaje młodzieży w głowach po zdaniu testu lub egzaminu? Ile z tego jest potem przydatne w życiu zawodowym? Jakieś 10 proc. Tak! Jakieś 90 proc. wiedzy, z którą zetkniemy się przez 21 lat edukacji, wleci nam jednym uchem i wyleci drugim.

Natomiast jeżeli porównamy dowolny inny sektor w minionych 30–40 latach, to od razu dostrzeżemy dramatyczne zmiany: samoloty, samochody, telewizory, telefony, banki, sport wyczynowy, kina, sklepy, nie wspominając o e-commerce, nawet ochrona zdrowia... Wszędzie miały miejsce zasadnicze zmiany uwzględniające pojawienie się nowych technologii. Jednak nie w edukacji, tutaj kluczowe procesy biznesowe pozostały bez zmian.

Dlaczego we wszystkich innych sektorach efektywność silnie wzrosła, a w edukacji ciągle potrzeba dwóch dekad, żeby przygotować młodego człowieka do życia zawodowego? A z narzekań pracodawców można wnioskować, że system edukacji słabo się z tego zadania wywiązuje. Być może nadszedł czas, aby Polska dała przykład innym krajom i dokonała gruntownej reformy systemu edukacji, skupiając się na kompetencjach kluczowych w XXI w.?

Jeżeli zmienimy metody kształcenia i weryfikacji efektów kształcenia tak, aby uwzględnić indywidualne predyspozycje uczniów oraz interaktywne metody uczenia się, to wówczas można by zmniejszyć współczynnik utraty wiedzy z 90 do np. 70 proc. i skrócić okres kształcenia magistra, urywając po roku w szkole, w liceum i na studiach. Wtedy znacznie lepiej przygotowany do życia zawodowego magister trafi na rynek pracy w wieku 21 lat, trzy lata wcześniej.

Oczywiście trzeba uwzględnić nie tylko wiedzę, lecz także dojrzałość emocjonalną dzieci, kształtowanie postaw i wiele innych kryteriów. Jednak kiedyś trzeba zacząć. Bo jak długo można tolerować to, że smartfony, internet rzeczy i sztuczna inteligencja zmieniają funkcjonowanie wszystkich sektorów, poza edukacją, która pozostaje wyraźnie w tyle? ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl a64665f984

TEST „DO RZECZY": SENNHEISER MOMENTUM WIRELESS M2 IEBT

Bardzo dobra jakość dźwięku oraz mikrofon pozwalający na prowadzenie rozmów telefonicznych – to najważniejsze zalety bezprzewodowych słuchawek dousznych niemieckiej firmy Sennheiser.

Po stronie plusów można też wpisać wygodne etui transportowe oraz układ NFC do szybszego parowania z urządzeniami. Skupmy się jednak na najważniejszym, czyli na dźwięku. Jak na bezprzewodowe słuchawki ten jest zaskakująco dobry. Świetnie brzmią w nich zarówno basy, jak i wysokie tony. Nie zawiodą się też fani szerokiej sceny muzycznej.

Model Sennheiser Momentum Wireless M2 IEBT to produkt klasy premium, ale te słuchawki w niczym nie przypominają flagowych produktów konkurencji. W przeciwieństwie do np. Apple AirPods – gdzie obie słuchawki są bezprzewodowe – niemiecki model bazuje na pałąku szyjnym, do którego podczepione są słuchawki.

Obłożony prawdziwą skórą masywny pałąk jest wygodny w noszeniu. Jego zaletą jest również choćby łatwy i wygodny dostęp np. do przycisków regulowania głośności, a także to, że swobodnie można wyjąć z ucha jedną słuchawkę lub nawet obie bez obawy, że gdzieś je zagubimy.

Taki design nie wszystkim musi się jednak podobać. Jego zastosowanie w połączeniu z czerwono-czarnym kablem, którym z pałąkiem połączone są słuchawki, sprawia bowiem, że użytkownik mocno zwraca na siebie uwagę otoczenia. Poza tym słuchawki wydają się stosunkowo ciężkie (ważą jednak tylko 53 g). Konstrukcja tego modelu może przeszkadzać np. podczas joggingu czy dynamicznych ćwiczeń na siłowni – w wyniku gwałtownych ruchów pałąk co chwila podskakuje i obraca się na szyi, co zabija przyjemność z dobrego dźwięku. Istotną wadą w polskim klimacie jest też brak wodoszczelności.

W domowych, a zwłaszcza w biurowych warunkach ten model słuchawek sprawdza się jednak świetnie. Pomijając dziwaczny wygląd, douszne słuchawki świetnie wyciszają otaczający hałas, niemal zupełnie odcinając użytkownika od rozpraszających pogaduszek o dzieciach, nauczycielach, mężach i innych plagach.

Akumulator o pojemności 170 mAh wystarcza na 9–10 godz. słuchania muzyki lub prowadzenia rozmów telefonicznych.

Jak przystało na słuchawki klasy premium, cena tego modelu jest wysoka i wynosi aż 579 zł.

©℗ ***Jacek Przybylski***

COŚ DLA PISMAKÓW

Chciałbyś wreszcie napisać książkę, kronikę, pamiętnik? Ba, otrzymałeś już zamówienia od wydawców, tylko masz problem z czasem, bo ciągle jesteś w podróży, ciągle w pracy, w samochodach, samolotach, pociągach, hałaśliwych hotelach? A gdy już znajdziesz chwilę i rozłożysz się z laptopem, cały dostępny czas zżera sprawdzanie Facebooka, Twittera i YouTube? Jest wreszcie na to lekarstwo, choć niestety trzeba się liczyć z niemałym wydatkiem. Traveler jest elektronicznym urządzeniem do pisania, edycji i wysyłania tekstów w kilku popularnych formatach plików. Podkreślam – gadżetem wyłącznie do pisania, co oznacza, że na poręcznych rozmiarów otwieranym pudełku składającym się wyłącznie z ekranu i klawiatury (jej rozmiar pozwala na swobodne pisanie) nie znajduje się nic więcej poza edytorem tekstu. Żadnych mediów społecznościowych, kanałów muzycznych, nic, zero. Dodatkowe zalety? Czterotygodniowa żywotność baterii, pełnowymiarowa klawiatura, składana konstrukcja i synchronizacja z Dropboxem, Evernote oraz Google Drive.

Są jednak i wady. Nie sprawdzi się niczego w trakcie pisania w Google czy Wikipedii. Traveler: Ultimate Distraction-Free Writing Tool można zakupić na Indiegogo, ale dostawa nastąpi dopiero w lipcu przyszłego roku. Cena: ok. 1,2 tys. zł.

POWIOSŁUJ SOBIE

Jeżeli lubicie spalać kalorie w domowym zaciszu, a czujecie się już znudzeni stacjonarnymi rowerkami, bieżniami, orbitrekami, steperami, ławeczkami do wyciskania, to... może kajaczek? Tak, to też już było, ale Hydrow nie jest kajaczkiem typowym. To stacjonarne urządzenie pozwalające na imitowanie ruchów mięśni niezbędnych do wiosłowania połączone jest jednocześnie z elektronicznym monitorem, na którego ekranie możecie oglądać siebie... płynącego w kajaku, w dowolnie wybranej scenerii. Oczywiście im szybciej wiosłujecie na urządzeniu, tym szybciej płyniecie na ekranie rzeką; im bardziej jesteście zmęczeni, tym ruchy wioślarza są wolniejsze; im wyższy poziom trudności, tym bardziej woda jest rwąca, spieniona.

Producent przekonuje, że ćwiczenie na Hydrow angażuje 86 proc. mięśni całego ciała, a 20 minut treningu pozwala spalić nawet 400 kalorii.

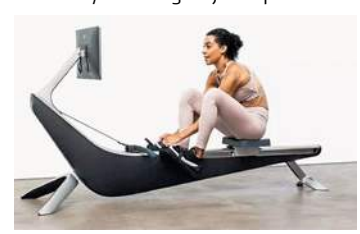

Zamawiać urządzenie można na Indiegogo, dostawa zaplanowana jest na maj przyszłego roku. Cena przekracza 3,5 tys. zł.

©℗ ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a64665f984

FOT. FOTOLIA

Zdrowe serce, zdrowy mózg

Katarzyna Pinkosz

Startują programy, które mają poprawić sytuację pacjentów z chorobami serca i po udarze. Kiedy przyniosą efekty?

Aż 175 tys. osób w Polsce co roku umiera z powodu chorób serca. To wciąż główna przyczyna zgonów. Żeby tę liczbę zmniejszyć, konieczna jest nie tylko lepsza profilaktyka, lecz także poprawa leczenia. – Jesteśmy w czołówce UE, jeśli chodzi o system leczenia zawału serca. Trzydzieści lat temu śmiertelność w ostrym zawale serca w szpitalach sięgała 25 proc., czyli co czwarty chory umierał. Dzisiaj śmiertelność w ostrym zawale w najlepszych ośrodkach w Polsce jest niższa niż 5 proc. Taki przełom nie dokonał się w innych dziedzinach medycyny – mówi prof. Piotr Ponikowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. W ten sposób sanitariuszka Helena Wołłowicz „Rena" uratowała młodego żołnierza Rajmunda Kaczyńskiego „Irkę". Znali się przed powstaniem, jeszcze z konspiracji. – Kaczyński prowadził szkolenia w moim oddziale. Myślę zresztą, że on się wówczas we mnie podkochiwał – mówi pani Wołłowicz.

Niestety, te sukcesy często były marnowane z powodu braku opieki po wyjściu ze szpitala. Długi czas oczekiwania na wizytę do kardiologa powodował, że część pacjentów takiej wizyty nie doczekiwała – umierała wcześniej. Sytuację ma poprawić funkcjonujący od października 2017 r. program pilotażowy KOS-zawał: koordynowanej opieki po zawale serca. Dzisiaj realizuje go już 50 ośrodków w Polsce. – Pacjent na cały rok ma rozpisane wizyty w ośrodku, jest pod stałą opieką specjalistów. O takiej dostępności do świadczeń trudno mówić w innych krajach Europy – przekonuje prof. Ponikowski.

– Obecnie w województwie śląskim ok. 80 proc. pacjentów rozpoczyna rehabilitację w okresie poniżej 14 dni od wypisu ze szpitala. Dla porównania przed wdrożeniem programu KOS-zawał w 50 proc. przypadków opóźnienie wynosiło ponad 52 dni – dodaje prof. Piotr Jankowski z Kliniki Kardiologii i Nadciśnienia Tętniczego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

POMOC W UDARACH

W siedmiu ośrodkach w Polsce startuje program pilotażowy mechanicznej trombektomii u chorych z niedokrwiennym udarem mózgu. To metoda usuwania z tętnicy skrzepliny wywołującej udar niedokrwienny. Trombektomię trzeba zastosować jak najszybciej, dlatego pacjent po udarze powinien zostać szybko dowieziony do specjalistycznego ośrodka, działającego 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Na razie na taką opiekę będą mogli liczyć tylko pacjenci w siedmiu ośrodkach – z Gdańska, Warszawy, Krakowa, Lublina, Grodziska Mazowieckiego, Katowic i Rzeszowa. Mała liczba ośrodków w pilotażu to spory zawód dla specjalistów zajmujących się trombektomią, jednak Ministerstwo Zdrowia twierdzi, że system trzeba najpierw sprawdzić. – Chciałbym, żeby w ciągu 12 miesięcy sieć udarowa pokryła cały kraj, żeby niezależnie od tego, czy pacjent ma udar w mieście małym, dużym czy na wsi, miał szansę na leczenie zabiegowe, jeśli się do niego kwalifikuje – mówi minister zdrowia Łukasz Szumowski.

CZAS NA KONS

Wkrótce ma też ruszyć program pilotażowy KONS – Koordynowanej Opieki nad chorymi z Niewydolnością Serca. Ta choroba jest dziś określana mianem epidemii: w Polsce choruje na nią od 700 tys. do miliona osób, a rocznie umiera z jej powodu dwa razy więcej pacjentów niż z powodu zawału serca.

Głównym objawem niewydolności serca jest nietolerancja wysiłku. Chory ma duszność (na początku tylko po wysiłku, potem także w spoczynku). Serce nie jest w stanie przepompować odpowiedniej ilości krwi. Program KONS ma na celu zapobieganie niewydolności serca i jej leczenie oraz kompleksową opiekę nad chorymi. Do tej pory często nie byli oni odpowiednio leczeni, trafiali do szpitali w przypadku zaostrzeń choroby, tymczasem można leczyć ją tak, by do zaostrzeń nie dochodziło.

Przy podejrzeniu niewydolności serca lekarz rodzinny ma skierować chorego na diagnostykę do specjalistycznego ośrodka. Po potwierdzeniu diagnozy i ustaleniu leczenia pacjent wróci pod opiekę lekarza rodzinnego, który będzie w stałym kontakcie ze specjalistą. Niewielka grupa chorych z bardzo zaawansowaną niewydolnością pozostanie pod opieką tzw. centrów doskonałości. – W żadnym innym kraju na taką skalę nikt do tej pory takiego programu nie realizował. Liczę, że Polska będzie światowym liderem także w koordynowanym programie opieki nad pacjentem z niewydolnością serca KONS – ocenia prof. Ponikowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a64665f984

Z Agnieszką Wołczenko ze stowarzyszenia Eco Serce
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Okiem pacjenta

KATARZYNA PINKOSZ: Dwa lata temu przeszła pani zawał serca. W dość młodym wieku.

AGNIESZKA WOŁCZENKO: Średnia wieku pacjentów kardiologicznych dramatycznie się obniża, mnie to także spotkało. Miałam 47 lat. Na szczęście córka zorientowała się, że to nie jest tylko przemęczenie, i szybko wezwała pomoc. Pierwszy raz serce zatrzymało mi się w karetce, drugi – na stole operacyjnym. Żyję, bo widocznie ktoś „tam, na górze" uznał, że mam tu jeszcze coś do zrobienia. Choroby kardiologiczne stanowią najczęstszą przyczynę zgonów, a życie po zawale zmienia się diametralnie. Dlatego robię, co mogę, aby zwrócić uwagę na realne problemy pacjentów.

W leczeniu zawałów serca polscy kardiolodzy interwencyjni są najlepsi w Europie. Jakie problemy mają dziś pacjenci kardiologiczni w Polsce?

Pomimo tego, że sytuacja się poprawia i zostały wprowadzone pilotażowe programy – KOS, a teraz KONS – w dalszym ciągu problemów jest wiele. Jestem osobą, która potrafi sobie poradzić, po zawale serca udało mi się szybko dostać na rehabilitację. Wielu pacjentów jednak nie zdaje sobie sprawy, że to konieczne, a lekarze nie przekazują im takiej wiedzy. Brakuje też ośrodków, w których rehabilitacja byłaby przeprowadzana. Istniejące nie są w stanie przyjąć wszystkich, którzy tego potrzebują. Dla pacjentów z małych miejscowości problemem jest też dojechanie na wizytę oraz na rehabilitację do dużego ośrodka, oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów albo więcej. Rodzina musi zawieźć pacjenta, zorganizować sobie wolny dzień. To masa kosztów, ale przede wszystkim stres, który w przypadku pacjentów kardiologicznych jest zabójczy.

Łatwiej dziś jest dostać się do kardiologa po zawale?

W ciągu trzech miesięcy od zawału pacjent powinien mieć pierwszą wizytę u kardiologa, który potwierdzi, czy leczenie powinno być kontynuowane, czy trzeba coś w nim zmienić. Niestety, czas oczekiwania na wizytę jest znacznie dłuższy. Dotyczy to nie tylko pacjentów po zawale. W sierpniu poproszono mnie o pomoc w znalezieniu dobrego kardiologa, chodziło o 35-latka, który trafił do szpitala powiatowego z powodu problemów z sercem. Dostał skierowanie do kardiologa, na cito zaproponowano mu wizytę w lutym. Skontaktowałam się z panią doktor w Poznania. Okazało się, że ten pacjent ma kardiomiopatię i konieczny jest pilny przeszczep serca. Dzisiaj jest już po operacji. Czy on dziś jeszcze by żył, gdyby spokojnie czekał na wyznaczoną wizytę u kardiologa w lutym?

Po wprowadzeniu sieci szpitali poprawił się dostęp do wysokospecjalistycznych procedur dla pacjentów kardiologicznych?

Z przykrością muszę stwierdzić, że w wielu miejscach nie. Mówiłam o tym podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Zdrowia: stworzenie sieci szpitali spowodowało, że wiele mniejszych oddziałów w terenie, często prywatnych – które były niezbędne, bo ratowały życie – przestało funkcjonować, znalazło się poza siecią. Taki oddział został np. zlikwidowany na naszym terenie. Była to typowa kardiologia interwencyjna w przypadku zawału; jeśli konieczna była bardziej skomplikowana operacja, to po ustabilizowaniu pacjenta przekazywano go do ośrodka o większych kompetencjach. Dzisiaj najbliższy ośrodek zawałowy jest w odległości ok. 80 km. Te zmiany spowodowały, że przez ostatnie dwa lata kilkanaście osób nie dotarło na czas na leczenie. W krótkim czasie zmarło.

Sieć miała być stworzona tak, by można było pacjenta dowieźć na czas.

Nieustannie o to walczymy. Wiem, że dotyczy to wielu małych ośrodków, często prywatnych. Obciążenie dużych klinik jest dziś ogromne, co również jest spowodowane zamknięciem małych ośrodków. Co się bardziej opłaca: szybko zareagować, uratować pacjentowi życie czy wieźć go kilka godzin do ośrodka, ryzykując, że zawał będzie bardziej rozległy, a pacjenta nie da się uratować? Dla mnie ten rachunek jest dość prosty. Oczywiście widzimy zmiany w polskiej kardiologii idące w dobrym kierunku, jest jednak jeszcze dużo do zrobienia. A z perspektywy przeciętnego pacjenta, zwłaszcza z małej miejscowości, sytuacja jest bardzo trudna. Kilka dni temu byłam u jednej z sąsiadek, której mąż miał zawał i w wyniku tego zmarł. Być może gdyby ten mały oddział funkcjonował, pacjent wciąż by żył. ©℗

eprasa.pl a64665f9

FOT. FOTOLIA

Z dr. n. med. Pawłem Balsamem, kardiologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Rower zamiast łóżka

KATARZYNA PINKOSZ: Jak to się dzieje, że serce przestaje być wydolne?

DR N. MED. PAWEŁ BALSAM: Zaczynamy odczuwać duszność podczas wysiłku, szybko się męczymy. Początkowo te objawy pojawiają się tylko po większym wysiłku fizycznym, potem po coraz mniejszym. Niewydolność serca (NS) jest efektem chorób serca, np. zawału serca, zapalenia mięśnia sercowego, arytmii, wad zastawkowych. NS w Polsce dotyka coraz większej liczby osób. Już dziś szacuje się, że ma ją od ok. 700 tys. nawet do miliona osób. Spodziewamy się, że w ciągu najbliższych 10 lat liczba ta wzrośnie o ok. 25 proc.

Powód?

Żyjemy coraz dłużej, dożywamy do czasu, gdy ryzyko zawału serca jest podwyższone. Zawały są dziś w Polsce dobrze leczone, ale niestety później może rozwinąć się niewydolność serca.

Zwykle to objawy duszności skłaniają do zgłoszenia się do lekarza. Do tej pory pacjent bez problemu wchodził na drugie, trzecie piętro, a teraz już przy wejściu na pierwsze robi mu się duszno. Musi się zatrzymać, nabrać powietrza, chwilę odetchnąć i dopiero później wchodzi wyżej.

Powodem takiej zadyszki nie jest po prostu wiek? Jesteśmy coraz starsi, więc jest nam coraz

eprasa.pl a64665f984

trudniej wejść na drugie piętro. Albo po prostu mniej się ruszamy i to jest efekt.

Oczywiście, wraz z wiekiem nasza wydolność fizyczna spada – o kilka procent rocznie. Żeby się przekonać, czy powodem takich objawów jest niewydolność serca, należy zbadać pacjenta i wykonać badanie echokardiograficzne serca. Rzeczywiście, duszność może występować także u osoby niewytrenowanej, starszej – jednak wówczas zmiany dokonują się stopniowo, a nie nagle. Duszność może być też spowodowana chorobami płuc, takimi jak przewlekła obturacyjna choroba płuc, astma. Badanie echokardiograficzne pozwala w prosty sposób to rozpoznać.

Niewydolność serca zdarza się też u osób młodych?

Tak. Zawały serca zdarzają się już u 40-latków, a nawet u 30-latków. Młode osoby mogą mieć też niewydolność serca z powodu arytmii i infekcji (zapalenie mięśnia sercowego). Zwłaszcza ta druga sytuacja zdarza się ostatnio coraz częściej.

Po grypie czy zwykłej infekcji można zachorować na serce?

Niestety tak. Coraz częściej chodzimy do pracy, mając infekcję górnych dróg oddechowych – zamiast zostać w domu i odpocząć w łóżku. Aktywność fizyczna powoduje, że serce zaczyna bić szybciej i mocniej, jest więc narażone na mikrouszkodzenia. Jeśli na to nakłada się infekcja, to wirus może wniknąć do wnętrza kardiomiocytów, czyli komórek mięśnia sercowego, spowodować proces zapalny i uszkodzenie mięśnia sercowego. Młoda osoba, do tej pory zdrowa, aktywna fizycznie, nagle ma duszność po wejściu na pierwsze piętro. Może pojawić się nawet konieczność wykonania przeszczepienia serca.

Wspomniał pan, że w Polsce jest 700 tys. osób z niewydolnością serca. Tymczasem o zawałach mówi się dużo, a o niewydolności serca nawet nie wszyscy słyszeli.

Niewydolność serca powoduje dwa razy większą śmiertelność niż rak piersi i podobną jak rak jelita grubego. W ciągu pięciu lat od rozpoznania śmiertelność w niewydolności serca wynosi ok. 50 proc. Mówimy więc o chorobie, która przynosi większe żniwo niż choroby nowotworowe! A nie jest tak „popularna", to znaczy – to pojęcie nie jest tak znane jak choroby nowotworowe.

SERCA POLAKÓW

Co 2. Polak po 65. roku życia choruje na niewydolność serca
Co 4. chory umiera w ciągu roku
Co 2. pacjent nie przeżywa **5** lat
Co roku 60 tys. Polaków umiera z powodu niewydolności serca

Chorzy często muszą być hospitalizowani z powodu zaostrzeń. Pacjent był w stanie przejść 300 m bez duszności, a nagle, np. po przebytej infekcji, jego stan tak się pogorszył, że ma duszność nawet w spoczynku. To najbardziej zaawansowana forma niewydolności serca.

Można serce wzmocnić? Jak leczy się jego niewydolność?

Mówią o tym wytyczne Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego, zaadaptowane przez Polskie Towarzystwo Kardiologiczne. Te zalecenia powstały na podstawie dużych badań klinicznych, które pokazały, jakie rozwiązania przynoszą korzyści pacjentom. Mamy dwie podstawowe, a zarazem równoległe ścieżki leczenia. Pierwsza to farmakoterapia; druga – zabiegi na sercu, urządzenia wszczepialne, a w najbardziej zaawansowanej niewydolności serca: przeszczep serca lub wszczepienie pomp serca, które zastępują serce pacjentom oczekującym na przeszczep.

Podstawa leczenia to jednak farmakoterapia. Niestety, w Polsce jest duży problem z dostępnością do najnowszej terapii. To znaczy: lek można kupić, ale nie ma refundacji, a dla pacjenta terapia to ogromny koszt. Miesięczne leczenie to ok. 600 zł. A jest to terapia, która znacznie zmniejsza objawy i wydłuża życie.

Czym nowa terapia różni się od tych, które są refundowane?

Pojawiła się w 2016 r. W porównaniu z dotychczasowym „złotym standardem" (który był aktualny od 15–20 lat), powoduje spadek śmiertelności ogólnej o 16 proc. Gdy porównano te terapie, to po trzech latach obserwacji okazało się, że zmarło o 16 proc. mniej pacjentów, którzy przyjmowali nowy lek. Poza tym ci chorzy dużo lepiej funkcjonowali, duszność pojawiała się u nich np. nie po przejściu 200 m (jak to było na początku badania), tylko 400 m. Pacjenci byli też rzadziej hospitalizowani z powodu zaostrzenia niewydolności serca. Późniejsze analizy kosztowe wykazały, że nowa terapia nie tylko poprawia życie, lecz także jeszcze jest w rezultacie tańsza, gdyż pacjent trafiał znacznie rzadziej do szpitala z powodu zaostrzenia. Tak więc dla NFZ (płatnika) de facto koszty są niższe.

Niewydolność serca jest chorobą postępującą, z biegiem czasu następuje przebudowa mięśnia sercowego. Następuje progresja choroby i pogorszenie wydolności fizycznej. Dzięki skutecznej terapii farmakologicznej możemy ten proces znacznie opóźnić.

Pacjenci są w stanie skorzystać z tej terapii przy takich kosztach?

Kilkuset pacjentów w Polsce stosuje tę terapię, sam mam pod opieką ok. 20 takich chorych. W przypadku części z nich na leczenie zbierała się rodzina: córka, syn, wnuczka. Efekty są znakomite. Jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co widzę u swoich pacjentów, jak poprawia się ich wydolność. Mam np. pod opieką chorego, który jest po ciężkim zawale serca. Serce miał już na tyle niewydolne, że nie mógł wejść na pierwsze piętro, w zasadzie tylko leżał. Rodzina stwierdziła, że sypialnię trzeba będzie przenieść mu na parter. Zaczął stosować tę terapię, a dziś bez problemu wchodzi na pierwsze piętro, przysłał mi nawet zdjęcia, jak jeździ na rowerze! Stan pacjentów na takim leczeniu bardzo się poprawia, ich wydolność wzrasta o kilkadziesiąt procent. Niestety, nie wszyscy mogą je stosować z powodu wysokich kosztów.

Ministerstwo Zdrowia i Polskie Towarzystwo Kardiologiczne zapowiadają, że wkrótce wejdzie program KONS – koordynowanej opieki nad pacjentami z niewydolnością serca. Widzi pan potrzebę takiego programu?

Ogromną. W niewydolności serca opieka koordynowana jest niezbędna, podobnie jak dobra farmakoterapia oraz rehabilitacja. Na razie wchodzi w życie program pilotażowy. Mam nadzieję, że program się powiedzie. Cieszę się też, że nasz ośrodek (Klinika Kardiologii WUM) bierze w nim udział. Na razie w programie pilotażowym jest jednak tylko pięć ośrodków, a my mówimy o 700 tys. pacjentów z NS w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Paweł Balsam
– I Katedra i Klinika Kardiologii, Warszawski Uniwersytet Medyczny

eprasa.pl a64665f984

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Polski baron Münchhausen

Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku”, wojewoda wileński i największy pijanica XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej, jest postacią zbyt gru…, znaczy, oczywiście, zbyt okazałą, by zmieścił się w zwykłym felietonie. Pisałem wcześniej o dwoistości opinii o nim – za życia jedni go nienawidzili, drudzy zaś uwielbiali do szaleństwa. Nawet jeśli skropił ich kijem nieznacznie w czasie uczty czy zetknął głowy dwóm rozmawiającym aż do wytryśnięcia guzów. Spośród wszystkich pamiątek po księciu na uznanie zasługują jego facecje i opowiastki, znane pośród szlachty, rozpowiadane po karczmach i na sejmikach oraz oczywiście zapisywane w pamiętnikach i silva rerum. O „Panie Kochanku” powiadano wprost: „Kiedy łgać, to jak Radziwiłł” czy „Radziwiłł rad żywił” albo nawet: „Król sobie królem w Krakowie, a Radziwiłł na Nieświeżu”. Książę bowiem opowiadał najdziwniejsze, najprzeróżniejsze historie, które zadziwiały współczesnych.

– Jeżdżąc po morzach, panie kochanku – opowiadał nad kielichem zacnego węgrzyna – spotkałem na Adriatyku prześliczną syrenę, pół kobietę, pół rybę. Otóż kazałem ją ludziom swoim pochwycić i potajemnie z nią ślub wziąłem na okręcie. Potem, panie kochanku, potomstwo, jakie miałem z syreną, złożone ze sto tysięcy śledzi, darowałem Borowskiemu, za co niemało pieniędzy zgarnął. Wszak prawda, Borosiu?

– Tak jest, co do joty, książę panie – potakiwał przydupnik i jowialista Radziwiłła.

Inną ciekawą opowiastką jest, jak to „Panie Kochanku” polował na niedźwiedzie. Otóż wystarczyło po prostu pomazać miodem dyszel od wozu i pozostawić pojazd w lesie. A wówczas przychodził łasy na miód niedźwiedź, rozdziawiał paszczę, aby zlizać miód z dyszla,

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

potem lizał coraz dalej i dalej, aż w końcu nadziewał się na drąg.

Pewnego razu Radziwiłł polecił wydoić wszystkie krowy w Nieświeżu i zlać mleko do jednej sadzawki. Zrobiła się śmietana, w końcu masło. I w maśle tym – ku podziwieniu obecnych – znaleziono źrebię, które się w tej sadzawce z mlekiem utopiło.

– Jeśli ja łżę, to łżę rzeczy, które się zawsze zdarzyć mogą – mawiał książę Karol Stanisław. I razu pewnego zwrócił się do swego dworzanina Borowskiego: – Proszę, panie kochanku, wymyśl coś takiego, co w ogóle, absolutnie byłoby niemożliwe, a dam ci konia z rzędem.

Nazajutrz Borowski przyszedł do księcia smutny i wystraszony.

– Co się stało, panie kochanku? – zapytał go Radziwiłł.

– A, nic, miałem dziwny sen...

– Co za sen?

– Ano śniłem, że byłem w niebie i tam... kiedy wstydzę się powiedzieć.

– No co, nie bój się!

– Tam w niebie, u Pana Jezusa Radziwiłł… świnie pasie!

– No tak, panie kochanku – powiedział roześmiany książę – zmyśliłeś coś, co jest w ogóle absolutnie niemożliwe. Dostaniesz konia z rzędem!

Pewnego razu „Panie Kochanku”, biorąc udział w wojnie w Hiszpanii, przez przypadek zabłąkał się do nieprzyjacielskiego obozu. Nie stracił jednak fantazji, tylko od razu wlazł do lufy armatniej. Kiedy działo wystrzeliło, poleciał zdrów i cały do swoich. Innym razem opowiadał, jak to przebywając w Chorwacji, postanowił zaatakować turecką fortecę. Jednak w czasie szturmu miał wypadek: pocisk armatni oberwał jego koniowi obie tylne nogi. Jednak Radziwiłł nie byłby Radziwiłłem, gdyby nie poradził sobie i w takiej sytuacji. Dał bowiem tak mocno ostróg koniowi, że ów na dwóch pozostałych, przednich wskoczył na wał. A tam już wojewoda w pół pacierza wyrąbał całą załogę!

Przejeżdżając zaś przez Włochy, napotkał tak dużą armatę, że czwórką koni i karetą wjechał do lufy, zawrócił i wyjechał.

– Co, nie wierzysz, panie kochanku? – zawołał książę do Borowskiego.

– Ależ wierzę, mości książę, wierzę. Ja właśnie w tym samym czasie przejeżdżałem przez… panewkę – uśmiechnął się sługa.

Facecje owe nie były pijackimi majaczeniami, lecz sytuują Karola Stanisława Radziwiłła w kręgu kultury europejskiej. W XVIII w. takie fantastyczne opowieści były popularne, co pokazuje choćby sukces książki „Niezwykłe przygody barona Münchhausena”, napisanej przez Rudolfa Raspego i wydanej w 1785 r. „Panie Kochanku” zatem może być traktowany jako polsko-litewski odpowiednik sławnego barona. Sam zresztą pod koniec życia lubił opowiadać, jak to korespondował z Jeanem-Jakiem Rousseau i Franciszkiem Wolterem. A kiedy niespodziewanie ktoś zwrócił mu uwagę, że przecież obaj już dawno umarli, Radziwiłł odparł z miłym uśmiechem, że „pewnie listy na poczcie zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem”. ©℗

eprasa.pl a64665f984

RISOTTO Z GRZYBAMI
GOTUJE ANNA POPEK

Uwielbiam grzyby. Ich miłośnicy w lasach (a bardziej zabiegani na targach) znajdą już piękne prawdziwki, podgrzybki i kurki. Możemy je wykorzystać do przygotowania szybkiej i sycącej kolacji. Ostatnio sama byłam w sytuacji, że musiałam szybko przygotować kolację dla przyjaciół i nakarmić kilka osób. Postawiłam na risotto z grzybami, które bardzo polecam. Bardzo lubię podgrzybki, więc postawiłam na nie, ale można je zastąpić kurkami, które będą bardziej wyczuwalne od podgrzybków, które miękną i giną w masie ryżu. Całość do smaku uzupełniłam kilkoma prawdziwkami.

Składniki:

- ryż do risotto (ok. 0,5 kg)
- 0,5–0,7 kg grzybów
- 25 dag parmezanu
- szklanka białego wina
- 2 cebule
- pół kostki masła
- 0,5 l bulionu
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Grzyby czyścimy, płuczemy, podsmażamy delikatnie na maśle i odstawiamy. Przydadzą nam się później. Również na maśle podsmażamy dwie cebule, do zeszklonej cebuli dodajemy przepłukany, odsączony ryż. Smażymy go razem z cebulą. Powoli dolewamy bulionu i dusimy. Surowy ryż wchłania bulion i pęcznieje, dlatego najlepiej użyć dość dużego garnka ze sporym dnem. Mieszamy i podlewamy – na zmianę bulionem i białym winem. Dodajemy soli i pieprzu. Kiedy dolewamy bulionu ostatni raz, dodajemy również starty wcześniej parmezan. Kiedy bulion i wino wyparują, a parmezan zwiąże ryż, dodajemy grzyby i mieszamy.
Risotto nie jest najpiękniejszym daniem, więc żeby je ładnie podać, możemy nakładać porcje do małych salaterek, z których wykładamy na talerze estetyczne kopczyki. Możemy je udekorować gałązką rozmarynu lub grzybami (zostawmy wcześniej do tego celu część smażonych na maśle grzybów). ©℗

oprac. raw
Anna Popek jest dziennikarką i prezenterką telewizyjną.

FOT. ZIT TOMASZ KRUPA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Meksyk

SUSANA OSORIO-MROŻEK „MEKSYK OD KUCHNI. OD AZTEKÓW DO ADELITY" UNIVERSITAS 2014

Tę książkę kupiłam za 10 zł w Księgarni Naukowej im. Bolesława Prusa przy Uniwersytecie Warszawskim. Przeceniona z 39 zł. Autorka Susana Osorio-Mrożek, tytuł: „Meksyk od kuchni. Od Azteków do Adelity". Dobrze, że książka jest tania, może więcej osób ją kupi; szkoda, że przeceniona, bo to jednak deprecjacja, na którą nie zasługuje to dzieło.

Ci, którzy czytali pamiętniki autora „Tanga", pamiętają może, że w latach 80. Sławomir Mrożek i jego meksykańska żona Susana zamieszkali na wsi w Meksyku i tam próbowali rozwinąć niewielką manufakturę przetworów. Niezbyt dobrze to się skończyło, Mrożek z Meksyku uciekł i już nigdy tam nie wrócił.

Z kuchnią meksykańską łączy mnie romans osobisty, bo w mieście Meksyk mieszkałam w latach 80. dwa lata. Stwierdzam z całą powagą, że smaki tortilli, chili, czarnej fasoli są tam jedyne i niepodrabialne poza granicami tego kraju. Podstawą bukietu kuchni meksykańskiej jest smak ciasta z kukurydzy, z którego wyrabia się tortille, oraz sosów z chili. Sosy w nieskończonej liczbie wariacji robi się z zielonych lub czerwonych pomidorów, papryki chili, czosnku, cebuli i soli. Składniki świeże, suszone, pieczone, gotowane lub smażone są mielone lub drobno siekane, następnie aromatyzowane kolendrą, epazote, pietruszką, cytryną… Tortille je się na śniadanie, obiad, kolację.

Żadne tex-mex, żadne chili con carne w wykonaniu najlepszych kucharzy, żadne tortille z supermarketu ani te z najlepszej restauracji nie odtworzą smaku tej jedynej prawdziwej, ludowej kuchni. Można jeść na ulicy, przy bujającym się stoliku z blatem z laminatu, i to jedzenie jest pyszne. No i zdrowe – Meksykanie mają wspaniałe grube włosy i mocne zęby.

Nie bez powodu w roku 2010 UNESCO uznało tradycyjną kuchnię meksykańską za model kulturowy o tysiącletniej tradycji. Metody upraw, sposoby przyrządzania i przechowywania potraw, rytualne obrzędy, a nawet kosmogoniczne mity. O tym wszystkim, czyli historyczno-kulturowym tle, pisze Susana Mrożek. Także o tym, jak globalizm podmywa istotę tej wspaniałej kultury.

Gdy niedawno wybraliśmy się z mężem do Meksyku, aby odwiedzić stare kąty, w hotelach byliśmy karmieni tzw. europejskim jedzeniem w rodzaju „mięso z sosem", kurczak bez smaku i, co gorsza, amerykański chleb wata (na śniadanie). Biura podróży widocznie uważają, że to ludziom z Europy smakuje. Zrywaliśmy się z hotelowych posiłków, aby zaznać prawdziwych smaków Meksyku. Tych, którzy tam się wybierają, zachęcam, żeby zrobili to samo. I nie bali się ameby ani innej zarazy. ©℗

eprasa.pl a64665f984

NASZ TEST: AUDI A6 AVANT

Niemieckim projektantom udało się stworzyć wszechstronny samochód rodzinny, który ładnie wygląda, ma komfortowe, a nawet nieco luksusowe wnętrze, jest praktyczny, a do tego nieźle się prowadzi. Niestety, zaawansowane technologicznie, niemal pięciometrowe kombi to droga zabawka.

W KABINIE

Minimalistyczny design, świetnej jakości materiały oraz konturowe oświetlenie sprawiają, że wnętrze kombi wygląda niczym kabina luksusowej nowoczesnej limuzyny. Kierowca

przed oczami zamiast tradycyjnych zegarów ma wirtualny kokpit – kolorowy wyświetlacz, na którym poza aktualną prędkością czy wskazaniami obrotomierza ukazują się też statystyki dotyczące jazdy, mapa czy lista stacji radiowych.

Podobnie jak np. flagowy model A8 Audi w centralnej części deski rozdzielczej ma teraz dwa duże kolorowe dotykowe ekrany. Na górnym wyświetlają się mapa nawigacji, a także wszelkie informacje o samochodzie oraz te dotyczące systemu rozrywki. Dolny ekran o przekątnej służy zaś m.in. do sterowania klimatyzacją czy wpisywania adresu do nawigacji.

Całość działa intuicyjnie i dobrze wygląda. Dla mnie poważnym minusem jest jednak umieszczenie na dotykowym ekranie włącznika świateł awaryjnych – dużo wygodniej byłoby, gdyby projektanci zachowali bardziej tradycyjne rozwiązanie.

W przestronnym wnętrzu jest wystarczająco dużo miejsca dla pasażerów zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Pięć dorosłych osób może nim podróżować naprawdę komfortowo.

Pojemność bagażnika przy podstawowym ustawieniu foteli wynosi 565 l. To sporo, choć szału nie ma – Volvo V90 ma kufer o wielkości 575 l, BMW serii 5 Touring o wielkości 570 l, a istotnie tańszy od Audi A6 Volkswagen Golf Variant ma kufer o wielkości 605 l. Na szczęście po złożeniu tylnych oparć bagażnik w Audi rozrasta się do 1680 l, co jest już wynikiem bardzo dobrym.

JAZDA

Pod maską testowanego Audi znajdował się 286-konny trzylitrowy diesel, dzięki któremu potężne niemieckie kombi od 0 do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,7 s. Silnik bardzo ładnie brzmi, na pochwałę zasługuje też automatyczna skrzynia biegów.

Auto jest komfortowe, a jednocześnie wystarczająco zwrotne i sztywne, aby umożliwić dynamiczną jazdę po zakrętach. Ogromną zaletą jest również świetne wyciszenie kabiny.

Wszystkie silniki w nowym Audi A6 Avant wyposażone są w system „mild hybrid", który odzyskuje część energii podczas jazdy, dzięki czemu podczas „żeglowania" na trasie zmniejsza się zużycie paliwa.

Podczas testu średnie spalanie w cyklu mieszanym wyniosło 7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Audi A6 otrzymało komplet pięciu gwiazdek, zgarniając 93 proc. punktów za ochronę dorosłych, 85 proc. za ochronę dzieci oraz 81 proc. za ochronę pieszych. Auto jest też wyposażone w wiele elektronicznych asystentów.

CENA

Najtańsze Audi A6 Avant w wersji z silnikiem o mocy 204 KM kosztuje 218,6 tys. zł. Za kombi z dieslem o mocy 286 KM oraz napędem na cztery koła trzeba już zapłacić minimum 308,2 tys. zł. Oczywiście Audi oferuje cały pakiet opcji z zakresu technologii, dźwięku czy systemów asystujących, które mogą sprawić, że całkowita cena szybko przekroczy 350 tys. zł.

KONKURENCI

BMW 5 Touring, Mercedes klasa E kombi, Volvo V90 ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a64665f984

100% polski produkt

III EDYCJA KONKURSU

ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

TYLKO DO
25 PAŹDZIERNIKA

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

99 RENT

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl a64665f984

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Demokraci przeszarżowali

MARCIN MAKOWSKI: Po prawdziwym politycznym trzęsieniu ziemi, oskarżeniu o molestowanie seksualne i bardzo wyrównanym głosowaniu w senacie Brett Kavanaugh został sędzią Sądu Najwyższego w USA. Jakie wnioski można wyciągnąć z całego zamieszania, gdy sprawa znalazła już swój finał?

MATTHEW TYRMAND: W pewnym sensie to historyczna chwila, która potwierdza tendencję, o której rozmawiamy na tej stronie od prawie trzech lat. Prawica, populiści i konserwatyści stopniowo zdobywają kolejne obszary władzy, a lewica i liberałowie zaczynają się chwytać coraz bardziej desperackich metod, aby ją utrzymać. Spośród wszystkich rzeczy, których do tej pory chwytali się w USA – od oskarżeń o Rosję ustawiającą wybory do impeachmentu Trumpa – sprawa Kavanaugha była kwintesencją ich sposobu działania. Wziąć kompetentnego człowieka z nieposzkalowaną karierą i uczynić z niego gwałciciela, który nieomal zabił nastolatkę. Bez żadnych poważnych dowodów, poza zeznaniem świadka, zaangażowanego politycznie po stronie demokratów. I mimo wytoczenia najcięższych dział – przegrali. Przyznaję, że walka toczyła się w mediach i senacie do końca. Byłem wtedy na miejscu, w Waszyngtonie, widziałem protesty, krzyki, nerwowość wśród polityków. Najlepsze w tym wszystkim to brak świadomości progresywnych radykałów, którzy swoimi durnymi hasłami w stylu rozwiązania Sądu Najwyższego, jeśli dostanie się do niego Kavanaugh, osiągnęli efekt odwrotny do zamierzonego.

Przeglądałem najnowsze badania opinii publicznej i wydaje się, że początkowa przewaga demokratów w wyborach środka kadencji do Izby Reprezentantów i senatu topnieje. A co ciekawe, zaufanie do Trumpa rośnie, co nie dzieje się często.

Moim zdaniem to w prostej linii efekt wspomnianego „przeszarżowania". Zbyt ostrych haseł i polaryzującej retoryki plus – co ważne – braku dowodów na poparcie oskarżeń Christine Ford, pomimo przepytywania świadków i śledztwa FBI. W związku z tym republikanie nie tylko nie stracą senatu, lecz także mogą się wręcz wzmocnić nawet do 57 miejsc, bez problemu utrzymując Izbę Reprezentantów i większość w całym Kongresie. Przeciwnicy Trumpa zachowują się jak dzieci grające w tę drewnianą układankę, z której wyciąga się kolejne klocki, aby się nie przewróciła. Tylko oni, zamiast działać racjonalnie, chcieli wyszarpać kilka klocków naraz i całość szlag trafił. To samo dzieje się przecież w Polsce i wokół Polski. Mateusz Morawiecki był niedawno w Nowym Jorku i rozmawiał w CNN z Richardem Questem. Widziałeś?

Widziałem. Za dobrej zmiany polityk mówiący sprawnie po angielsku w amerykańskich mediach to niestety rzadki obrazek.

To prawda, coś na ten temat wiem, ale mniejsza z tym. Zwróciłeś uwagę na argumentację dziennikarza? Niby ekspert od spraw europejskich, a nie znał żadnych podstawowych faktów, nazwisk, danych ekonomicznych, specyfiki polskiego wymiaru sprawiedliwości. Tylko ogólne stwierdzenia na temat „łamania praworządności", „konfliktu z Unią" itp. Morawiecki wypadł w kontrze do niego naprawdę przyzwoicie i na luzie.

Podobnie jak na fragmentach taśm, które ostatnio krążą po mediach?

Tam wypadł tak, jak się wypada na kolacji ze znajomymi. Gadanie o wszystkim i o niczym. W wielu aspektach, np. pazerności funduszy hedgingowych i polityki migracyjnej, miał rację, co do reszty, czyli załatwiania spraw za pomocą wpływów w swoim banku – takich zachowań nie lubię. BZ WBK był jednak prywatną spółką akcyjną, a nie spółką Skarbu Państwa, i tutaj jest istotna różnica. Dlatego też jestem wielkim zwolennikiem prywatyzacji banków i jak największej liczby instytucji państwowych, aby podobne dyskusje nie odbywały się ewentualnym kosztem podatników. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl a64665f984

OKIEM JASTRZĘBIA

Miłość silniejsza jest niż chrumkanie

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Bardzo, ale to bardzo polubiłem naszego złotego trenera Vitala Heynena nie tylko dlatego, że jest złoty, a my dzięki niemu jesteśmy mistrzami świata w siatkówce (przyznam jednak, że fakt ten miał pewne znaczenie w procesie polubienia).

Facet urzekł mnie m.in. swoim wywiadem udzielonym już po zdobyciu z naszą drużyną mistrzostwa.

My naprawdę lubimy się zabawić, a najchętniej cudzym kosztem

Vital Heynen ma to, co musi mieć prawdziwy trener: instynkt, rozumie i czuje swoich zawodników. Jest w stanie wyciągnąć z nich to, co najlepsze, i tak ich prześwietlić tym swoim roentgenem, że on wie, na co stojącego przed nim chłopaka w przyszłości stać. Przesady w tym nie będzie, jak tu napiszę, że pan Vital stworzył nam na nowo nie tylko drużynę, lecz także kilku mistrzów. I jeszcze bardzo mi się podoba, że on w tym wywiadzie po mistrzostwie nie robi z siebie jakiegoś egoekshibicjonistę czy innego gwiazdorskiego napinacza z wciągniętym powietrzem i brzuchem. Przeciwnie nawet – z pewnym zdumieniem konstatuje, że gdy poszedł do sklepu po bułki w tej swojej Belgii, to ludzie chcieli robić sobie z nim zdjęcia i on oczywiście pozwalał, a wcześniej tego nie robili. Jego szczere zdziwienie tą zmianą było urzekające. No bo co takiego się zmieniło? Został po prostu mistrzem świata. No i?

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Natomiast z przykrością stwierdzam, że nasz trener uległ krzywdzącym nas stereotypom. Pytany, co mu się w Polsce nie podoba, powiedział: „Myślę, że macie zbyt negatywną kulturę. Już czekam na te artykuły z rozważaniami, że w przyszłym sezonie może nie być tak dobrze jak w tym. Proszę, cieszcie się tym, że macie mistrzostwo świata, a w przyszłym roku będzie lepiej. Uwierzcie w to. Specjalizujecie się w wymyślaniu, co może pójść źle, a przecież jest tyle powodów, żeby uwierzyć, że będzie jeszcze lepiej". Absolutnie nie jest to cała prawda o Polakach. Jest to osąd wyrwany z kulturowego kontekstu. My się naprawdę lubimy zabawić, a najchętniej cudzym kosztem.

Weźmy dość świeży przykład świetnej zabawy. Prezydent Legionowa Roman Smogorzewski, przedstawiając kandydatów do rady miasta, zabawiał wszystkich przednie. Jedną panią przedstawił, że mu się kojarzy z seksem, innej powiedział: „Jest z tobą kłopot, bo jesteś trochę za ładna", i takie tam żarciki. Trochę zapomniał, że inaczej można się zachowywać w podchmielonej remizie, a inaczej w czasie oficjalnego politycznego, rejestrowanego spotkania.

Przyznam, że w niedociosanych żarcikach pana Smogorzewskiego najbardziej przeszkadzały mi jego chrumkanie i uśmieszek zadowolonego z siebie świntuszka. Obejrzałem to wystąpienie i już wiedziałem, że go zlinczują, ale jednak nie byłem po swojemu usatysfakcjonowany. Taki to był świntuszek właśnie, takie to było śliskie, obleśne i obłe jednocześnie, takie nie wiadomo co. Zdecydowanie zabrakło mi silnego akcentu. Patrzyłem na te spocone chrumki po niby-dowcipie i mimowolnie przypomniał mi się Nietzsche ze swoim: „To nie grzech wasz, to wasze umiarkowanie woła o pomstę do nieba. Wasze skąpienie nawet w grzechu woła o pomstę do nieba".

Nie to, żebym prezydenta Legionowa podpuszczał, żeby coś tam jeszcze odsmogorzył grubszego, no skąd, tylko tak mi się skojarzyło. I tu chciałem nawiązać do radosnego usposobienia Polaków, a nie żadnej tam negatywnej kultury. W końcu wszyscy się ze Smogorzewskiego śmiali, nawet ci, którzy najpierw się nie śmiali, bo nie śmieli się śmiać w tym Legionowie, to potem i oni dostrzegli komizm. Gdyż jesteśmy radośni i lubimy się śmiać z innych.

Zresztą pan prezydent wyczuł koniunkturę i zrobił specjalnie w celu rozbawienia publiki akt drugi. Stanął obok swojej żony oraz jakichś smutnych kobiet i tłumaczył się smutno (już bez chrumkania), że nie wolno przekreślać człowieka i że on wcześniej tylko tak żartował. Porażający efekt komiczny. Takie scenki w USA są znane w przypadku zdrady. Jak polityk zdradzi żonę, to oni tam robią taką ustawkę z żoną, która jest wściekła i która chciałaby skurczyflaka zabić, ale do kamery uśmiecha się smutno i mówi, stojąc przy zdrajcy, że tego flaka męża wspiera, gdyż miłość silniejsza jest niż chrumkanie. Chociaż chrumkanie śmieszniejsze. ©℗

eprasa.pl a64665f984

OKIEM BLOGERKI

Cham, ale swój

KATARYNA

***BARBARA NOWACKA:** „To smutne. Nie, żeby te słowa były specjalnie zaskakujące, bo świat polityki bombarduje kobiety seksizmem. Martwi mnie jednak, że te słowa padają z ust osoby, która odwołuje się do wartości feminizmu i równości. Gdybym usłyszała je z ust poseł Pawłowicz czy posła Tarczyńskiego, tobym się nie zdziwiła. Ale Biedroń? Przecież dobrze wie, bo jest aktywnym politykiem na lewicy od 20 lat, że język kształtuje świadomość, może wzmacniać, ale i niszczyć".*

Biedroń nie jest nowością. Umie i chce być takim samym burakiem jak inni

Tak Barbara Nowacka skomentowała chamską wypowiedź Roberta Biedronia pod swoim adresem, w której zarzucił jej, że przystąpiła do Koalicji Obywatelskiej w efekcie tresury. Przykre, że tym razem chamstwo Biedronia dosięgło akurat Nowackiej, która sama umie uprawiać politykę z klasą, ale gdyby polityczną karierę Biedronia obserwowała z szerzej otwartymi oczami, to nie byłaby dzisiaj tak zaskoczona jego buractwem, bo chamstwo i seksizm to jego pomysł na obecność w polityce.

„Ja bym chciał, żeby pan Krzysztof Bosak umył mi plecy". „Janku Tomaszewski, chyba musimy przerobić twoje uprzedzenia w sejmowej saunie". „Jeśli zrobilibyśmy ranking najprzystojniejszych polityków, to Donald Tusk ze swoimi seksownymi oczami i swoim seksownym »ehrrr« na pewno wygrałby". Każda z tych wypowiedzi, gdyby padła z ust heteroseksualnego polityka pod adresem kobiety, zostałaby uznana za molestowanie seksualne w stylu skompromitowanego burmistrza Legionowa. I tak samo należy je traktować, gdy padają z ust homoseksualnego mężczyzny pod adresem innych mężczyzn. Oczywiście, jeśli naprawdę wierzymy w równość płci, a co za tym idzie – w to, że także mężczyzna może paść ofiarą niepożądanych słownych awansów. Pewnie gdyby któryś z obleśnie zaczepionych zareagował na komentarze Biedronia tak, jak życzylibyśmy sobie, żeby reagowały molestowane kobiety, zostałby okrzyknięty homofobem. Gejowi wolno więcej. Na przykład obrażać dziennikarki podczas konferencji prasowej. „Cierpliwie czekałem, pokornie, tak jak pani redaktor lubi, na kolanach…" – to też pieszczoch lewicy. Czy Barbara Nowacka nadal zdziwiona jest tym, jak ją Biedroń potraktował, czy może czas uznać, że także lewicowy gej może być zwykłym seksistą?

Końskie zaloty Biedronia do heteroseksualnych mężczyzn, z których zapewne żaden nie życzyłby sobie takich awansów, to zresztą najmniejszy problem, jaki z Biedroniem powinny mieć środowiska, które przywołuje Nowacka. „Jeśli miałbym kiedykolwiek robić ilustracje dla książki Witkowskiego, która opisuje takie PRL-owskie cioty, ludzi, którzy nie do końca są dopasowani społecznie, to na pewno na ilustracji znalazłby się Jarosław Kaczyński" – tak z kolei Biedroń ocenił prezesa PiS i nie przypominam sobie jakiejś większej awantury o takie chamstwo, choć przecież nietrudno sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby ktoś tak publicznie określił samego Biedronia. To co? Nadal się dziwimy, że Biedroń okazał się chamem, czy po prostu boli, że po raz pierwszy jego chamstwo dotknęło swoich? Może czas przyznać, że Biedroń nie jest żadną nową jakością ani ostatnią nadzieją w polityce, umie i chce być takim samym burakiem jak wielu innych, a hipokrytami są ci, którzy przymykają na to oczy, bo jest swój. ©℗

PODSŁUCHANE

Jazda w górę

No, Mateusz, gratuluję!
Dziękuję, Jarku, dziękuję ci bardzo!
Czego?
Jak to? Kolejki. Znakomity efekt, powrót perły Tatr do macierzy. Zakopane już mamy załatwione. Dużo w końcu zapłaciliśmy?
…
Aż tyle?… Myślałem, że… No, ale nic, zastaw się, a postaw się, jak to mówią. Trzeba to było zrobić. Tylko teraz tak: na tym nie kończymy. Dostałeś ode mnie tę listę zakładów do przywrócenia państwu polskiemu?
Tak. Tylko zrobiłem sobie takie, wiesz, wstępne kalkulacje i wychodzi, że chyba musimy to jednak rozłożyć na dwie kadencje.
Dlaczego?
– W sumie wychodzi jakieś 25 mld. Ale damy radę.
No dobrze. Przynajmniej z tą kolejką na Kasprowy teraz coś zróbmy na szybko, skoro już ją mamy.
Wiem, modernizacja, skipassy…
Jakie tam skipassy. To jakieś tam fanaberie dla bogaczy. My dbamy o zwykłych Polaków. W poniedziałki darmowe przejazdy dla matek z dzieckiem, we wtorek dla osób z dochodami poniżej średniej, w środę dla bezrobotnych i tak dalej.
Tak jest! Wykonuję!. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wydaje mi się, że jest człowiekiem, za którego charyzmą, taką polityczną, instynktem politycznym już w tej chwili Polacy troszkę tęsknią".

***EWA KOPACZ**, była premier, posłanka PO, o Donaldzie Tusku w Polsat News*

eprasa.pl a64665f984

Dwóch czystych jak brudna łza

Największa (wciąż trwająca) polska afera lustracyjna minionych stu lat rozwijała się przez ostatnie ćwierć wieku i jakoś nie chce się zakończyć, ciągną się polemiki oraz kłótnie. Największa lustracyjna polska afera XIX stulecia trwała ponad pół wieku — 57 lat (1862–1919) — i wywoływała wówczas równie gorące spory. Jej „bohater" zwał się Kaczkowski.

Zygmunt Józef Erazm Kaczkowski był popularnym pisarzem, autorem *„historycznych romansów"* przypominających rodakom czyny bohaterskie. Fetowano go bardzo gromko — A.D. 1860 w warszawskim Hotelu Europejskim publika dostała zbiorowej histerii, obrzucając idola stosami kwiatów. Hołdowano go także za działalność narodowowyzwoleńczą, która podwajała literacki nimb. Był sekowany przez władze zaborcze już przed połową XIX wieku (jako uczestnik galicyjskiego ruchu powstańczego 1846), a później organizował Powstanie Styczniowe, kierując lwowskim biurem Rządu Narodowego. Nie wszyscy z powstańczych liderów darzyli pisarza pełną ufnością, gdyż uprawiał hazard (grał w karty oraz na loterii) i hulał po knajpach. Kaczkowski tłumaczył, że hulaszcze życie jest zasłoną dymną maskującą działalność konspiratorską. Zaczęto go śledzić, lecz zdemaskowano go jako szpicla policji austriackiej dopiero wówczas, gdy udało się zdobyć dokumenty habsburskiej bezpieki. Były porażające i nie zostawiały żadnych wątpliwości, jednak Kaczkowski zaklinał się, że są to fałszywki, przysięgając na krzyż oraz Matkę Boską, że nie jest konfidentem. Pisał: *„Jestem niewinny i czysty jak łza! Nigdy nie kolaborowałem, ani przez chwilę!"*. Przekonał część patriotów, lecz główne rodzime siły polityczne ogłosiły piętnujący go wyrok. Oprotestował ten akt gwałtownie: *„Zapowiadam wam, że ten wasz wyrok naganiam i odnoszę się odeń do Rządu Narodowego. Otwórzcie oczy i uderzcie się w piersi: jeszcze tę krwawą krzywdę, którą mnie wyrządziliście, możecie choć w części naprawić. Pomnijcie na to, że nigdy niewinność nie może być potępioną bezkarnie! Wierzę w uczciwość ludzi i opiekę Boga nad nimi: jeżeli sprawiedliwości nie znajdę u Rządu Narodowego, jeżeli mi jej nie odda otrzeźwiona z potwarczych uprzedzeń opinia narodu, to pewnie mi ją wymierzy historia, do której imieniem moim i zasługami należę — a wtedy hańba, dziś na mnie rzucona, spadnie na wieki wieków na głowy tych, którzy nie mając odwagi zajrzeć mi w oczy — nie wahali się rzucić mnie na ofiarę karmiącemu się tylko hańbą swoich przeciwników politycznemu stronnictwu"*.

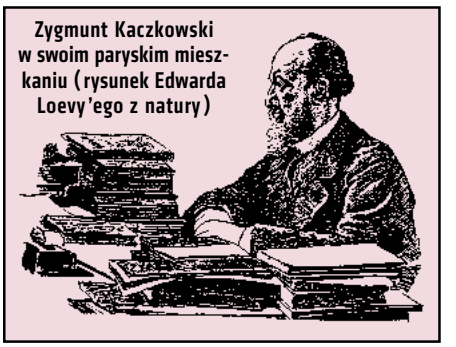

Zygmunt Kaczkowski w swoim paryskim mieszkaniu (rysunek Edwarda Loevy'ego z natury)

∞

Adam Mickiewicz: „Została przy mnie jedna niewinności szata"

Stanisław Wyspiański: „ ... podłe maski, farbowany fałsz"

∞

Przez kolejne dekady (po 1864 roku) zażywał u jednych chwały *„wzorowego patrioty"* (dostał m.in. francuską Legię Honorową), u innych zaś cieszył się złą opinią byłego kapusia tudzież mitomana i konfabulatora wymyślającego ciągle jakieś piramidalne bzdury gwoli autowybielenia. Takie, jak chociażby broszura **„Rewolucyjne sądy i wyroki"**, w której udowadniał, że prześladujące go *„stronnictwo polityczne"* to banda łotrów fałszujących dokumenty dla szkalowania nieugiętego patrioty i współprzywódcy narodowowyzwoleńczego zrywu. Książki zawierające materiały na temat jego współpracy z bezpieką Habsburgów (exemplum Jana Stelli Sawickiego pt. **„Wydawnictwa materiałów do historii powstania 1863–1864"**, Lwów 1890) przyprawiały go o furię. Pomocy szukał u darzących go sympatią figur politycznych, głównie historyków i publicystów (Ksawery Liske, Adam Giller, Zygmunt Miłkowski, i in.), a ci próbowali go bronić (Liske: *„Z jakąż to lekkomyślnością odziera się z czci i sławy tak wielką osobistość!"*, 1891). Pisywał do rozmaitych ludzi, klnąc się, że jest czysty (*„Nie mam ani jednej łzy bratniej na moim sumieniu!"*). List do Seweryna Smarzewskiego może być symbolem tych permanentnych wysiłków: *„To, com przecierpiał i jeszcze przecierpię, ofiaruję Bogu za grzechy, i prawie cieszę się tym, że mi dał sposobność cierpieć tak ciężko i krwawo; ale brzemię to, wrzucone na moje barki bez mojej winy, może tylko wzmocnić mojego ducha i podnieść, lecz nigdy osłabić i złamać"*. Dobiła te bluźniercze łgarstwa obszerna rozprawa naukowa sprzed stu lat:

A.D. 1919 przebywającemu w Wiedniu historykowi lwowskiemu, doktorowi Zygmuntowi Barwińskiemu, udało się spenetrować ministerialne archiwa Cesarstwa Austro–Węgierskiego. Konkretnie: niedostępne wcześniej archiwa Ministerstwa Policji, dział zagraniczny — *„Polizeireferat"* i *„Konfidenten–Akten"*. Tam trafił na zbiór opatrzony hasłem *„Entlassene Konfidenten"* (poniechani konfidenci, już zwolnieni konfidenci) i na plik *„Sigismund Kaczkowski"*, pełen dokumentów (raporty, memoriały, wypłaty, pokwitowania) świadczących bezspornie, że Kaczkowski przez ponad osiem lat (1863–1871) pracował jako płatny zdrajca, konfident austriackiej policji i austriackiego wywiadu. Znalazca natychmiast upublicznił swoje odkrycie drukiem (**„Zygmunt Kaczkowski w świetle prawdy. Z tajnych archiwów b. austriackiego Ministerstwa Policji"**, Lwów–Warszawa–Poznań 1920), czyli zidentyfikował Kaczkowskiego.

Doktor Barwiński, drukując oryginalne dokumenty, które ukazywały całą nikczemność zdrady i późniejszego wybielania się judasza, pisał roztrzęsionym piórem: *„Niech psychologowie tłumaczą ten potworny przypadek... Zdradzać mając na ustach górne słowa, stroić się w togę niewinności, nakładać maskę boni viri, który sprawie ojczyzny ciągle walne oddaje usługi, to potworność nie do pojęcia"*. Ano.

Przeczytawszy powyższy tekst prawie każdy Czytelnik będzie miał nieodparte *„déjà vu"* tyczące dzisiejszych czasów. To jeden z tych przypadków, które uzasadniają porzekadłową tezę, iż *„historia lubi się powtarzać"* (czasami również we wszelkich szczegółach), a także drugą — że zazwyczaj powtarza się jako farsa. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl a64665f984

Twoje **bezpieczeństwo** to teraz **Santander Bank Polska**

Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska

Santander
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.

1 9999 | santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.

eprasa.pl a64665f984